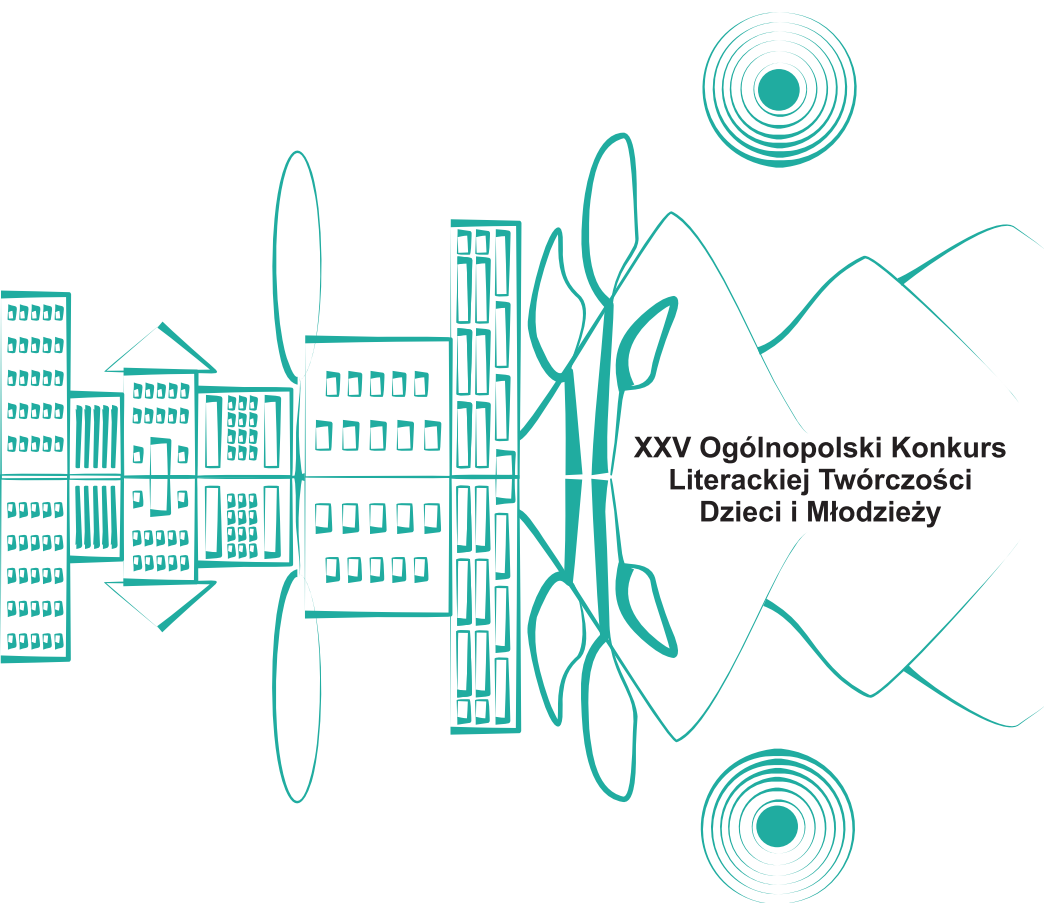


# LIRYCZNE JASŁO

**Wiersze i opowiadania laureatów  
XXV Ogólnopolskiego Konkursu  
Literackiej Twórczości  
Dzieci i Młodzieży**



# LIRYCZNE JASŁO



**XXV Ogólnopolski Konkurs  
Literackiej Twórczości  
Dzieci i Młodzieży**

Miejska Biblioteka Publiczna w Jasle

Jasło 2020

Wydawca:  
Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle  
[www.mbp.jaslo.pl](http://www.mbp.jaslo.pl)

Redakcja: Dorota Woźnica  
Magdalena Chart

Korekta: Halina Łopatkiewicz  
Elżbieta Sławniak  
Dorota Gruszka  
Anna Kozioł

Projekt okładki i opracowanie graficzne:  
Magdalena Chart

Druk: ATTYLA Władysław Kardasz, Jacek Kardasz Sp.j.

Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle

ISBN 978-83-940901-9-7

# **spis treści**

<b>7</b>	<b>Konkurs „w czasach zarazy”</b>
<b>9</b>	<b>Lista osób nagrodzonych</b>
<b>14</b>	<b>Kategoria I</b> szkoły podstawowe, klasy 4-6
<b>58</b>	<b>Kategoria II</b> szkoły podstawowe, klasy 7-8
<b>100</b>	<b>Kategoria III</b> szkoły ponadpodstawowe



## Konkurs „w czasach zarazy”

Niewątpliwie XXV edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle, przejdzie do historii ze względu na szczególne okoliczności, jakie jej towarzyszyły. Oczywiście, mam na myśli epidemię koronawirusa, która zaczęła się w chińskiej Wuhan, a następnie, jak na globalną rzeczywistość przystało, przenosiła się w różne części świata. Być może doświadczenia związane z pandemią znajdą wyraz w wierszach, opowiadaniach, esejach, jakie będą nadsyłane w ramach kolejnych edycji jasielskiego konkursu. Taka już bowiem specyfika literatury, zwłaszcza młodej, że żywo, spontanicznie reaguje na to, co dotyka i obchodzi bez mała wszystkich, ale również zawiera w sobie, jak w tym przypadku, jeszcze wiele niewiadomych. To jednak dopiero przyszłość, a tymczasem skupmy się na podsumowaniu edycji bieżącej.

Zacznijmy od statystyki. Otóż na XXV edycję OKLTDiM, w kategorii „wiersze”, 120 osób nadesłało 411 utworów. Z kolei w kategorii „opowiadania” 126 autorów/autorek zaproponowało 169 tekstów. Ogółem więc każdy z jurorów miał do przeczytania i ocenienia 580 utworów. Warto dodać, że w bieżącej edycji nie mieliśmy do czynienia z tak wyraźną przewagą tekstów prozatorskich, co obserwowaliśmy w kilku edycjach wcześniejszych. Może to sygnał, że wśród młodych adeptów pióra poezja znowu wraca do łask?

„Od lat jury jasielskiego konkursu jest pod wrażeniem poziomu nadsyłanych prac, zdradzających nie tylko literackie fascynacje młodych autorów, ale również niemałą biegłość warsztatową i dociekliwość w obserwowaniu rzeczywistości oraz artykułowaniu owych obserwacji. Cieszą nas również te utwory, w których piszący ujawniają niemałą erudycję, ale też świadomość pisarską, wyrażającą się w grach z literackimi gatunkami, stylami, konwencjami. Oryginalność niektórych pomysłów i sprawność ich literackiej realizacji pozwalają na sytuowanie takich utworów w zasadzie wśród literackiego zawodowstwa”.

Pozwoliłem sobie zacytować fragment wstępu do ubiegłorocznej antologii pokonkursowej, gdyż, na dobrą sprawę, trafnie opisuje wrażenia jurorów po edycji tegorocznej. Niezmiennie bowiem jesteśmy pod wrażeniem prac najlepszych – nagrodzonych i wyróżnionych, w których biegłość warsztatowa idzie w parze z dociekliwością w oglądzie świata oraz wiarygodnością artikulacyjną. Można to wyrazić jednym słowem – DOJRZAŁOŚĆ! A mam tu na myśli zarówno dojrzałość egzystencjalną (odwaga w podejmowaniu spraw trudnych i bolesnych), intelektualną (pogłębiony namysł nad rozmaitymi aspektami istnienia), jak i pisarską (funkcjonalne korzystanie z określonych konwencji literackich). To wszystko sprawia, że lektura utworów tegorocznej edycji, poza wszystkim innym, była autentyczną czytelniczną frajdą.

Tegoroczna edycja jasielskiego OKLTDiM była również ciekawym doświadczeniem dla jurorów. Można by, nieco humorystycznie powiedzieć, że jury przekształciło się w e-jury. Nie mogąc bowiem obradować twarzą w twarz, korzystaliśmy, chyba z dobrym skutkiem, z komunikatorów internetowych, elektronicznych. I znowu, jak w paru poprzednich edycjach, zdziwiła nas, pozytywnie, zgodność typowań, gdy idzie o prace nagrodzone i wyróżnione. Chociaż e-jury to doświadczenie ciekawe, wolelibyśmy w następnych edycjach powrócić jednak do tradycyjnej formuły obrad.

Przypomnę tylko, że prace konkursowe oceniało jury w składzie: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, eseista, dramaturg).

Jedna z mądrości Wschodu głosi: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Myślę, że literatura – w tym również młoda literatura – potrafi się odnaleźć w każdych czasach. Niewykluczone jednak, że „ciekawe czasy” działają na nią szczególnie inspirująco.

**Grzegorz Kociuba**



# Lista osób nagrodzonych

## Kategoria I

### Szkoły podstawowe klasy 4-6

#### Wiersze

##### Miejsce 1

Żetka – Kacper Życzyński, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

##### Miejsce 2

Wioletka Baudelaire – Weronika Drewniak, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 38 w Krakowie – *cykl wierszy*

##### Miejsce 3

Grechut – Grzegorz Sobkiewicz, kl. 5 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

#### Wyróżnienia

Czterolistna Koniczyna – Faustyna Iwanicka, kl. 4 Publiczna Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 7 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Titanic – Emilia Stec, kl. 6 Szkoła Podstawowa w Pisarzowicach – *Fantastyczne jezioro*

Bene Dictum – Benedykt Heszen, kl. 5 edukacja domowa Kraków – *cykl wierszy*

Lola – Aleksandra Sieńkowska, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaśle – *cykl wierszy*

#### Opowiadania

##### Miejsce 1

Kora – Kornelia Mikrut, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 4 w Jaśle – *Ostatni Gryf*

## **Miejsce 2**

Mrówka – Aleksandra Kocot, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu – *cykl opowiadań*

## **Miejsce 3**

Janek – Jan Kocot, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu – *cykl opowiadań*

## **Wyróżnienia**

Olek 2007 – Aleksandra Pietrzycka, kl. 6 Zespół Szkół w Czemiernikach – *cykl opowiadań*

Baffi – Zofia Fragel, kl. 6 Szkoła Podstawowa w Gardei – *Jak zmieniłam swoje życie*

Bazuka – Jakub Hazuka, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Węgierskiej Górcie – *Nigdy o tobie nie zapomnę*

## **Kategoria II**

### **Szkoły podstawowe klasy 7-8**

## **Wiersze**

### **Miejsce 1**

Kuba.M – Jakub Miklus, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

### **Miejsce 2**

Nika – Nikola Bigos, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 1 w Osobnicy – *cykl wierszy*

### **Miejsce 3**

Meg – Magdalena Oksińska, kl. 8 Zespół Szkół i Placówek Publicznych nr 3, Publiczna Szkoła Podstawowa nr 5 – *cykl wierszy*

## **Wyróżnienia**

Panda – Urszula Słonina, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 1 w Rzeszowie – *cykl wierszy*

Wiki – Wiktoria Truszkowska, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Hanna – Hanna Zarzycka, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 7 w Łodzi  
– *cykl wierszy*

### **Opowiadania**

#### **Miejsce 1**

Krokis – Jakub Krok, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Węgrzycach  
Wielkich – *cykl opowiadań*

#### **Miejsce 2**

Zo-Ja – Zofia Ruśnica, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Nowym Wiśniczu – *cykl opowiadań*

#### **Miejsce 3**

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 2 z Oddziałami Dwujęzycznymi w Jaśle – *Malachit*

### **Wyróżnienia**

Mała – Dagmara Adamczyk, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9 w Stalowej Woli – *Moc łzy*

Osa – Julia Osińska, kl. 7 Zespół Szkolno-Przedszkolny w Dębnicy Kaszubskiej – *cykl opowiadań*

Aver – Gabriela Roszczyk, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Mrokwie – *Skąpany w ogniu*  
Cow Hater – Pola Pastwa, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie – *Gwiazdy*

## **Kategoria III**

### **Szkoły ponadpodstawowe**

### **Wiersze**

#### **Miejsce 1**

Safo – Natalia Roguz, kl. 1 Publiczne Liceum Ogólnokształcące Politechniki Łódzkiej – *cykl wierszy*

#### **Miejsce 2**

Saficzna.patetyczna – Julia Opiłowska, kl. 2 Klub Literacki „Pegazik” Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile – *cykl wierszy*

### **Miejsce 3**

Banachówna – Zuzanna Banach-Dziura, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *cykl wierszy*

### **Wyróżnienia**

Kot – Anna Prus, kl. 2 V Liceum Ogólnokształcące im. Księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie – *cykl wierszy*

Kunegunda – Alicja Wojnarowska, kl. 1 Liceum Ogólnokształcące nr 1 we Wrocławiu – *cykl wierszy*

Aria – Maria Musiał, kl. 2 Klub Literacki „Pegazik” Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile – *cykl wierszy*

### **Opowiadania**

#### **Miejsce 1**

M&M – Magdalena Moś, kl. 3 Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 2 w Nowym Targu – *Przyjacielska partyjka*

#### **Miejsce 2**

Rudzik – Natalia Hetman, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące Dwujęzyczne w Gliwicach – *cykl opowiadań*

#### **Miejsce 3**

Naróg – Jan Skoumal, kl. 3 Zespół Szkół Ogólnokształcących w Głubczycach – *cykl opowiadań*

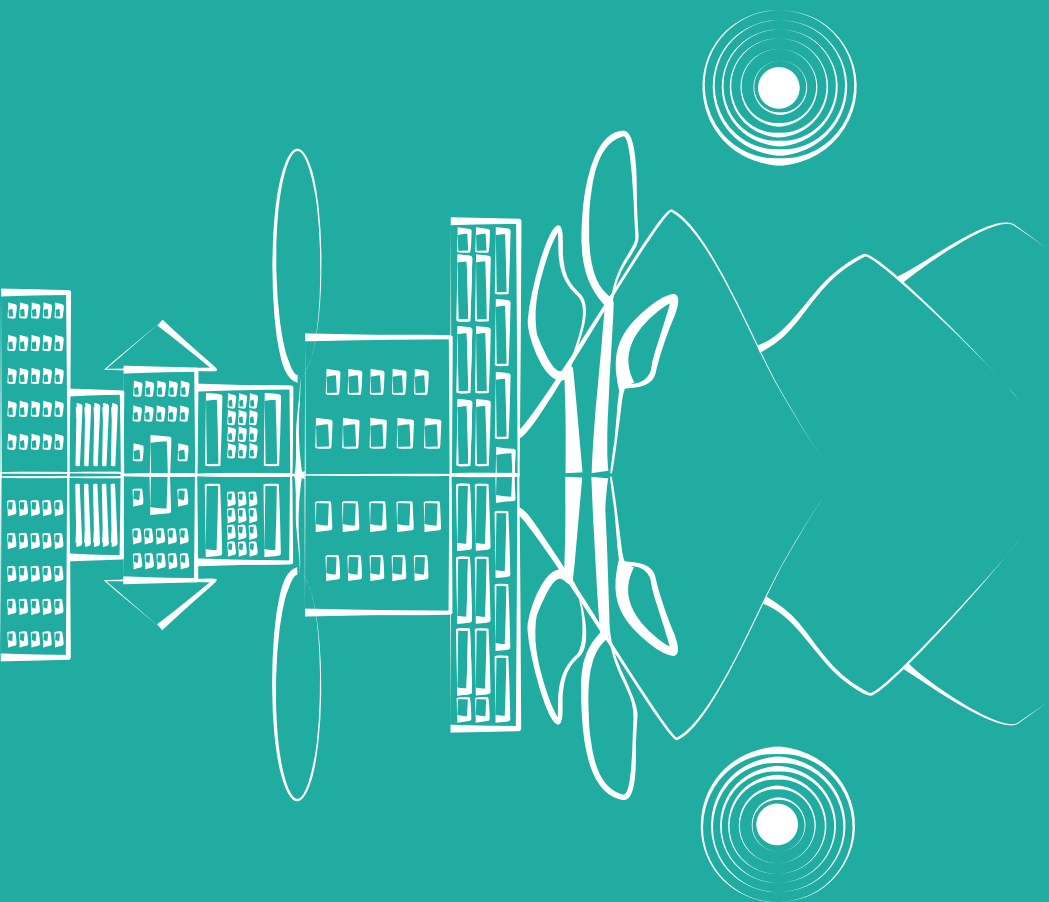
### **Wyróżnienia**

Homcia – Justyna Homa, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu – *Jakieś psie to życie*

Amelia Izabella – Amelia Chwist, kl. 1 VI Liceum Ogólnokształcące w Sosnowcu – *cykl opowiadań*

Amaltea Alicja Wojnarowska, kl. 1 Liceum Ogólnokształcące nr 1 we Wrocławiu – *cykl opowiadań*

Banachówna – Zuzanna Banach-Dziura, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *cykl opowiadań*



# Kategoria I

## szkoły podstawowe

### klasy 4-6

#### Wiersze

##### Miejsce 1

- 15 Kacper Życzyński: *Drewniana miłość*

##### Miejsce 2

- 15 Weronika Drewniak: *Napis*

##### Miejsce 3

- 16 Grzegorz Sobkiewicz: *Wisienka*

#### Wyróżnienia

- 17 Faustyna Iwanicka: *Latarka*  
18 Emilia Stec: *Fantastyczne jezioro*  
19 Benedykt Heszen: *Mieszkamy przy ulicy Muzyków*  
20 Aleksandra Sieńkowska: *Samotność*

#### Opowiadania

##### Miejsce 1

- 21 Kornelia Mikrut: *Ostatni Gryf. Narodziny legendy*

##### Miejsce 2

- 31 Aleksandra Kocot: *My, chłopcy z lasu*

##### Miejsce 3

- 38 Jan Kocot: *Na scenie życia*

#### Wyróżnienia

- 46 Aleksandra Pietrzycka: *Świat bez taty*  
49 Zofia Fragel: *Jak zmieniłam swoje życie*  
55 Jakub Hazuka: *Nigdy o tobie nie zapomnę*

**Kacper Życzyński (Żetka), kl. 6**  
**Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12**  
**w Stalowej Woli**

## **Drewniana miłość**

Przytulam się do zapachu  
mahoni  
Z jej sukni zdejmuję odciski palców  
nieproszonych gości  
Chwytam za rękę  
nie odmawia  
Trącam w przelocie  
moich emocji  
napięte struny  
Cichutko stroi się  
do pieśni  
Zanuciła ze smakiem  
rozpromieniła  
Głaszczę ją po grzbiecie  
jest spokojna i cicha  
Gaśnie  
okradziona z energii  
moja gitara  
od taty

**Weronika Drewniak (Wioletka Baudelaire), kl. 6**  
**Szkoła Podstawowa nr 38 w Krakowie**

## **Napis**

jestem jak oddech  
nie można mnie zobaczyć  
ale można mnie skończyć

nikt nigdy mnie nie napisał  
składałam się z siedmiu wyrazów  
z siedmiu  
jak z siedmiu słoików na półce  
obok pająka

nie rozumiem znaczenia tych słów  
nawet gdybym sam je przeczytał  
siedem razy

ale jeżeli ktoś widziałby mnie  
jak myślę nad nimi  
pewnie by mi je wytłumaczył  
że one są mną

**Grzegorz Sobkiewicz (Grechut), kl. 5**  
**Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12**  
**w Stalowej Woli**

## **Wisienka**

odeszła zima  
stara wiśnia  
w sadzie mojego dziadzia  
zrzuciła wielką  
czapę śniegu  
i ubrała się w biel pachnącą  
miodem  
zanuciła cichutko  
skrzydłami pracowitych  
pszczoł

latem biały płaszcz  
opadł z ramion drzewa



pojawiła się zielona  
sukienka  
przybrana czerwonymi koralami  
i rozpoczął się bal  
na który wpadł nieproszony  
chór szpaków

a jesienią wiśnia  
dostała garsonkę  
w kolorze złota  
przeszytą brązową nitką  
lecz psotny wiatr  
poszarpał i zabrał  
jej marynarkę  
no cóż przyjdzie zima  
i stara wiśnia założy  
śnieżną czapę

**Faustyna Iwanicka (Czterolistna Koniczyna), kl. 4  
Publiczna Szkoła Podstawowa z Oddziałami  
Integracyjnymi nr 7 w Stalowej Woli**

## **Latarka**

oświecłam latarką wejście  
tak, tym dwudziestoletnim rupieciem  
działa sprawnie, choć rdza  
zjadła metalowe serce

oświecłam latarką wejście  
do najdalszych chwil i wspomnień  
widzę siebie w niewyraźnym świetle  
słony deszcz zamazał wszystko

obraz się ściemnia  
nic już nie widzę  
nic już nie pamiętam  
latarka zgasła

i pozwoliła  
zapełnić życie  
nowymi wspomnieniami  
lepszymi

**Emilia Stec (Titanic), kl. 6**  
**Szkoła Podstawowa w Pisarzowicach**

## **Fantastyczne jezioro**

Czuję się cieniem samego siebie  
snuję myśli  
będąc ledwo widzialną mgłą...  
Rzucam marzeniami  
jak kartami do pokera...

Odpływam w świat fantazji  
wyłączając teraźniejszość  
robiąc krok  
w stronę własnej wyobraźni...

Otacza mnie dużo ludzi,  
lecz ja  
czuję się niczym brzoza  
pośród sosen...

Wpadam w melancholię  
jak kamień w wodę

Bariera  
dzieląca mnie od reszty świata  
z dnia na dzień  
się powiększa  
i nie ustaje...

W srebrzystych wodach  
ludzkiego szczęścia  
dostrzegam  
spadającą kroplę atramentu  
z pióra,  
którym pisane jest moje życie.

**Benedykt Heszen (Bene Dictum), kl. 5**  
**edukacja domowa Kraków**

## **Mieszkamy przy ulicy** **Muzyków**

Mamy pewnego sąsiada,  
który z nami wcale nie gada,  
ale nawet jak jem kolację, obiad, śniadanie,  
słyszę, że gra on na fortepianie.

Mamy też miłą sąsiadkę,  
sąsiadkę skrzypaczkę,  
jednak tylko wtedy gra ta skrzypaczka,  
kiedy w domu nie ma jej dziadka.

Jeszcze mamy sąsiada z innej strony,  
który jest zawsze dobrze nastrojony,  
śpiewa... To tylko tyle,  
bo czasem mi przeszkadza,  
gdy sam gram na pianinie.

**Aleksandra Sieńkowska (Lola), kl. 5**  
**Szkoła Podstawowa nr 1 w Jaśle**

## **Samotność**

Zasiadasz do kolacji  
i patrzysz  
przez okno  
a tam szarość  
sza - rość  
sz - a - r - o - ś - ć  
jak szary koniec dnia.  
Masz wszystko:  
pieniądze, dom i cztery ściany  
świętego spokoju.  
A jednak  
zostałeś sam przy kolacji  
wśród własnej szarości.  
Szarość – twarzowy kolor  
dla samotności,  
trudno w niej znaleźć  
okruchy radości.  
Czy samotność to brak ludzi,  
czy czekanie aż oni nas znajdą?

**Kornelia Mikrut (Kora), kl. 6**  
**Szkoła Podstawowa nr 4 w Jaśle**

## **Ostatni Gryf**

### **Narodziny legendy**

#### **I**

W wiosce od samego rana panowała gorąca atmosfera. Wszędzie było słychać gwar rozmów, dźwięki wykonywanych prac oraz porykiwanie zwierząt żyjących w osadzie. Każdy ochoczo pomagał przy organizacji przyjęcia na cześć nowych wojowników. Dziś bowiem, zgodnie z dawnym plemiennym obyczajem, każdy chłopiec, który ukończył trzynaście lat, mógł wstąpić w szeregi wojowników i rozpocząć wyczerpujące szkolenie. Aby jednak zostać przyjętym do zaszczytnego grona, trzeba było przejść specjalny rytuał, w którym chłopcy mogli udowodnić, że są tego godni, albowiem nie każdy mógł być wojownikiem klanu gryfów.

Matros zbudził się jeszcze przed świtem. Miał dziś wstąpić w szeregi wojów swojego plemienia i za nic na świecie nie mógłby stracić choć minuty z tego wspaniałego dnia. Po cichutku wymknął się z chaty na plac ćwiczebny, wyjął jeden z drewnianych mieczy i jak co dzień rozpoczął swój trening. Wiedział doskonale, że musi się dobrze przygotować. Będą go sprawdzać w walce wręcz, na miecze i ze strzelania z łuku. Musiał umieć tropić zwierzynę, maskować się oraz zacierać za sobą ślady. Zaaferowany treningiem nie zauważył innych chłopców, którzy również przyszli potrenować przed rytuałem.

– Czego tu szukasz lebiodo? – rzucił jeden z nich.

– Nigdy nie dostaniesz się do gwardii – dodał inny. – Jesteś na to za mały.

Niestety mieli sporo racji, ponieważ Matros był znacznie drobniejszy od pozostałych młodzieńców. Ród gryfów stanowili rośli, barczyści mężczyźni. Przewyższali siłą oraz wytrzymałością większość innych klanów. Kobiety były piękne i inteligentne. Osada

położona była na wzgórzu w widłach rzeki Orsy i Idy. Wojownicy patrolowali obszar w promieniu ponad stu kilometrów i chronili królestwo przed zagrożeniem z zachodu.

Chłopiec początkowo starał się ignorować ich docinki, jednakże wiedział, że wcześniej czy później i tak dojdzie do zwady. Tego typu sprzeczki były stosunkowo częste i stanowiły niejako element ćwiczeń, pod warunkiem, że dorównywało się przeciwnikowi wzrostem i siłą. Matros jednak nie posiadał tych cech, więc musiał bazować na zręczności, szybkości i sprycie. Mimo tego i tak z reguły kończyło się tęgim laniem. Chłopiec nieznacznie, niby przez przypadek zbliżył się do osiłka, który najbardziej mu docinał i znienacka, wykonując gwałtowny obrót, przyłożył mu drewnianym mieczem prosto w nos. Krew trysnęła na piach. Matros, wykorzystując chwilowe zamroczenie przeciwnika, poprawił w brzuch, przetoczył się po ziemi i wyprowadził cios w kolano. Osilek jednak zdążył się pozbierać, zablokował miecz Matrosa i skontrolował. Walka rozgorzała na dobre. Pozostali chłopcy szybko podbiegli, skupili się w kręgu i zaczęli głośno dopingować walczących. Początkowa przewaga Matrosa z każdym natarciem przeciwnika malała. Siła zadawanych ciosów była dla niego za wielka. Osilek coraz częściej przełamywał jego zasłony, nabijając mu coraz więcej siniaków. Matros wiedział, że walka jest przegrana. Po kolejnym razie ugięły się pod nim kolana, oczy nabrzmiały krwią i chyba tylko siłą woli uchylił się przed nokautującym ciosem przeciwnika.

– Dość tego! – ryknął ktoś z tyłu.

„No nie, tylko nie to. Ale wstyd. Uratowany przez własnego ojca. Teraz to już kompletnie nie dadzą mi spokoju” – pomyślał Matros. Na plac, w eskorcie dwóch wojowników, wszedł wódz plemienia Igarion. Chłopcy szybko rozstąpili się, odsłaniając walczących.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

– To nic... – zaczął Matros.

– Nie ciebie pytam – przerwał mu ojciec, karcąc go przy okazji wzrokiem.

– To tylko drobna sprzeczka – dokończył drugi chłopiec, zyskując nieco sympatii u Matrosa.

– Matros, to nie jest miejsce dla ciebie. Wracaj do domu – rzekł Igarion. – A im dajcie wycisk, może odechce się im bójek – rzucił do przybocznych.

## II

– Prosiłem, abys zakończył te ćwiczenia. Nigdy nie zgodzę się, abys wstąpił do gwardii – zaczął Igarion.

– Ależ ojcze, wszyscy moi koledzy wstępują. Każdy chce walczyć – odparł Matros.

– Posłuchaj mnie uważnie, synu. Jesteś moim siódmym synem, ostatnim, który mi pozostał. Twoją matkę zabrała mi choroba, gdy byłeś niemowlęciem. Zostałeś w moim życiu tylko ty i nie pozwolę, abym stracił również ciebie. Tego bym chyba nie przeżył. Zresztą twoje przeznaczenie jest zupełnie inne, aniżeli wymachiwanie mieczem. Udasz się do miasta na nauki. Będziesz praktykował u najlepszych uczonych, a w przyszłości doradzał na królewskim dworze. Masz służyć ludziom i ich chronić, ale nie mieczem, a wiedzą i mądrością.

– A może ja nie chcę! – wzburzył się Matros. – Właśnie skończyłem trzynaście lat i zgodnie z prawem mogę wstąpić do gwardii. Wiesz, że mnie nie zatrzymasz. I nie martw się, nie dam się zabić jak moi bracia.

– Ej, chłopcze, nawet nie wiesz, o czym mówisz – westchnął ciężko Igarion. – Twoi bracia byli od ciebie dużo silniejsi i lepiej wyszkoleni, a mimo to wszyscy polegli w bitwach. Nie, żebym nie wierzył w twoje umiejętności. W końcu jesteś synem swojego ojca, największego wojownika jakiego mieliśmy, nie chwałąc się oczywiście – zażartował. – Zrobimy tak. Wystartujesz dziś w konkursie, ale jeśli nie przejdiesz, to kończymy temat raz na zawsze i jedziesz na nauki do miasta.

Matros, nie mogąc uwierzyć, że ojciec się zgodził, aż wystrzelił z siedziska i uwiesił się mu na szyi, ściskając z całej siły.

– No dobra, już dobra – roześmiał się ojciec – jeszcze nie przeszedłeś. A teraz chodź, znajdziemy ci jakąś zbroję, bo tak wystąpić nie możesz. No i muszę dać ci kilka wskazówek, bo ta dzisiejsza walka była kiepska.

### III

Wieczorem cała ludność wioski spotkała się na placu za domostwami. Święto otworzył szaman i po krótkiej prezentacji zaprosił wszystkich do zabawy. Były śpiewy, tańce, występy komików oraz walki wojowników. Na koniec nadszedł czas rekrutów. W szranki stanęło blisko trzydziestu chłopców. Niestety miejsc w gwardii było tylko tuzin. Matros przechodził przez konkurencje niczym wicher przez pustynię. Tropienie i maskowanie ukończył jako pierwszy. Strzelanie z łuku oraz rzucanie nożami też poszło gładko. Walka na miecze była bardzo ciężka, ale dzięki radom ojca udało się wygrać. Została ostatnia konkurencja, walka wręcz. Chłopców dobierano w pary całkiem przypadkowo. Matros trafił na Oscara, wysokiego, silnego chłopaka, z którym czasem spotykał się na placu ćwiczebnym. Walka rozpoczęła się bardzo ostrożnie. Matros wiedział, że Oscar jest od niego silniejszy. Poruszał się więc lekko jak lampart, z nogi na nogę. Skracał dystans i odskakiwał. Za każdym razem starał się wyprowadzić cios. Kilka razy się nawet udało. Oscar jednak uchylał się i czekał na okazję. Nagle ruszył gwałtownie do przodu. Chłopcy zwarli się w uchwytach. Siła Oscara była przytłaczająca. Matros próbował się wyswobodzić. Tkwił jednak w ramionach przeciwnika niczym w żelaznym uścisku. Miotał się i tłukł pięściami o brzuch i tors Oscara, ale ten zamiast słabnąć jeszcze bardziej zaciskał ręce. Nagle zaczęło brakować mu tchu. Przed oczami pociemniało. Ostatkiem sił uderzył przeciwnika piętą w stopę. Oscar syknął z bólu i zwolnił na ułamek sekundy uścisk. Matros wykorzystał ten moment, wywinął się i uderzył przeciwnika pięścią prosto w nos. Dyszał mocno przydławiony i niesamowicie zmęczony. Nie było jednak czasu na odpoczynek, ponieważ Oscar ruszył ponownie. Nie było w tym żadnej finezji. Po prostu grad ciosów wsparty niesamowitą siłą. Matros parował, na ile mógł, odbijał ciosy i kontratakował, ale Oscar był jakby ze stali. Kolejny cios zwałił Matrosa z nóg. Koniec walki.



Po zakończeniu konkurencji wszyscy zwycięzcy zostali przedstawieni ludności i uroczyście przyjęci w szeregi gwardii. Gratulacjom i pochwałom nie było końca. Oczywiście przegranym też gratulowano wspaniałej postawy i pocieszano, że w kolejnym roku będzie lepiej. Matros jednak nie mógł tego przeżywać.

– Dobra walka – pochwalił Igarion. – Wiem, że jesteś zawiedziony, ale naprawdę jestem z ciebie dumny. Pomimo ogromnej przewagi Oscara walczyłeś z nim jak równy z równym. O pozostałych konkurencjach to w ogóle nie wspominam.

– Cóż z tego, kiedy odpadłem. Tyle treningów, wyrzeczeń, a teraz koniec marzeń – odrzekł Matros zawiedziony.

– Tak czasem bywa. Życie lubi być bardzo przewrotne. Dziś jest ci przykro, ale jutro wstaje nowy dzień z nowymi nadziejami i wyzwaniem. Kto wie, co przyniesie. Głowa do góry! Gwardia to nie koniec świata. A teraz chodźmy, nasz szaman będzie opowiadał baśnie i legendy. Jest taka jedna, która na pewno cię zainteresuje.

#### IV

Kiedy przyszli, wokół szamana zebrała się już większość wioski. Dzieci i młodzież podekscytowani nasłuchiwali bajania. Starsi, raczej trochę z tyłu, zajęci byli swoimi sprawami. Kiwali czasem głowami i uśmiechali się pod nosem z niedowierzaniem na wybujałe opowieści starca. Matros usiadł obok ojca wśród kilku znamienitych wojowników, co było nie lada zaszczytem. Starzec właśnie zaczynał nową legendę.

*Dawno, dawno temu, kiedy morze srebrnych syren szumiało u granic naszego królestwa, a ziemię tę nasi pradziadowie dzielili z różnymi istotami, największą chwałą dla wojownika było zdobycie jaja gryfa. A wyczyn był to nie lada, bo stwór był większy od trzech mężów, silniejszy od trzech wołów i szybszy od trzech lampartów. Posiadał orli dziób, ogromne skrzydła i ostre jak brzytwa pazury. Gniazdo zakładał na strzelistych klifach i urwiskach. Zawsze pilnował go jeden gryf, a drugi z powietrza patrolował okolicę. Wielu mężnych wojów próbowało tej sztuki, ale nikomu się nie udawało. Aż do czasu, gdy niepozorny chłopiec o imieniu Arius postanowił wybrać się samotnie na tę*

*karkołomną misję. Wpadł na pomysł, że oklei się całym piórami różnych ptaków. Wszyscy się z niego śmiali, ale on się nie poddawał. W nocy wspiął się na gryfi klif, prześliznął obok śpiącego gryfa i zabrał jedno jajo. Niestety, gdy schodził z klifu, już u samego dołu od strony morza zawiął mocny wiatr i zaczął zdmuchiwać z Ariusa pióra. Gdy gryfy to zobaczyły, natychmiast przystąpiły do ataku. Chłopiec uciekał najszybciej jak potrafił, a biegacz był z niego nie byle jaki. Unikał szponów i dziobów jak tylko mógł, śmigał z kamienia na kamień, pod gałąź, na pień. Gryfy jednak były szybsze. Coraz trącały go skrzydłami lub zahaczały pazurami. Koniec końców chłopcu jakimś cudem udało się zbiec i ukryć w gęstym lesie, ale był poważnie ranny. Gdy następnego dnia dotarł do wioski, mieszkańcy nie mogli uwierzyć w to, co widzieli: środkiem osady, wolno, resztkami sił, poszarpany i ranny, kroczył dumnie Arius. Na wyciągniętych dłoniach trzymał prawdziwe gryfie jajo. Gdy podszedł przed chatę ówczesnego wodza, upadł na kolana. Z dziesiątek ran sączyła się krew. Wódz podbiegł do niego i od razu zorientował się, że rany są śmiertelne i Arius długo nie pożyje. Szybko rozbił jajo gryfa i wlał chłopcu do ust, bo musicie wiedzieć, że ma ono cudowną moc. Przywraca siły życiowe, zasklepia rany i dodaje mocy. Ale musicie też wiedzieć, że jest okropnie niedobre, a śmierdzi bardziej niż stado skunksów...*

– Ojczce, a skąd szaman wie, jak śmierdzi jajo gryfa? – zapytał Matros z zaciekawieniem. W tym samym momencie wódz i kilku najbliższych usadowionych mężczyzn ryknęło rubasznym śmiechem, aż szaman na chwilę przerwał.

– Przecież, mówiłem ci, że to tylko legendy, a nasz szaman to umie je opowiadać, oj, umie – odpowiedział ojciec, a szaman kontynuował.

*...Arius faktycznie zaczął powracać do żywych. Po chwili stał już pewnie na nogach, a wszyscy zaczęli mu gratulować. Sam wódz zaś, chcąc wynagrodzić jakoś chłopca, ogłosił uroczystie, że w tym momencie Arius staje się pełnoprawnym wojownikiem klanu gryfa. Od tego czasu każdy, kto przyniesie do wioski jajo gryfa, może wstąpić w szeregi gwardii.*

Matrosa aż wyprostowało.

– Czy to prawda ojczy, czy to prawda? – pytał dociekliwie.

– Tak, to prawda – odparł Igarion – ale musisz wiedzieć, że gryfów nie widziano tutaj już od kilkuset lat, a poza tym jak już wspomniałem, to tylko legenda.

Ale Matros już tego nie słyszał. Był gdzieś indziej. W wyobraźni miał już swoje ukochane jajo i kroczył dumnie jak Arius środkiem wioski.

## V

Matrosa obudził przeraźliwy pisk. Wybiegł szybko z chaty. Dookoła zaczęło powoli świtać, a na horyzoncie majaczył niewyraźny kształt jakiegoś nieznanego stworzenia. Chłopiec od razu wiedział, co to jest. Złapał tylko swój łuk, wrzucił coś cieplejszego na plecy i pobiegł w stronę wschodzącego słońca. Biegł szybko, a kształt, coraz to większy, wciąż kołował na niebie. Wiedział, że to gryf. Jego gryf. Ogromny, majestatyczny. Skąd się tu wziął? Nieważne. Zwierzę zatoczyło jeszcze dwa koła i odleciało w stronę gór. Matros ruszył jego tropem.

Igarion nawet nie zaglądał do pomieszczenia syna. Wyszedł z chaty i spojrzał niespokojnie na góry. Wiedział, że go nie zatrzyma. Zza rogu wyłonił się jeden z wojowników, uśmiechnął się pod nosem i rzekł:

– Co, pobiegł skoro świt? Gorąca krew. Jak my wszyscy, kiedy byliśmy młodszy. Wyszumi się kilka dni po lesie i wróci wygłodniały, z podkulonym ogonem.

– Oby – odparł Igarion. – Ciekawe, że każdy daje się nabierać temu staremu zrzędzie na te jego bajeczki.

– Młodość, fantazja i pęd za marzeniami. Któż z nas nie chciał być dumnym zdobywcą? Spokojnie, to mądry chłopak i wie co robi – poklepał wodza po ramieniu i odszedł. Igarion długo jeszcze patrzył pełen obaw przed siebie.

Matros biegł cały dzień. Nie wyobrażał sobie, że te góry są tak daleko. Z nastaniem nocy musiał jednak trochę odpocząć. Znalazł niewielką jaskinię u wylotu górskiego potoku. Rozpalił ognisko

i upiekl na nim upolowanego wcześniej zająca. Zmęczony całym dniem nie wiedział nawet, kiedy zasnął. Śnił o gryfach, o chwale i podziwie w wiosce oraz o dumie swego ojca. Świt przywitał go śpiewem ptaków. Szybko pozbiierał się i ruszył w stronę najwyższego szczytu. Od razu wiedział, że gryf założył tam gniazdo. Aby dostać się na szczyt, trzeba było pokonać pionową ścianę. Matros rozpoczął mozolną wspinaczkę. Bardzo ostrożnie, po niewielkich wystęпах skalnych, krok za krokiem, był coraz bliżej celu. Wreszcie dotarł na szczyt. Tam, na środku, znajdowało się wielkie gniazdo, a w jego centrum leżało jajo. Coś było nie tak. Dlaczego gryf nie pilnował gniazda? Jakaś nieodparta siła pchała go jednak do przodu. Ujął jajo w ręce i schował do torby. Wtedy się zaczęło. Zza góry wyłonił się rozwścieczony zwierz. Leciał prosto na niego. Z oczu wyczierała mu prawdziwa furia. Matros, nie zastanawiając się, zeskoczył ze szczytu w rozpadlinę skalną i zaczął zsuwać się w dół. Zerknął w stronę gryfa. Nie było szans na ucieczkę. Gryf złapał go szponami, podrzucając w górę. Chłopiec uderzył z łoskotem w skałę i zaczął spadać w dół. Cudem złapał się wystającej z grani gałęzi. Siła upadania aż wyszarpnęła mu ramię ze stawu. Gryf uderzył ponownie, tym razem skrzydłem łamiąc mu żebra. Cios oderwał go od skały i cisnął o ziemię. Krew trysnęła z nosa. Ale Matros był twardy. Jakoś się pozbiierał i zaczął uciekać w stronę jaskini, w której wcześniej nocował. Tymczasem gryf zatoczył koło, wzniosł się nieco i zaczął pikować z ogromną prędkością, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu. Jeszcze dziesięć kroków, pięć, cztery, trzy... uderzenie aż zatrzęsło jaskinią. Gryf nie zmieścił się w jej otwór i z impetem uderzył w skałę. Trafił jednak dziobem w plecy chłopaka, szarpiąc mu kawał skóry. Matros jednak przeżył i miał swoje jajo. Wściekły gryf wydobył się z siebie przeraźliwy pisk. Siła dźwięku była tak ogromna, że aż chłopakiem wstrząsnęło. Głos był nie do wytrzymania. Wyczerpany zemdlął.

## VI

Obudził się następnego dnia. Bolało go wszystko, co mogło boleć, a może i więcej. Gryf gdzieś zniknął. Chłopiec opatrzył swoje rany, na ile mógł i ruszył w drogę powrotną. Gdy dotarł na polanę, z której można było zobaczyć wioskę, jego oczom ukazał się przeraźliwy widok. Nad osadą unosiły się słupy czarnego dymu. Matros ruszył pędem przed siebie.

Z wioski zostały zgłiszczka. Wszędzie dokoła leżały martwe ciała. Kobiety, dzieci, nie oszczędzono nikogo. Widać było, że mieszkańcy nie poddali się bez walki. Podszedł do jednego z obcych ciał. Mordowie? Już dawno się tu nie zapuszczali, co się stało? Żadnych głosów, żadnego ruchu. Gdy wszedł na główny plac, ziścił się jego najgorszy koszmar. Na środku, przyszpilony włócznią do ziemi, klęczał jego ojciec. Dokoła piętrzył się stos obcych ciał. Długo walczył. Matros podszedł bliżej.

– Ojcie... – szepnął.

– Jesteś – Igarion otworzył oczy, spojrział na Matrosa i aż zadrżał.

– Masz to, ty naprawdę to zrobiłeś.

– Ojcie, mam jajo. Weź je, wypij, ono ma magiczną moc. Uleczy cię! – zawołał Matros.

– Nie, to twoje jajo. Dla mnie jest już za późno. Walczyłem ze swoimi, za swoich i między swoimi chcę spocząć. Posłuchaj mnie uważnie. Musisz uciekać. Udaj się do króla Atriona w Galantarze. Powiedz mu, kim jesteś i co tu widziałeś. On da ci schronienie i nauki. Ostrzeż go, że Mordowie rosną w siłę i niedługo uderzą na jego królestwo. I weź mój miecz. Jest w naszej rodzinie od wieków i posiada magiczną moc.

Matros wziął miecz ojca do rąk. Zdumiała go jego lekkość. W dłoni leżał tak, jakby był zrobiony specjalnie dla niego. Piękna, zdobiona zaklęciami klinga, głównia obłożona szlachetnym płótnem, a jelec wysadzany magicznymi kamieniami. Gdy zacisnął dłoń, aż przeszedł go dreszcz. Jak gdyby miecz do niego przemówił. Ojciec drgnął jeszcze kącikami ust w górę i opuścił głowę.

Zza domów wychynęło czterech uzbrojonych mordów, którzy zostali tu, aby sprawdzić, czy ktoś nie uciekł i ewentualnie dobić, jeśli przeżył. Matros rozbił jajo i wypił jego zawartość. Wcale nie było niedobre, wręcz przeciwnie. Smakowało niczym jakiś nektar bogów, o zapachu fiołków skąpanych w porannej rosie. Serce zaczęło mu bić mocniej i mocniej. Krew krążyła szybciej. Usłyszał dźwięki, których nie powinien słyszeć. Wzrok się wyostrzył. Mięśnie szczęknęły niczym stalowe kowadła. Po plecach przeszedł mu dreszcz, a ziemia aż drgnęła pod jego stopami. Poczłwał się silny, szybki i niepokonany. Obliczył odległość do przeciwników, kolejność ruchów i uderzył. Pierwszy z mordów nawet nie zdążył wyciągnąć broni, gdy miecz Matrosa rozciął go niemal na pół. Chłowiec wykonał błyskawiczny zwrot, a jego miecz tuż za nim, znacząc karmazynowy ślad na szyi kolejnego z mordów. Pozostali przeciwnicy rzucili się z furią na Matrosa, ale ten był jak w transie. Jego miecz śpiewał swą bitewną pieśń. Moment nieuwagi, krótki klincz i głownia z trzaskiem łamanego nosa wylądowała na twarzy przeciwnika. Matros zsunął się do parteru, podciął ścięgną orka pod kolanami i gdy ten upadał, wbił klingę w jego plecy aż po sam jelec. Wykonał szybki obrót, zablokował broń ostatniego z przeciwników i uderzył pełnym, potężnym półokręgiem na wysokości szyi. Głowa spadła. Po chwili szal bitewny minął, a Matros, już nie jako chłopiec, ale potężny wojownik, wyszedł na środek wioski i ryknął we wszystkie strony świata:

– Jestem Matros, syn swego ojca, ostatni z rodu gryfów i nie spocznę dopóki ich nie pomszczę! Wokół zrobiło się cicho i groźnie, tak jakby świat się trochę wystraszył.

**Aleksandra Kocot (Mrówka), kl. 6**  
**Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu**

## **My, chłopcy z lasu**

– Panie Witoldzie, możemy już zaczynać? Czy jest pan gotów, aby wrócić do tamtych chwil? – młoda, elegancka redaktor poprawiła okulary na nosie. Do studia wszedł właśnie przygarbiony starszek, podpierający się laską.

– Czy jestem gotowy wrócić do przeszłości? – powtórzył pytanie starszy pan.

Zamyślił się przez jakiś czas, po czym rzekł powoli:

– Ja przecież nigdy nie zdołałem wyswobodzić się z jej jarzma. Przeszłość stała się kajdanami, które skuły na zawsze moje ciało i mój umysł. Kiedy wydaje mi się, że już udaje mi się z niej wyswobodzić, nagle w moich snach ona wraca, niczym realny koszmar. Ona naznaczyła swoim piętnem całe moje życie. Teraz, po tylu latach, jestem gotowy opowiedzieć moją historię. Przez tyle lat chowałem ją w sercu, czasami sam dziwiłem się, że mogła wydarzyć się naprawdę.

Oczy staruszka zaszklily się, zaszły mgłą, jakby chciały zmyć z nich cały ból, który się w nich ukrywał. Patrząc przed siebie, starszy pan rozpoczął swą opowieść:

– Lipcowy poranek czterdziestego drugiego był wyjątkowo słoneczny. Promienie pieściły swym ciepłym dotykiem moją twarz, kiedy wołałem co sił w płucach: – „Kurier Warszawski”, „Kurier”!!!! Tego dnia gazeta sprzedawała się świetnie. Jednak to nie zyski zaprzętały moje myśli. Wraz z chłopakami mieliśmy wieczorem wykonać pewną robotę. Wie pani, taką jak zawsze. Trzeba było garść ulotek pod kwaterą gestapo na Szucha rozrzucić. Jak dla mnie „bułka z masłem”. Ja o sobie wtedy myślałem jako o nieśmiertelnym, bo zawsze mi się zwać udawało. Ryzykowałem wiele, wiadomo. Ale cóż. W tych czasach tak było trzeba. Tylko matki mi żal było. Ona nic nie wiedziała, że ja do „Wawer” należałem. Myślała bidula, że ja na komplety do pani Hermanowej w tym

czasie chodzę. A we mnie gorąca krew płynęła, ona nakazywała mi walkę ze znienawidzonym okupantem. No bo cóż i oni sobie myśleli? Że my polscy chłopcy ze spuszczonymi głowami patrzeć będziemy na łapanki, akcje AB i prześladowanie Żydów? Nigdy! Pókim żyję będę za naszą Polskę walczył! Boże, czegoż ja się wtedy nie podejmowałem!

– Panie Witoldzie, proszę o tym opowiedzieć – redaktorka przerwała nagle opowieść seniora.

Staruszek zaśmiał się sam do siebie, kiedy wciągając powietrze rzekł z dumą:

– Wie pani, ja w trzydziestym dziewiątym maturę zdawałem. Z rachunków to może i orłem nie byłem, ale rysować, droga pani, to ja potrafiłem! Oj tak! Na sztuki piękne chciałem zdawać. Tylko we wrześniu ten Adolfik z wąsikami mi przeszkodził. Nic już nam wtedy nie było wolno. No więc zamiast szkicować zapierające dech w piersiach krajobrazy, przyszło mi rysować na murach swastyki powieszone na szubienicy. Ba, stałem się autorem portretu świni w mundurze oficera SS. Arcydzieło zdobiło przez kilka dni mury kina na ulicy Moniuszki, zanim oni go nie zmyli. To cacko wyszło mi najlepiej, oj przysięgam – pan Witold zaśmiał się jak z najlepszego dowcipu, po czym dodał:

– Wie pani, oprócz tego na maszynie przepisałem sto razy tekst: „Marszałek Piłsudski powiedziałby: A my was w nosie mamy”, a potem rozrzuciłem na Marszałkowskiej. Wie pani, jakie oni mieli miny czytając to? Tak, droga pani, dla takich momentów warto było wtedy żyć, choćby kula miała mnie zaraz trafić.

Oczy redaktorki spojrzały z podziwem na staruszkę, który uprzedził jej pytanie:

– Chciałaby pani zapytać, czy się bałem? Oj, droga pani, oczywiście, że tak. Aż mnie brzuch skręcał ze strachu. To nie jest tak, jak wy myślicie dzisiaj. Przecież myśmy byli wtedy młodymi chłopcami, czuliśmy, kochaliśmy i też odczuwaliśmy strach. Nie byliśmy tam jakimiś gigantami. Myślę, że gdyby dzisiaj Ojczyzna była w niebezpieczeństwie, to byście te swoje smartfony czy inne cuda odłożyli i za broń chwycili, jak my wtedy... Tak, tak...



Pan Witold zasępił się przez chwilę, po czym po dłuższym milczeniu kontynuował swą opowieść:

– Potem nadszedł ten słoneczny, bezchmurny, sierpniowy dzień. Wie pani, ja tego feralnego dnia wyszedłem wcześniutko rano. Bo ja kino zagazować miałem, gdzie oni te swoje filmy propagandowe oglądali. Oczywiście zrobiłem to bez wiedzy matki. Matuli powiedziałem, że ja na rachunki do Hermanowej idę, tam na Brzeską. A ona patrzyła na mnie jakoś tak dziwnie, tak inaczej.

– Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy żyją takie chłopaki, jak mój Wittek – rzekła do mnie i przytuliła z całych sił. – No idźże synku na te rachunki, tylko uważaj na siebie. Przyjdź przed godziną policyjną, ja będę wyglądała na ciebie oknem.

Tego dnia akcja udała się nam wyśmienicie. W kinie Adria rozpyliliśmy gaz wywołujący wymioty. Uff, jakże oni z tego kina uciekali! Niby tacy nadludzie, a wymiotowali na ulicy po tym gazie, jak każdy normalny człowiek. Widać, że rasa panów nie do końca była taka silna! – pan Witold odchylił głowę i zaśmiał się cynicznie, po czym nagle spoważniał.

– Potem wydarzyła się ta tragedia. Przed godziną policyjną, wróciłem do domu, tak jak matuli obiecałem. A ona w oknie stoi. Wie pani, myśmy taką tradycję mieli, że jak wracałem, to ona w oknie stała i swoją haftowaną chusteczką do mnie machała. No to podchodzę pod to okno, a ona faktycznie tam stoi. Tylko zamiast chusteczki, ręką do mnie macha, tak nerwowo, jakby chciała mi dać znać, żebym odszedł. Wtedy nasze spojrzenia spotkały się. Po raz ostatni... A potem nagle z tego okna zniknęła. Stałem tak nieruchomo pod tym oknem. Po chwili... – pan Witold ściszył głos i zaszlochał:

– Po chwili usłyszałem krótki strzał. Jeden...

CISZA

Głos pana Witolda załamał się i przeszedł w przejmujący płacz. Jednak po chwili staruszek otarł mokre od łez oczy i kontynuował swoją przejmującą opowieść:

– W tym momencie poczułem, jak ziemia osuwa mi się spod nóg. Początkowo pragnąłem pobiec tam, rzucić się na nich, kopać

i gryźć ich. Chciałem krzyczeć co sił w płucach. Ale w zamian za to stałem pod tym oknem jak skamieniały, milcząc... Trwałbym tam jeszcze dłużej, lecz nieoczekiwanie poczułem na swoim ramieniu czyjąś ciepłą dłoń. Niczym anioł stróż owa dłoń chwyciła moją rękę i zabrała mnie daleko z miejsca tragedii. Jak we śnie moje nogi zanosły mnie na ulicę Nalewki. Dopiero tam usiadłem na kostce brukowej i się rozplakałem. Jak baba, przysięgam.

– Stary, otrzyj łzy – dopiero teraz uświadomiłem sobie, że na ulice Nalewki nie przyszedłem sam, że ktoś podał mi pomocną dłoń. Właścicielem owej dłoni okazał się Janek, mój druh, z którym przeprowadzałem akcje. Chłopak rzekł do mnie:

– Wituś, przyłącz się do nas, partyzantów. Wszyscy czujemy ten sam gniew, co ty. Oni też zabili nasze matki. Teraz naszą matką jest Ojczyzna.

Spojrzałem na Janka. W jego oczach tańczyło tysiące ogników palających wolą walki. Naraz poczułem, jak wstępuje we mnie życie. Wiedziałem już, jaka będzie moja droga.

– Panie Witoldzie, stał się pan partyzantem?

– Ach, droga pani redaktor, nie tylko się przyłączyłem, ja stałem się jednym z nich. Wie pani, to była taka wielka leśna rodzina, spięta nienawiścią do wroga. Ach, ile myśmy wtedy akcji przeprowadzili! Droga pani, wy byście mogli nawet filmy o tym nakręcić! Lubicie teraz takie emocje? Prawda? Ale wtedy to było prawdziwe. Bijące w rytmie naszych gorących serc.

Pan Witold spojrzał na redaktorkę przenikliwym wzrokiem i zapytał:

– Słyszała pani kiedyś o brawurowej akcji oddziału AK „Jędrusie”? Kobieta spuściła wzrok i ze wstydem zaprzeczyła.

– Zamieniam się w słuch, panie Witku – rzekła cicho.

Oczy pana Witolda zaszkliły się i popatrzyły na kobietę przenikliwym wzrokiem, a po chwili staruszek nabrał powietrza i rzekł z dumą:

– Było nas szesnastu. Wszyscy młodzi i żądni zemsty jak ja, wszyscy z oddziału „Jędrusie”. Wie pani, wiosną czterdziestego trzeciego, ziemię sandomierską dotknęły aresztowania. Do więzienia

w Mielcu trafiło wielu naszych. Próbowaliśmy ich nie raz odbić, wiadomo, ale to proste nie było. Jednak nasz dowódca, Józef Wiącek ps. Sowa, przyjął wyzwanie. Myśmy wtedy z chłopakami siedzieli w bunkrze, takim zbudowanym pod samotną chałupą, nieopodal Iwanisk. W tamtym okresie właściwie byliśmy głodni nowych zadań, które mogłyby nam urozmaicić monotonię leśnego życia. Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak 27 marca nasz dowódca kazał nam wstać skoro świt i poważnym tonem zakomunikował:

– „Robimy” więzienie w Mielcu, chłopaki! Wymarsz za dwa dni o świcie!

– Tak jest! – zasalutowaliśmy zgodnym chórem.

Wcześniej z sukcesem zakończyła się nasza akcja odbicia więzienia w Opatowie, stąd mieliśmy nadzieję, że i ta pójdzie gładko. Wieczór przed akcją był wyjątkowo ciepły. Zewsząd czuło się już zapach wiosny. Rozsiedliśmy się na leśnej polanie i podziwialiśmy gwiazdy.

– Ta największa to moja siostra Inka. Zabili ją w czterdziestym pierwszym na Szucha! – krzyknął nieoczekiwanie mój druh Janek. – To ją właśnie chcę pomścić.

– A tamta, obok twojej gwiazdy, to ciotka Wandzia, zabita w ramach akcji AB – zawtórował mu inny z kompanów. – Jutro będziesz ciociu pomszczona!

– Za matulę – krzyknąłem nagle. – Ta świecąca z prawej to moja matula. Ją pomszczę. Nie odpuszczę żadnemu z nich! Rzucę ich na kolana!

Zamknąłem oczy. Wydawało mi się, że mama gładzi mnie po kędzierzawej czuprynie, jak wtedy, kiedy byłem małym dzieckiem. Przysięgam, wydawało mi się, że czuję zapach jej lawendowych perfum.

Rankiem o świcie dowódca Józef Wiącek ps. Sowa podzielił nas na sześć grup. Pierwsza z nich miała opanować i rozbić więzienie. Mnie wcielono do drugiej. Naszym zadaniem było zabezpieczenie podwórza. No i, droga pani, wyruszyliśmy rano, chyba ósma trzydzieści wtedy wybiła. Garstka nas była, ale i co z tego. Gorące ser-

ca potrafią więcej niż niemiecki karabin. Na wschodzie koszarowali żołnierze Wehrmachtu, a koło dworca mieścił się posterunek żandarmerii. Obok więzienia, które chcieliśmy rozgromić, znajdowała się kwatery gestapo. Jednak dla nas nawet i to nie stanowiło przeszkody. Broń i amunicję wieźliśmy na wiejskiej furmance pod dużą ilością słomy. A tego 29 marca nagle deszcz zaczął lać, jakby płakał naszymi łzami. Koła furmanki lepiły się w glinie, a my do przejechania mieliśmy ze trzydzieści kilometrów.

Bramę więzienia wysadził dowódca wraz ze Zbysiem Kabatą, pseudonim „Bobo”. Udało się dopiero za drugim razem, pierwszy wybuch tylko zawiasy naruszył. A potem to już poszło „jak z płatką”. Strażnicy poddali się, tych biednych, skatowanych przez nich więźniów wypuściliśmy. Część z nich przyłączyła się do nas, partyzantów. Strzelaliśmy na oślep jak szaleni. A oni? Siedzieli jak szczury w murach tamtego więzienia. Tylko siedząc w oknach, pruli na oślep, bo przecież amunicji im nie brakowało.

Pan Witold roześmiał się srebrzyście, odgarniając siwy kosmyk z pomarszczonego czoła:

– Wie pani, to była taka zabawa w „kotka i myszkę”. Oni myśleli, że Bóg jeden wie, ilu nas było. A nasz szesnastoosobowy oddział „Jędrusie” oprócz gorących serc posiadał raptem kilka granatów oraz broń długą. Dysproporcja sił była rażąca. Nasza spektakularna walka trwała ponad trzy godziny. Nie oszczędziliśmy nikogo z nich... prawie nikogo... – przy wymówieniu ostatniego słowa pan Witold ściszył głos i odwrócił wzrok, jakby się czegoś zawstydział. Jednak reporterka podchwyciła jego spojrzenie i zapytała nieoczekiwanie:

– Panie Witoldzie, pana ostatnie słowo, to „prawie”, czy mógłby pan przybliżyć o co dokładnie chodzi?

– Aaaa... – staruszek odwrócił wzrok i machnął ręką jakby od niechcienia. Początkowo nieco zmieszany zdradzał pewną niechęć do kontynuacji swej opowieści, jednak po chwili z ociąganiem rzekł:

– No cóż, ja ich wszystkich chciałem co do jednego powybić. Jak muchy. Otworzyłbym ogień do każdego Niemca. Tak ich nienawidziłem. Ale oni siedzieli w tym więzieniu, struchlali ze strachu

przed nami. Jednak po chwili patrzę, a tu wylatuje jakiś Szkop, to ja za nim. Biegłem co sił w nogach, chyba z dobry kilometr. A potem on się potknął o krawężnik i leżał na chodniku pustej ulicy, jak długi. Dopadłem go jak psa. Szarpałem nim chyba z kilka minut, a potem z satysfakcją krzyknąłem:

– Ku chwale Ojczyzny, skazuję cię na śmierć.

Dopiero teraz mu się przyjrzałem. Patrzę, a to dziecko prawie, na oko siedemnastolatek. Chłopak trząsł się ze strachu, jak w febrze. Bawiło mnie to szczerze i dawało satysfakcję. Teraz to ja miałem przewagę, ja dyktowałem warunki. Z radością załadowałem karabin.

– To za mamusię – syknąłem przez zęby. Już miałem odpalać, kiedy nagle zobaczyłem jak chłopak kuli się ze strachu, a z jego kieszeni coś wypada na chodnik ulicy. Po chwili przyjrzałem się, co to takiego. Było to poźółkła fotografia. Podniosłem ją.

– Meine liebe Mutti – usłyszałem jęk młodego żołnierza.

Faktycznie, na fotografii widniała uśmiechnięta kobieta, a w rękę trzymała chusteczkę, taką jak moja matula. Patrzyłem na zdjęcie otwartymi oczyma. Przez chwilę zapomniałem, gdzie się znajduję, zapominałem, że jest wojna. Wydawało mi się, że słyszę jak moja matka woła moje imię.

Nieoczekiwanie podniosłem płaczącego chłopaka z ziemi i objąłem go mocno.

– Próżno płakać chłopcze, wszystko próżno. To się niebawem wszystko skończy. Twoja Mutti jest z moją i patrzą teraz na nas z nieba.

Chłopak spojrzał na mnie bladoniebieskimi, zapłakanymi oczyma, oszołomiony tym co się dzieje.

– Uciekaj! Szybko! I do zobaczenia po wojnie! Może wtedy znowu będziemy na tym świecie wszyscy braćmi.

Młodzieniec patrzył na mnie przez chwilę, po czym wyszeptawszy „danke schön”, uciekł przed siebie w popłochu.

Zamknąłem oczy. Czułem, że matka patrzy na mnie i uśmiecha się. Wtedy zrozumiałem, że droga do ukojenia własnej duszy nie prowadzi przez zemstę, a przez wybaczenie. Zrozumiałem, że oni

też byli w wielu przypadkach ofiarami. Jednak w głębi duszy poczułem, że to przebaczenie jest pewnego rodzaju formą zemsty. Spojrzałem w niebo. Zachmurzyło się nagle i spadł rzęsy deszcz. Stałem na środku pustej ulicy i krzyknąłem co sił w płucach:

– Deszczu nie da się zatrzymać, ale ludzi owszem!

**Jan Kocot (Janek), kl. 5**

**Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu**

## **Na scenie życia**

– Bilety do teatru? – wywróciłem oczyma na widok imieninowego prezentu od dziadka Staszka. Właściwie pójście to tego przybytku kultury stanowiło ostatnią rzecz o jakiej marzyłem. Cóż, koncert „Metalicznych” to co innego! Ich muzyka jest po prostu odlotowa! Spojrzałem na dziadka i utonąłem w jego lazurowo-szarych oczach. Malowała się w nich jakaś tajemnica, nieprzenikniona głębia. Tymczasem uśmiechnąłem się drwiąco:

– Dzięki dziadzio, ale mówiąc szczerze, nie jestem wielbicielem teatru. Właściwie, co mogłoby być w nim ciekawego?

Rozłożyłem bezradnie ręce i nałożyłem na uszy słuchawki z walkmana. Nieoczekiwanie usłyszałem podniesiony ton dziadka:

– Janku, mój chłopcze, ty chyba nic nie rozumiesz... Wy młodzi naprawdę nic nie rozumiecie...

Wyłączyłem walkmana i popatrzyłem na starszego pana szeroko otwartymi oczyma. Nigdy dotychczas nie widziałem go tak wzburzonego.

– Czego nie rozumiem? – wymamrotałem po chwili.

– Życia, Janeczku, życia – zaszlochał senior i gładząc mnie po kędzierzawej czuprynie, rzekł cichutko:

– Chodź, opowiem ci, na czym to życie polega, mój chłopcze. Tak, już czas, abys poznał moją historię.

Zaintrygowany usadowiłem się na fotelu obok dziadka, którego bladoniebieskie oczy zaszyły mgłą, kiedy rozpoczął swoją opowieść. – Kiedy byłem dokładnie w twoim wieku, uwielbiałem chodzić do teatru. Po lekcjach wymykaliśmy się wraz z kolegami do Teatru Narodowego. Ach, cóż to były za wspaniałe czasy! Magia teatru przyciągała nas młodych chłopaków na komedie Fredry czy utwory Żeromskiego! Dla Teatru Narodowego pracowały tak wybitne postacie, jak scenograf Wincenty Drabik. W zespole byli zatrudnieni najlepsi aktorzy lat międzywojennych: Stanisława Wysoka, Irena Solska, Kazimierz Junosza-Stępowski, Józef Węgrzyn, Karol Adwentowicz. Skrycie marzyłem, że dane będzie mi występować na wielkich scenach. Ba, miałem ambicje stać się równie sławny, niczym uwielbiany w moich czasach Aleksander Żabczyński. W tamtym okresie uczęszczałem do gimnazjum męskiego pod wezwaniem św. Wojciecha w Warszawie. Ćwiczyłem dykcję pod surowym okiem pana profesora Artura Kirchmana.

W czerwcu trzydziestego dziewiątego w powietrzu czuć było już nadchodzące lato. Właśnie w czerwcowy poranek otrzymałem cudowną wiadomość: przydzielono mi, tak bardzo oczekiwaną przeze mnie, rolę Wacława w „Zemście” Fredry. Gdy z bijącym sercem stanąłem na wielkiej scenie, wszystkie oczy zwrócone były na mnie.

– „Myśli płocze,

Szał młodości – chęć pustoty (...)” – deklamowałem, wczuwając się całym sobą w rolę Wacława. Myślę, że sprostą zadaniu, czego potwierdzeniem był pełen aprobaty wzrok profesora Kirchmana, siedzącego na widowni.

– Bravo, brawo!!! Bisssssss, bisssssss!!! – burza oklasków nagradzała mój występ.

Lekko się czerwieniąc spełniłem wolę publiczności i deklamowałem jeszcze raz niektóre kwestie. Po skończonym przedstawieniu ukloniłem się zgrabnie. Wtem poczułem na ramieniu czyjąś dłoń.

– Jesteś wspaniały! Cóż za talent. Das war sehr schön – odwróciłem się i zobaczyłem dostojnego jegomościa. Oszołomiony rozpoznałem go. Zresztą któż mógłby nie znać wielkiego choreogra-

fa, aktora i scenarzystę, Thomasa von Schnepfa z Monachium. Wiedziałem oczywiście, że tak znamienita postać ma uświetnić dzisiejszą uroczystość, jednak zupełnie nie liczyłem, że będzie mi dane rozmawiać z nim osobiście. Ba, zbierać pochwały od takiego autorytetu!

– Ach, to nic takiego. Jestem tylko uczniem – rzekłem skromnie. Nasze oczy spotkały się. W tamtej chwili nie wiedziałem, że oto zawarłem najdziwniejszą przyjaźń w moim życiu.

Lato trzydziestego dziewiątego przeminęło jak w cudownym śnie. Przebudzenie nadeszło pierwszego września, kiedy zamiast powrócić do szkolnej ławy, trafiliśmy do piekła. Wojna otoczyła swoją ciemnością całą kulę ziemską, w tym i mój mały, młodzieńczy poukładany świat. W roku wybuchu wojny mój ukochany Teatr Narodowy spłonął w trakcie oblężenia Warszawy. Następnie został prowizorycznie zabezpieczony.

W listopadzie czterdziestego drugiego sytuacja w Warszawie stała się opłakana. Nie mieliśmy co jeść, brakowało podstawowych środków do życia. Na ulicach dumnie przechadzali się Niemcy, butnie spoglądając nam Polakom w oczy, jakby chcieli nam spojrzeniem przekazać: „my tu rządzymy”. Nie wolno nam było chodzić do teatru czy kina. Już rok po wybuchu wojny otwarto przy Nowym Świecie pierwsze kina dla Niemców. Pamiętam, że bilet kosztował nieosiągalne dla mnie 40 groszy za seans. Ponadto zakazano nam się uczyć. Nawet nie mogliśmy pić lemoniady w naszej ulubionej kawiarni, na której widniał teraz napis „Nur für Deutsche”.

Tamtego dnia padał deszcz. W pośpiechu robiłem zakupy, aby zdążyć przed godziną policyjną. Pakowałem właśnie chleb do worka, kiedy całą ulicę wypełnił jednolity krzyk: „Halt”. Przełknąłem ślinę ze zdenerwowania. Stało się to, czego tak bardzo się bałem. Oto Niemcy zorganizowali łapankę. Ustawiono mnie w kolumnie nieszczęśników.

– Ein, zwei, drei... zehn – lodowatym palcem dotknął mojej szyi, a ja myślałem, że zemdleję z przerażenia.

Już widziałem siebie torturowanego na Szucha. Oficer pociągnął mnie mocno za sobą, z zamiarem załadowania mnie do ciężarów-



ki. Ale niebawem podszedł do niego inny, chyba jego dowódca, bo tamten stanął na baczność i wyciągnął rękę w geście nazistowskiego pozdrowienia:

– Heil Hitler – krzyknął.

– Janek? – usłyszałem moje imię, podniosłem głowę i oniemiałem.

– Herr Thomas von Schnepf? – wymamrotałem, widząc mistrza teatralnego, przebranego w esesmański mundur.

– Janeczku, cieszę się, że cię widzę. Grasz jeszcze?

Smutno pokręciłem głową zaprzeczając. Mój rozmówca uśmiechnął się lekko.

– Wiesz, zostałem dyrektorem tutejszego teatru. Nigdy nie zapomniałem twojej wspaniałej gry aktorskiej. Nie możesz zmarnować swojego talentu. Proponuję ci angaż w moim teatrze. Wystawiamy rzecz jasna tylko niemieckie dzieła. Oczywiście, grać też będziesz po niemiecku. Zgoda?

Początkowo chciałem odmówić. Jednak popatrzyłem na przygotowaną ciężarówkę dla ofiar łapanek. Zwyciężył... mój strach.

– Zgoda – rzekłem, podając rękę mojemu mistrzowi.

Następne dni minęły jak we śnie. Zamieszkałem w małym pokoiku w teatrze. Przylegała do niego pozostawiona do mojej dyspozycji garderoba. Wcielałem się w bohaterów Schillera i Goethego. Doskonalilem swój warsztat aktorski pod okiem Thomasa von Schnepfa. Nasza relacja sprowadzała się nie tylko do roli „mistrz-uczeń”. Niemiec stał się, choć trudno mi to przyznać, ojcem i przyjacielem. Godzinami rozprawialiśmy o teatrze, wystawianych dziełach i scenariuszach sztuk. Mój przyjaciel uczył mnie, jak operować głosem, jak uzewnętrzniać emocje, doskonalił również moją dykcję. Zacząłem żyć w jakimś dziwnym, oderwanym od ówczesnej rzeczywistości świecie. Upajałem się sztuką i naprawdę zapomniałem, że obok toczyła się wojna.

Aż nadszedł pamiętny piąty kwietnia czterdziestego trzeciego. Tamtego dnia wcielałem się w rolę Wertera. Po skończonym, udanym przedstawieniu, wróciłem do mojej garderoby, mieszczącej się na parterze teatru.

– Janek? – usłyszałem znajomy głos, a potem pukanie w szybę.

– Profesor Kirchman? – wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia, widząc pod oknem mojego przedwojennego nauczyciela. Wyglądał żałośnie. Wychudzony, brudny, z pokrwawioną twarzą. Wtedy naraz przypomniałem sobie, w jakich czasach przyszło mi żyć.

Otworzyłem okno i pomogłem nauczycielowi dostać się do mojej garderoby.

– Janek, na Boga, pomóż mi mój chłopcze – jęknął mężczyzna. – Nie mam się gdzie podziać. Uciekłem z getta. Oni niebawem będą je likwidować. A wtedy to już po nas, Bóg mi świadkiem.

– Panie profesorze, wie pan przecież, że pana nie zostawię. Ukryję pana w mojej garderobie.

Profesor Kirchman uśmiechnął się lekko:

– Dziękuję Janeczku, zawsze byłeś dobrym chłopcem.

Podąłem nauczycielowi chleb i herbatę z cukrem. Mężczyzna wgrzyził się w kromkę łapczywie.

Następnego dnia zacząłem się gorączkowo zastanawiać nad kryjówką dla mojego przedwojennego nauczyciela. Tutaj w garderobie ktoś mógłby go nakryć. Poza tym była bardzo ciasna.

– Herr Thomas mi pomoże – oświeciła mnie ta myśl.

Pobiegłem schodami do jego gabinetu. Drzwi były uchylone, wpadało przez nie światło słoneczne. Jednak mojego niemieckiego przyjaciela nie było w środku. Postanowiłem wejść i poczekać tam na niego. Wtem słońce oświetliło leżące na biurku dokumenty.

– „Likwidacja dzielnicy żydowskiej. Wszyscy mają zostać rozstrzelani z rozkazu Thomasa von Schnepfa” – przeczytałem i zakręciło mi się w głowie. Litery rozmyły mi się przed oczyma, chwyciłem się taboretu, bo myślałem, że zemdleję.

– A więc to tak. Herr Thomas jest taki sam jak oni wszyscy – pomyślałem z bólem.

– Janek? – odwróciłem się i zobaczyłem Herr Thomasa. – Wszystko w porządku? Jesteś bardzo błądy? Dobrze się czujesz?

Spojrzałem na niego. Wydawało mi się, że widzę go po raz pierwszy. Chciałem krzyczeć, wrzeszczeć, jednak w zamian za to skinałem twierdząco głową.

– Zmykaj na scenę. Próba już się rozpoczęła – rzekł do mnie, a ja wymknąłem się bez słowa z jego gabinetu. W tym momencie coś we mnie pękło. Poczułem się oszukany, zdradzony przez najlepszego przyjaciela.

Po próbie czekała na mnie kolejna niespodzianka. Oprócz profesora Kirchmana w garderobie zastałem jeszcze dwie ciemnowłose dziewczynki.

– To Mania i Tola, moje bratanice. Udało się je wywieźć z getta. Janek... – profesor zwrócił się do mnie nieśmiało błagalnym tonem. – Pomożesz?

Spojrzałem na tych nieszczęśników i chciało mi się płakać. Nie wiem, czy to z powodu warunków, w jakich ci ludzie zmuszeni będą się ukrywać (przecież garderoba liczyła niewiele ponad dwa metry na dwa). A może to poznanie prawdziwego oblicza Herr Thomasa sprawiało mi nieopisany ból? W każdym razie skinąłem twierdząco głową.

Następne dni przyniosły mi nowych lokatorów teatralnej garderoby. Każdego dnia pojawiał się ktoś nowy. Nigdy nikomu nie odmówiłem schronienia. Jedni pomieszkowali raptem parę dni, inni pozostawali dłużej. Ukrywałem nie tylko Żydów, ale i członków podziemia. To właśnie jeden z nich zaproponował, abym wykradał dokumenty Herr Thomasowi. Informacje przekazywane były dalej, naczelnemu dowództwu państwa podziemnego. W ten sposób i ja walczyłem za naszą Polskę.

W ciągu dnia występowałem na scenie. Wtedy nie byłem Jankiem, a granym przez niego bohaterem. Oklaskiwali mnie wysocy urzędnicy SS i damy w sobolowych futrach, a pod nimi w maleńkiej garderobie ukrywali się ludzie... Siedzieli cichutko jak myszki, przysłuchując się mojej grze, ale z innego miejsca. Tak przeżyłem rok... Jeden długi rok...

Na początku czterdziestego czwartego mawiało się szeptem, że Niemcy niebawem opuszczą Warszawę. Po kryjomu słuchałem radia i uśmiechałem się na wieść o klęskach Niemiec na froncie. Tymczasem moją rzeczywistością stała się premiera „Dymitra” Schillera. Do tej roli przygotowywałem się ponad miesiąc. Jednak-

że wysiłek opłacił się, bo w roli tytułowego Dymitra okazałem się doskonały.

– Brawo! Brawo! Bis! – wiwatowała publiczność jak wtedy, kiedy przed wojną grałem Wacława, bohatera Fredry. Jednak teraz zmuszony byłem grać go w obcym języku, dla obcej publiczności. Nie byłem już tym samym Jankiem, młodym chłopcem marzącym o uzyskaniu sławy aktora. Byłem mężczyzną. Wojna przekreśliła moje dzieciństwo. Spojrzałem jeszcze raz na publiczność, mimowolnie szukając zachwyconego wzroku Herr Thomasa. Jednak w tłumie nie udało mi się go wypatrzeć.

Po udanym przedstawieniu moje myśli rozproszyły aplauzy od zaproszonych oficerów SS. Patrząc na nich czułem, jak krew szybciej mi krąży, a policzki nabierają rumieńców. Nie mogłem jednak się zdradzić. Moje myśli krążyły wokół malutkiej garderoby na parterze, a dokładniej wokół jej nielegalnych lokatorów. Dlatego czym prędzej pożegnałem się z gośćmi i udałem się na dół.

– Gra skończona, chłopcze – usłyszałem głos Herr Thomasa i poczułem, jak błyskawica przeszywa moje ciało. Początkowo chciałem wziąć „nogi za pas”, jednak zamiast tego odwróciłem się i spojrzałem Niemcowi głęboko w oczy.

– Ilu ich ukrywasz? – zapytał mnie cicho.

Milczałem przez chwilę.

– No ilu, do diabła? – powtórzył, tym razem wrzeszcząc jak oszalały.

– Nie wiem dokładnie. Chyba z trzydziestu... nie licząc tych, którzy już odeszli stąd – wymamrotałem.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, milcząc. Niebawem dyrektor teatru odezwał się już łagodniej:

– Janku, dlaczego? Dlaczego to robisz?

Odpowiedziałem mu pytaniem:

– A ty dlaczego wydałeś wyrok na tysiące niewinnych ludzi? Dlaczego Herr Thomasie? Dlaczego?

Mężczyzna zasępił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Muszę to robić, muszę być dobrym Aryjczykiem. A ty dlaczego to zrobiłeś? – ponowił pytanie.

– Muszę to robić, muszę być dobrym człowiekiem – odpowiedziałem bez zastanowienia.

Herr Thomas popatrzył na mnie przenikliwym wzrokiem. Potem nagle wyciągnął pistolet. Zamknąłem oczy, domyślając się, jaka będzie moja przyszłość. Jednak nieoczekiwanie wcisnął mi broń do ręki.

– Janeczku, weź. I uciekaj tylnym wyjściem. Oni też bezpiecznie tamtędy uciekną.

Popatrzyłem na niego niedowierzając temu, co usłyszałem.

– Żegnaj Janeczku... I nie myśl o mnie źle. Ja tylko wykonywałem rozkazy. Nie dało się inaczej – wyszeptał Herr Thomas i objął mnie niczym ojciec.

– Nigdy cię nie zapomnę – szepnął.

Tak, ukochany wnuczku tutaj kończy się moja opowieść... Nigdy już więcej nie zobaczyłem Herr Thomasa. Początkowo nie byłem w stanie mu wybaczyć. Jednak po wielu latach moje serce skruszyło lód. Po dziś dzień zastanawiam się, dlaczego człowiek o dobrym sercu, taki jak Herr Thomas, dał się wpłatać w maszynę śmierci... Jak to się dzieje, że artysta, człowiek o wrażliwym sercu, staje się katem? Kto ponosi za to winę? Na te pytania nie potrafię odpowiedzieć po dziś dzień. Za to, mój ukochany wnuczku, pragnę ci uświadomić, jakim szczęśliwym pokoleniem jesteście dzisiaj wy młodzi. Możecie bez przeszkód się uczyć, możecie chodzić do teatru.

Wiesz mój wnuczku, na koniec powiem ci, że nasze życie to teatr, wszyscy jesteście aktorami na scenie życia. Jednak to od nas samych zależy, jak zagramy nasze role...

## **Świat bez taty**

Jak zwykle w piątkowy wieczór wiedziałam, że jest dokładnie godzina 18.30. Usłyszałam bowiem warkot silnika auta taty, którym wracali z moim autystycznym bratem Jasiem z terapii. Do domu wszedł jednak sam Jaś, krzycząc, że tata się przewrócił! Wraz z rodziną nerwowo poszukiwaliśmy czapek, kurtek i rękawic zimowych, mama już była na dworze. Tak, chwytając w biegu telefon, jak stała, w koszulce, po śniegu dobiegała boso do leżącego męża. Gdy znalazłam się obok nich, tata przytulał mamę i coś jej szeptał, ona słuchając go jednocześnie nerwowo rozmawiała telefonicznie z pogotowiem ratunkowym, jak się domyślałam. Dziwnie to wyglądało, ojciec leżący na śniegu żegnając się z nami, jakby gdzieś wyjeżdżał, przypominał nam, że jutro jest sobota. Musimy więc sprzątać swoje pokoje. Słyszałam, jak tata mówił do mamy, że całą drogę walczył, aby dowieźć bezpiecznie Jasia do domu i teraz jest już wolny. Wolny od czego? Dalsze rozmowy zagłuszył przeraźliwy jęk syreny ambulansu. Lekarz i ratownicy prosząc, żebyśmy nie przeszkadzali, wyprosili nas do domu. Przy tacie zostali tylko mama i oczywiście jego Jasiek.

Gdy mama weszła do domu i oznajmiła, że tato nie żyje, świat zawirował mi w głowie. Niewiele pamiętam już z tego wieczoru. Tylko krzyk i płacz. Zimno i pusto. I wycie naszego psa.

Cieężko nam było w pierwszych dniach, tygodniach po pogrzebie ojca. Uciekaliśmy z domu pod byle pretekstem, unikaliśmy siebie nawzajem. Taka ogromna cisza, która głośniejsza była od uderzenia pioruna, była najgorsza. Tylko Jaś, bez względu na pogodę i porę roku, przesiadywał godzinami na swojej huśtawce zawodząc i wzywając ciągle nieobecnego już ojca. Wymagał też codziennego jeżdżenia na cmentarz, do grobu ojca. Wykrzykiwał tam różne dziwne hasła, które zamiast uśmierzać ból po stracie taty, tylko rozdrapywały świeżą ranę.

– Tato, wstawaj! Przecież dziś jest środa, jedziemy do pani Joli (terapeutki brata), dlaczego nie wstajesz?! – to było jego najczęstsze zawołanie.

Czas mijał, zamiast goić rany, działał na mnie odwrotnie. Straciłam ochotę do nauki, zabawy, spotkań z koleżankami. Ulubionym moim zajęciem było siedzenie obok mamy i „nicniemówienie”.

Ścisnęłyśmy się za ręce, czasem matka, pomimo mojego wieku, brała mnie na kolana i przytulałyśmy się, jak w dzieciństwie. Dawało mi to dużą siłę, aby umyć się, przebrać, iść do szkoły – w ogóle żyć.

Najbardziej denerwujące były wizyty cioć, wujenek i innych koleżanek mamy, które przyjeżdżały z bardzo dobrymi radami. Wszystkie wiedziały, jak mama ma się ubrać, schudnąć, bo się zaniedbała, przemeblować mieszkanie i wyjść do ludzi, bo jeszcze jest młoda i „coś sobie znajdzie”. Rozszarpałabym te baby, gdybym mogła! Faktycznie mama posiwała, przestała się malować, trochę przytyła i ogólnie zrobiła się jakaś starsza. Ale kto dał prawo tym ciotkom, żeby pouczać mamę i zapomnieć o tacie! Pewnego dnia wpadłam w furję. Po powrocie ze szkoły usłyszałam w gabinecie ojca ożywioną rozmowę. To jedna z tych cioć doradzała mamie, aby wyrzucić te stare, nikomu niepotrzebne i zakurzone książki. Przecież byłoby tyle miejsca na kryształ, kolorowe figurki i inne chińskie świecidełka. Nie słuchałam dalej. Zaczęłam krzyczeć, że nie pozwolę, żeby choć jedna książka taty stąd zniknęła! Przecież on tak je kochał. Mama czasem się śmiała, że zdradza ją z nimi. W tym momencie do domu wrócił z uczelni mój najstarszy brat. Jego zachowanie bardzo mnie zdziwiło, gdyż do tej pory nie przepadaliśmy za sobą. Przeprosił uprzejmie ciocię za moje złe zachowanie, wywołane pamięcią o zmarłym ojcu i oświadczył, że kategorycznie żadna rzecz z tego pokoju nie zostanie wyrzucona. I to ja, skoro on studiuje i nie ma go na co dzień w domu, mam tego przypilnować. Ciocia, o dziwo, przeprosiła i czym prędzej pożegnała się. Już więcej jej u nas nie widziałam. Inaczej spojrzałam na swojego brata. Od śmierci ojca zdał maturę, dostał się na wymarzone studia. Wobec tej ciotki był taki stanowczy, ale spokoj-

ny. Taki dorosły. Oświadczył też, że zaopiekuje się samochodem ojca. Zawsze śmialiśmy się po cichu przed tatą z jego przedpotopowego auta. On zamiłowany w starej motoryzacji, dopieszczał to swoje „cacko”. Wstydziliśmy się jeździć tym starociem, woleliśmy, gdy mama woziła nas swoim nowszym modelem. Trzeba jednak przyznać, że samochód taty zawsze odpalał, nawet w największe mrozy.

Tylko Jaś bardzo lubił samochód ojca. Gdy słyszał nasze żarty na temat jego auta wykrzykiwał:

– Tato, Opelek jeszcze idzie!

Ojciec rozpromieniał się wtedy znajdując bratniego entuzjastę starych samochodów.

Gdy zostałam kustoszem zbioru książek taty, energia życiowa znowu wróciła. Układając, odkurzając i katalogując ten ogrom starych książ i czasopism, nie oparłam się pokusie, żeby do niektórych zajrzeć. Wielu z nich nie rozumiałam, lecz kilka mnie zaciękało.

Po powrocie sił życiowych znowu zaczęłam spotykać się z koleżankami, chętniej chodzić do szkoły, weselej patrzeć na świat. Tylko moim ulubionym zajęciem stało się przesiadywanie w „pokoiku” taty i wczytywanie się wieczorami w te stare, zakurzone woluminy.

Mama jakby też powróciła do krainy żywych, stała się radośniejsza. Chociaż ostatnio przebudziwszy się w nocy podpatrzyłam jak z bólem płacze i zawodzi, kiwając się nad zdjęciem ojca. Tata, wiedząc ile ma codziennych obowiązków domowych, żartował czasem, że za mało czyta. Bo co nam pozostaje, gdy nie mamy już najbliższej osoby do zwierzeń i przytulania?

Jednak nie mnie to oceniać.



## **Jak zmieniłam swoje życie**

To miał być kolejny zwykły dzień, jednak tego poranka wszystko się zmieniło...

Jak zwykle wstałam z łóżka niewyspana i udałam się na śniadanie.

– Dzień dobry wszystkim! – krzyknęłam, biegnąc szybko po schodach.

Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, dlatego myśląc, że rodzice znowu zapomnieli poinformować mnie o nagłym wyjeździe, czmychnęłam czym prędzej do kuchni, aby przygotować sobie coś do jedzenia. Idąc, kątem oka zauważyłam, że jednak nie jestem w domu sama, gdyż na wielkiej kanapie w salonie siedziała cała moja rodzina. Wydało mi się to trochę dziwne. Jak to możliwe, że nikt nie słyszał mojego przywitania, skoro salon jest tuż obok schodów, z których schodziłam? Mimo tego nie zwracałam na to większej uwagi i radosna podeszłam bliżej.

– Cześć! Co robicie? – powiedziałam z entuzjazmem.

Znowu brak odpowiedzi... Robiło się coraz dziwniej i dziwniej, ale kiedy przypatrzyłam się wszystkim uważnie, zauważyłam, że każdy bez wyjątku trzyma w ręku swój telefon. Próbowałam nawiązać z nimi rozmowę, ale bez skutku. Czułam się, jakbym w ogóle nie istniała albo była niewidzialna dla mojej rodziny. W tym momencie było mi bardzo smutno i chciało mi się płakać.

– Proszę, powiedzcie, że to głupi żart! – mówiłam, ledwo powstrzymując łzy. Jednak nikt mi tego nie powiedział.

Uważałam, że pomóc może mi jedynie moja przyjaciółka – Lucy.

Czym prędzej napisałam do niej wiadomość następującej treści:

*Mogłabyś spotkać się ze mną za chwilę w parku?*

Już po kilkunastu sekundach otrzymałam odpowiedź akceptującą spotkanie. Z racji tego, że był dopiero poranek, poszłam się przebrać i uczesać włosy, po czym wzięłam ze sobą coś do przekąszczenia i udałam się do parku. Nie musiałam tam długo czekać. Moja przyjaciółka zjawiała się zaraz po moim przyjściu. Bardzo mnie to

ucieszyło, ale po chwili mój uśmiech znikł. Miałam zacząć już opowiadać o tym, co stało się u mnie w domu, jednak Lucy zachowywała się podobnie – grała sobie w „coś” w telefonie, nie zwracając na mnie uwagi. Po raz kolejny posmutniałam, po czym rozejrzałam się dookoła. Wszyscy byli pochłonięci przez swoje komórki. W tym momencie jedyną interakcją między ludźmi było pokazywanie nowości w internecie lub przechwalanie się, kto ile zdobył punktów w danej grze. Coraz bardziej mnie to załamywało. „Czy teraz mogę komunikować się z innymi wyłącznie przez telefon? Czy w tym momencie cały świat spędza czas, patrząc w komórki?” Takie myśli ciągle plątały mi się po głowie. Nie miałam pojęcia, co mogę uczynić. Zaczęłam biec. Biegłam ile sił w nogach. Do teraz nie mam pojęcia, po co to robiłam. Może uważałam, że w ten sposób mogę uciec od tego świata, w którym ludzie są szczęśliwi, gdy otoczeni są przez pochłaniający wszystko i wszystkich internet? Jednak moją ucieczkę przerwało nagłe zderzenie z wielkim tłumem ludzi, którzy niezbyt się tym przejęli, gdyż nawet na chwilę nie spuścili wzroku z komórek. Usiłując przedostać się pomiędzy innymi, musiałam nieco się wysilić, ponieważ byli oni dwa razy więksi ode mnie. Przepychając się tak, wpadłam na dziewczynkę mniej więcej w moim wieku. O dziwo, nie trzymała żadnego urządzenia elektronicznego w swoich rękach i wyglądała na zagubioną. Zupełnie tak jak ja! Gdy to zauważyłyśmy, pojawiła się nadzieja, że może nie wszyscy zostali już „pochłonięci”. Powiedziałam jej, aby poszła za mną do jakiegoś cichego miejsca. Tutaj słychać było tylko głośne kroki oraz dźwięki z najprzeróżniejszych gier. Kiedy już dotarłyśmy na miejsce, mogłyśmy w końcu porozmawiać.

– Cześć, jak ci na imię? – powiedziałam z uśmiechem, starając się ukryć smutek, który mimo tego spotkania nadal we mnie pozostał.

– Alice, a ty? – rzekła.

– Max – odpowiedziałam, po czym aby uniknąć ciszy, zapytałam:

– Gdzie jest twoja rodzina?

Alice nic nie powiedziała, tylko przytuliła się i zaczęła szlochać. Zdałam sobie wtedy sprawę, że to pytanie było nie na miejscu, gdyż jej rodzina tak samo jak moja spędzała czas w internecie.

– Co my teraz zrobimy? – spytała bezradnie. – Przecież nie mamy już do kogo wrócić.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, bo przecież z jednej strony miała rację, a z drugiej nie chciałam jeszcze bardziej jej smucić.

– Na pewno coś wymyślimy! – odpowiedziałam z nadzieją, ale w głębi duszy nie wiedziałam, co mam zrobić. Złapałam ją za rękę i dałam jasny przekaz, aby szła ze mną.

Szłyśmy tak i szły. Zrobiłam to tylko dlatego, by uspokoić dziewczynkę i przekonać ją, że mam jakiś plan, który idziemy właśnie zrealizować, co bardzo poprawiło jej humor. W tym czasie zakłopotana myślałam, co możemy w takiej sytuacji zrobić.

– Mam! Wymyśliłam! – wykrzyknęłam radośnie. – Mam znakomity pomysł!

– To przez tę całą drogę nie miałas żadnego pomysłu? – Alice nabrała podejrzeń.

Nie miałam pojęcia, co mam powiedzieć:

– Można tak rzec...

– Niech już będzie... – mówiła trochę zawiedziona. – To jaki jest twój plan?

– Na początku musimy ustalić, co jest głównym źródłem „pochłonięcia” ludzi przez ich telefony – zaczęłam przedstawiać mój pomysł. – Musi stać za tym coś więcej... Coś w rodzaju hipnozy, przez którą ludzie myślą tylko o telefonach.

– To ciekawe... Opowiadaj dalej.

– Najpierw zrealizujemy punkt pierwszy, potem przejdziemy do następnego.

Obie uważałyśmy to za doskonały plan. Po naszych analizach okazało się, że żadna z nas nie zaglądała dziś w swój telefon dłużej niż minutę. Może to podczas dłuższego przeglądania działa się coś hipnotyzującego? To było bardzo ryzykowne, ale któraś z nas musiała to sprawdzić na własnej skórze. Wszystko zaplanowałyśmy doskonale. Ja zaczynam przeglądać mój telefon, a w razie proble-

mów Alice wyrwie mi go z ręki i czymś go zniszczy. Teraz musiałyśmy przejść do najtrudniejszego punktu – realizacji tego zadania. Wszystko szło dobrze. Spokojnie przeglądałam telefon. Nagle na wszystkich stronach, wszystkich aplikacjach oraz we wszystkich grach pojawił się dziwny filmik. Jakieś hipnotyzujące rzeczy ukazały się przed moimi oczami. Dalej pamiętałam tylko Alice zabierającą mi i niszczącą telefon. Nic poza tym. To „coś” musiało w jakiś sposób dostać się do mojej pamięci i usunąć wspomnienia z czasu, gdy grałam. Całe szczęście wszystko się powiodło. Nasz plan stawał się coraz lepszy, bo znałyśmy już przyczynę dziwnego zachowania ludzi. Teraz stało przed nami najtrudniejsze zadanie – znaleźć sposób na przywrócenie życia do normy...

– Co mamy zrobić? – mówiłam, chodząc w kółko i wymyślając jakiś plan działania.

– Nie mam pojęcia! – odpowiedziała troszkę zdenerwowana Alice.

– To już chyba koniec! Nic nie wymyślimy...

– Nie mów tak! Na pewno damy radę... – powiedziałam załamany głosem.

Nie miałam już żadnych pomysłów... Zaczynałam wątpić w nasz idealny plan, którym tak się ekscytowałyśmy. Pomyślałam sobie o tych wszystkich ludziach, którzy nie doznają już normalnego życia, o mojej rodzinie aktualnie siedzącej na kanapie i gapiącej się w telefony. Te wszystkie myśli sprawiały, że coraz bardziej się załamywałam, ale również coraz bardziej chciałam uratować świat. Wiedziałam, iż wszystko spoczywa teraz w naszych rękach. Musiałam wziąć się w garść i przeanalizować dokładnie, co odkryłyśmy dotychczas i sprawić, by ci biedni ludzie skończyli raz na zawsze z internetem.

– Wiem! – wykrzyknęłam radosna. – Wiem już, co możemy zrobić! Pełna ekscytacji wybiegłam szybko na zewnątrz i powiedziałam Alice, aby za mną szła, a wszystko wytłumaczę jej po drodze.

– No to gdzie zmierzamy? – zapytała zaciekawiona.

– Wyruszamy tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

– Czyli gdzie dokładnie?

– Zobaczysz już za chwilę...

I tak szliśmy żwawym krokiem w stronę wielkiego budynku wyłaniającego się zza góry. W tamtym momencie byłam tak pewna siebie jak nigdy w życiu, wiedziałam, że gdy będę miała jakiegokolwiek wątpliwości, może to skończyć się źle dla innych. Weszliśmy na pagórek i ukazała nam się wieża z wielkimi nadajnikami, przez które przesyłany był sygnał do wszystkich komórek w naszym mieście. Przekroczyliśmy próg budynku, starając się zachować czujność, gdyż nie wiadomo było, co na nas tu czeka. Zgodnie z moim przeczuciem wszyscy pracujący w tym miejscu również zostali „pochłonięci”. Było to jeszcze dziwniejsze, bo przecież to oni wszystkim tutaj dowodzili. Udałyśmy się na najwyższe piętro w poszukiwaniu panelu umożliwiającego kontrolowanie telefonów.

– Jest tutaj! – wykrzyknęłam po naszej długiej jeździe windą. Obie pobiegłyśmy ile sił w nogach. Chciałyśmy naprawić to jak najszybciej się da, tylko teraz pojawiało się pytanie, co mamy wcisnąć? Było tu pełno przycisków i dźwigni różnego koloru. Wtem znalazłyśmy podejrzenie wyglądający czerwony przycisk, pod którym było napisane: „Wcisnąć tylko w przypadku nagłego zagrożenia!” W sumie można powiedzieć, że było to nagłe zagrożenie, dlatego gdy dalej rozglądałam się po pomieszczeniu, Alice bez zastanowienia próbowała wcisnąć przycisk. Na szczęście powstrzymałam ją w ostatniej chwili, gdyż w tym samym momencie zauważyłam, że ktoś próbuje otworzyć drzwi do pokoju, w którym aktualnie się znajdowałyśmy. Szybko schowałyśmy się w bezpiecznym miejscu, ale również w takim, abyśmy widziały, kto to jest i czego tu szuka. Był to starszy mężczyzna w długim, szarym płaszczu, podśpiewujący sobie coś pod nosem. Widocznie śpiewał o tym, co za chwilę zrobi, a z jego „śpiewów” wywnioskowałam, że chce uczynić świat zaawansowanym technologicznie i uważa, iż może zrobić to tylko przez przyzwyczajanie ludzi do ciągłego korzystania z urządzeń elektronicznych. Już za pięć minut ludzie na zawsze mieli pozostać takimi, jakimi są w tym momencie. Wiedziałam, że nie możemy do tego dopuścić, więc gdy pan wyszedł z pomieszczenia, czmychnęłyśmy do panelu. Miałymy pięć mi-

nut na dowiedzenie się, który przycisk jest tym właściwym. Czas mijał z sekundy na sekundę. Uporczywie szukałyśmy informacji na ten temat. Przejrzałyśmy całą instrukcję i nic! Dosłownie nic nie znalazłyśmy! Zostało nam już 30 sekund! Ze zdenerwowania uderzyłam rękoma o panel, wciskając przez przypadek jeden z przycisków. Zostało już 20 sekund. Niespodziewanie otworzyłam zablokowaną wcześniej szufladę, w której znajdował się przycisk anulowania wszystkiego. Nie widziałam dokładnie, do czego on służy, ale pomyślałam, że nie mam nic do stracenia. „Cztery... trzy...” Słyszałam komputerowy głos, po czym szybko nacisnęłam ten przycisk i... Nic nadzwyczajnego się nie stało... Przynajmniej my nic nie odczułyśmy. Postanowiłyśmy więc pobiec na rynek miasta i zobaczyć, czy nasze starania nie poszły na marne. Biegłyśmy ile sił w nogach. Dotarłyśmy na miejsce i... Można powiedzieć, że trochę udał się nasz plan, bo niektórzy natychmiast odłożyli telefony, ale na innych to nie zadziałało... Zrozumiałam wtedy, iż główną przyczyną nie była hipnoza, lecz uzależnienie.

Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. Bardzo mnie to zdziwiło, gdyż byłam na dworze.

Zaczęłam rozglądać się dookoła w poszukiwaniu przyczyny dźwięku, aż obraz przed moimi oczami stawał się coraz jaśniejszy i jaśniejszy. Wtem znalazłam się w kompletnie innym świecie. Okazało się, iż to wszystko było symulacją, a ja sama siedzę przy komputerze z okularami do wirtualnej rzeczywistości. Moja mama przyszła do mnie, abym w końcu wyszła i porozmawiała z rodziną. Zrozumiałam wtedy, że była to tylko gra, którą tak naprawdę można nazwać grą o mnie...

## **Nigdy o tobie nie zapomnę**

Rodzina Pawła mieszkała w parterowym domu blisko głównej ulicy. Dom otaczał piękny ogród pełen kwiatów i krzewów ozdobnych. Przechodnie często zatrzymywali się i podziwiali jego piękno. Tym razem jednak usłyszeli krzyki dochodzące z domu.

– Co to za wrzaski słysząc? – pytali przechodnie.

– To pewnie Paweł tak się wydziera – powiedziała sąsiadka Ola.

– Tato, kup mi quada! – krzyczał Paweł.

– Jesteś jeszcze za mały, a quad jest niebezpieczny, po za tym musisz na niego zasłużyć – stwierdził tata.

Do mieszkania weszła prababcia. A Paweł pomyślał wściekły: „No jeszcze tego brakowało, znowu będzie głądzić: jak byłam mała, to miałam jedną parę butów, lalkę ze szmatki, pasłam krowy, czasem chodziłam głodna. Co mnie to obchodzi, ja chcę quada!”. Po gniewnych przemyśleniach, Paweł krzyknął w stronę babci:

– Babciu, już dosyć tego się nasłuchałem, to nudne.

Babcia zdziwiła się, bo przecież niczego do Pawła nie powiedziała, nie zdążyła powiedzieć... Podeszła do okna i chusteczką otarła łzy.

– Co ty, płaczesz? Przecież nie masz o co – powiedział Paweł, któremu nagle zrobiło się jakoś głupio i przykro.

Tata zdenerwował się już nie na żarty i kazał synowi iść spać. Ten długo nie mógł zasnąć, aż zasnął nad ranem i miał dziwny sen.

Znalazł się na polnej drodze, po której szli ludzie dziwnie ubrani, większość z nich była na bosaka. Na pastwiskach umorusane dzieci pasły krowy i kozy. Obok dróżki stały małe drewniane chaty, a na płotach wisiało pranie i garnki. „Gdzie ja jestem? Chcę do domu!” – krzyczał w myślach Paweł. Jakaś pani pokazała mu jego dom. Na progu powitała go mama, która zapytała:

– Gdzie byłeś synku? Chodź na obiad, wszyscy na ciebie czekamy. Paweł rozejrzał się po biednej izbie, jego oczy zatrzymały się na drewnianym, zbitym z nieheblowanych desek, stole. To, co na nim

zobaczył, przeraziło go, więc zaczął krzyczeć. Krzyczał tak i krzyczał, płakał, szlochał, a potem znowu krzyczał:

– Co to za obiad?! Ziemniaki z mlekiem i to z jednego talerza? I jeszcze na dodatek mam jeść drewnianą łyżką?! Jak wy to możecie jeść?! W moim domu jada się na pięknych talerzach! Na obiad jest zawsze zupa i pyszne drugie danie, a na deser ciastko albo lody!

Jego wrzaski przerwała mama, pogłaskała go delikatnie po głowie i powiedziała cicho:

– Jedz, bo będziesz głodny.

Paweł usiadł za stołem, ale nie czuł apetytu. Cała rodzina jadła i rozmawiała ze sobą wesoło. Mama przypomniała, że Jurek po posiłku pójdzie z krową na pastwisko, Olek przyniesie wody ze studni i narąbie drewna, a zadaniem Pawła będzie opieka nad młodszym bratem?

– Co? Przecież ja sam jestem dzieckiem! Jak to? Ja się mam opiekować bratem? Ja? Dziecko?

Ale Pawła nikt nie słuchał. Popatrzył na podłogę. Nie wierzył własnym oczom. Czy to są zabawki? Przecież tym nie da się bawić! Gdzie zdalnie sterowane samochody, komputer, tablet, rower górski, klocki lego. Gdzie bilety do kina, które leżały na komodzie w przedpokoju? Gdzie komoda? Gdzie przedpokój?

Paweł wstał, a właściwie zerwał się od stołu. Znowu zaczął krzyczeć do osłupiałej rodziny.

– Jutro przecież mam iść do kina z kolegami! Gdzie moje bilety?! Mama wstała od stołu i zaczęła podchodzić do Pawła.

– Dlaczego mamusiu chodzisz tak skromnie ubrana? Dlaczego nie założyłś tej nowej sukienki, którą kupił ci tatuś w galerii? Dlaczego nie pojechałaś nowym samochodem do swojej firmy? Dlaczego mamusiu pierzesz na tarze, a pranie płuczesz w rzece? Przecież może to za ciebie zrobić pralka. Dlaczego śpimy na siennikach wypchanych słomą, przecież mamy wygodne łóżka? Dlaczego ja nie siedzę przy komputerze? Dlaczego?! Dlaczego?! Dlaczego?!

Paweł krzyczał tak głośno, że wszystkich obudził. Mama podbiegła do jego łóżka, tata zatrzymał się w drzwiach.



– Co się stało? – zapytała mama, głaszcząc Pawła po mokrych od łez policzkach.

– Mamo, ktoś nam ukradł pralkę, nie ma twojego samochodu. Mamo, ach mamo, tak się bałem...

– To tylko zły sen Pawełku – powiedziała mama.

Po śniadaniu Paweł pobiegł do domu prababci. Już na progu krzyczał:

– Babciu, babciu, babciu!

Potem mocno ją przytulił i powiedział, że ją bardzo kocha. Tylko ona wiedziała, dlaczego do niej przyszedł. Chłopak już nie chciał quada i na pewno nigdy nie zapomni lekcji, którą dostał od swojej prababci we śnie.

## Kategoria II szkoły podstawowe klasy 7-8

### Wiersze

#### Miejsce 1

59 Jakub Miklus: *Wszystko na próżno*

#### Miejsce 2

59 Nikola Bigos: *Wakacje*

#### Miejsce 3

60 Magdalena Oksińska: *Recykling?*

### Wyróżnienia

61 Urszula Słonina: *Tarcza*

62 Wiktoria Truszkowska: *Autostrada*

62 Hanna Zarzycka: *Poetka*

### Opowiadania

#### Miejsce 1

64 Jakub Krok: *Człowiek*

#### Miejsce 2

66 Zofia Ruśnica: *Na brzegu morza*

#### Miejsce 3

67 Julia Nguyen Van: *Malachit*

### Wyróżnienia

77 Dagmara Adamczyk: *Moc łąy*

87 Julia Osińska: *Pamiętnik choinki*

90 Gabriela Roszczyk: *Skąpany w ogniu*

97 Pola Pastwa: *Gwiazdy*

**Jakub Miklus (Kuba.M), kl. 7**  
**Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12**  
**w Stalowej Woli**

## **Wszystko na próżno**

Jestem na bakier  
z twórczą weną  
Myśli młodzieńcze  
wciąż nie z tej bajki  
wciąż brakuje im skrzydeł  
Bezskutecznie dobijam się  
do drzwi  
wiersza  
Zamknięte na trzy spusty  
Szukałem natchnienia  
obok wstęgi Sanu  
Popłynęło wzdłuż Wisły  
do morza  
Ofiarowałem je głębinom  
Bawiły się dobrze  
topiąc okruszyny talentu

**Nikoła Bigos (Nika 3), kl. 7**  
**Szkoła Podstawowa nr 1 w Osobnicy**

## **Wakacje**

Milczenia pełne lamperie,  
dzwonek spuścił nos na kwintę,  
pantofel nie od pary  
rozkleił się na dobre  
i płacze...  
Kreda nie piszczy,

gąbka usycha z pragnienia,  
żarłoczny kosz przeżuwa  
ostatnią ściągę,  
a mapa czeka,  
kiedy ją powieszą.  
Pyzate piłki straciły swą jędrność,  
ławeczki prostują plecy,  
a laptop zerwał z interaktywną  
oh! ach! oh! ach!  
Tylko globusowi  
przestało kręcić się w głowie  
i drzwiom nikt nie powie,  
że są kopnięte...  
Dlatego nie tęsknią  
za czerwoną jarzębiną  
ani za jabłonią,  
co zagląda przez okno  
rajskim jabłuszkiem...

**Magdalena Oksińska (Meg), kl. 8**  
**Zespół Szkół i Placówek Publicznych nr 3,**  
**Publiczna Szkoła Podstawowa nr 5**  
**w Ostrowcu Świętokrzyskim**

## **Recykling?**

Z ociąganiem  
wyciągnęłam się z domu  
wyrzucić śmieci

Na bezdechu  
pozbyłam się balastu  
w międzyczasie odrzuciłam wzrok na bok

i trafiłam nim  
w skulone do granic sierścieszętko  
patrzące wypełnioną  
po brzegi czernią

Ani prychnieniem  
ani pazurem  
nie pozwoliło mi wrócić pusto

**Urszula Słonina (Panda), kl. 7**  
**Szkoła Podstawowa nr 1 w Rzeszowie**

## **Tarcza**

Powieka zamyka strumień obrazów,  
odgradza, izoluje, chroni.  
Zamknij ją, schowaj się we własnym świecie.  
Nurzaj się w odmętach pięknych myśli  
– truskawek w gęstej śmietanie.  
Wszechobecny strach utuli cię do snu,  
spisek nadziei i żalu rozerwie serce na strzępy,  
ale powieka odgrodzi cię od świata.  
Labirynt rzeczywistości i snu,  
a ty chwiejesz się na granicy.  
Śpij, śpij, śpij.  
Zanim jawa uszczypnie cię zbyt mocno.

**Wiktoria Truszkowska (Wiki), kl. 7**  
**Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12**  
**w Stalowej Woli**

## **Autostrada**

Brzozy aż posiwiały  
słyszac skargę lasu  
Szeptaly do bladego switu  
nieszczęśliwe  
Wypłakały zielone oczy  
do ostatniego liścia  
Pożegnały wierzbę kumoszkę  
sąsiadkę z polany  
Rano kładą głowy  
pod topór  
gasną jak zwijane żagle  
autostrada będzie piękna

**Hanna Zarzycka (Hanna), kl. 7**  
**Szkoła Podstawowa nr 7 w Łodzi**

## **Poetka**

Nie jestem szczególnie romantyczną osobą,  
Bo nie płaczę po nocach w swoje poduszki.  
Nie bujam w obłokach, z zamyśloną głową,  
I nie pasują do mnie plecione wianuszki.

Nie lubię opowieści zbyt lirycznych,  
Bo nudzą mnie mocno problemy miłosne.  
Nie umiem stosować środków artystycznych,  
I dobieram rymy, które są okropnie żałosne.

Lecz czemu, kiedy zobaczyłam cię dzisiaj wieczorem,  
Poczułam ciemność pod powiekami i rąk drżenie?  
Stanęłam nagle przed dziwnym wyborem:  
Porzucić realizm i wśród poezji znaleźć ukojenie?

## **Człowiek**

Tamtej nocy wychodzisz przywoływany głośnym pukaniem w drzwi swojego mieszkania. Rzecz intrygująca, już późno w nocy. Zarzucasz szlafrok na kolorową piżamę i patrzysz przez dziurkę od klucza. Przez dziurkę, przez którą świat wygląda zawsze jakoś inaczej. Jakoś mniej podejrzanie, a bardziej znajomo. Zupełnie jakby nie chciał nam ukazać całej prawdy znajdującej się za drzwiami. Ale nic nie widzisz. Przesłyszało ci się. To środek nocy. Nikt nie puka do twoich drzwi o takiej porze. Nie może. To nieeleganckie. Ściągasz szlafrok i wracasz do łóżka. Pod pościel. Zamykasz oczy i wtedy to się powtarza. Natrętny dźwięk głośnego uderzenia o drzwi, za którymi przecież nikt nie stoi. Podnosisz się. Dźwięk nie ustaje. Wypełnia twoje skronie swoją jednostajnością, zupełnie jakby chciał być milczeniem słyszalnym nadnaturalnie dla ucha. Jakby pragnął, aby nikt go nie słyszał. I mimo uporczywości wracających wciąż uderzeń, coś wydaje się być kojącego w tym wszystkim. Rozglądasz się więc znów po pomieszczeniu. To nie głos zza ściany. To zza drzwi. Teraz jesteś już przekonany. Ubierasz szlafrok i wychodzisz ponownie do przedpokoju. Dziurka od klucza i cisza. Pustka. Nic nie ma, nie ma nikogo. Odnosisz wrażenie, iż czegoś nie widzisz. Że sam próbujesz uniknąć tego, co mówi do ciebie twój wewnętrzny głos. Bo w końcu jesteś sam. Sam w tym pustym mieszkaniu, w chłodną, acz przyjemną, letnią noc. A może to jednak zwykłe przesłyszenie? Wracasz zamyślony. Na progu sypialni zatrzymujesz się spojrzawszy na łóżko. Leżysz w nim ty. Śpisz spokojnie, w głębinach beztroski. Nikt nie stuka do drzwi. Śpisz. Po chwili namysłu stwierdzasz wreszcie co następuje. Nie możesz tam wrócić i obudzić śpiącego. Niemożliwym jest przeszkadzać sobie we własnym śnie. Nie, nie. Nie wracasz. Toteż, co teraz? Teraz do kuchni, coś zjeść. Może wypić? Nalewasz sobie wody? I znów wraca mrocznym krokiem stając pod



twymi drzwiami. Niewidoczny prześladowca. Puk, puk. Gdzie ten dźwięk? Podchodzisz do drzwi zrzucając szlafrok. Wsuwasz buty i zakładasz płaszcz. Sprawdzisz to. Ciekawość nie pozwala ci stać w miejscu. Stajesz przed drzwiami, otwierasz, wychodzisz. Nie zauważasz, że stoisz za swoimi plecami na końcu korytarza, przy drzwiach z sypialni. Obudziłeś się, a teraz stoisz i patrzysz. Gdy jesteś już na dole schodów, słyszysz trzaśnięcie drzwi. Zamknąłeś je i wracasz do łóżka. Nie zatrzymujesz się. Wybiegasz z budynku. Zalewa cię fala świeżego, spokojnego, nocnego wiatru, który muska twarz w delikatnych powiewach. Lampy świecą się na pokrytej cieniami ulicy, niczym oczy wpatrzone w poszukiwaniu twojej twarzy. Samochody stoją pod blokiem. Czego szukasz? Nie wiesz. Kto pukał do twoich drzwi? Czy myślisz, że się dowiesz? Czy wychodząc w nocne mroki spotkasz tajemniczego zbira, czyhającego w niewidocznej egzystencji za dziurką od klucza? Mija cię człowiek w kapturze z butelką w ręku. Nie unosi głowy. Jest twojego wzrostu. Mijas go i obracasz się jeszcze parę razy. Czy wejdzie na twoją klatkę? Nie. Idzie dalej. Czy znajdziesz to czego chcesz? To niemożliwe. Siadasz na ławeczce i unosisz głowę do nieba pełnego błyszczących gwiazd odzwierciedlających cudowne oblicza ludzi dawno zmarłych, a nadal obecnych. Naprzeciwko ciebie sklep. Zwyczajny, spożywczy. Zapewne prowadzi go jakiś tutejszy staruszek z bloku obok. Nie wiesz. Nigdy tam nie byłeś. W stronę sklepu idzie trzech rośliwych mężczyzn. Przemieszczają się zaledwie dziesięć metrów od ciebie. Czy nie widzą cię po drugiej stronie oświetlonej ulicy? Dwóch wyciąga zza pazuchy bejsbolowe kije i uderza w szyby sklepiku, które pękają pod naporem. Sięgają rękami przez wyłom i wrzucają jakieś produkty do siatek. Po chwili odchodzą jak gdyby nigdy nic, a w drzwiach rozlega się pukanie. Budzisz się w łóżku i podchodzisz do drzwi, za którymi nic. Tylko powietrze głucho obijające się o kolejne drzwi. Siedząc na ławce myślisz, że powinieneś wrócić. Kiedy masz już wstać, na ulicy pojawia się dwóch ludzi. Jeden ubrany w długi czarny płaszcz z kapturem, drugi zaś cały na białło. Jasne, rozwichrzone włosy latają po twarzy. Białły to ty. Idziesz ulicą obok człowieka w czer-

ni. Otoczeni przez ponurą ciszę głębokiego snu ludzi, których nigdy nie poznałeś. Zatrzymujecie się na środku. Siedząc na ławce przypatrujesz się zajściu. Śpisz przykryty grubą kołdrą i budzisz się ponownie, żeby sprawdzić kto stoi za drzwiami. Za niedługo zapomnisz i już się nie przebudzisz. A wtedy wejdiesz do mieszkania i położysz się obok samego siebie na łóżku. Zaśniesz. Stoicie w tej ciszy na osiedlowej ulicy. Czarny wyciąga pistolet. Przeładowuje i przykładą do twojej skroni. Oddaje strzał. Przypatrujesz się swojemu upadającemu w strumieniu krwi ciału. Umierasz żyjąc. Po tym strzale wraca brzmienie ciszy. Już nikt nie puka do drzwi. Leżysz na łóżku nie budzony przez żadne dźwięki. Obok ciebie, leżysz ty, który także powoli zamykasz oczy i zbliżasz się do snu. I ty na ławce przyglądasz się człowiekowi w płaszczu. Ściągasz kaptur.

**Zofia Ruśnica (Zo-Ja), kl. 8**  
**Szkoła Podstawowa w Nowym Wiśniczu**

## **Na brzegu morza**

Na brzegu morza, na czarnych skałach siedziała ona – targana emocjami tak gwałtownymi, że fale obijające się o skaliste wybrzeże starały się omijać miejsce, na którym siedziała ta istota. Bezsens miotał jej duszą, rozrywając ją na strzępy, odbierając godność jej ludzkiej natury. Pustka paliła jej umysł, zostawiając niegojące się rany, które skraplała owa morska bryza, nieraz nagradzająca swoją kroplą na czole zmęczonego rybaka, wracającego z połowu do rodziny. Te płomienne uczucia zawiodły ją na to pustkowienie. Gdyby nawet ukryła się przed nimi i tak by ją dopadły. Nie miała wyboru, musiała poddać się brutalności tego świata i pogodzić się pierwszy raz z bezbronnością swojej osoby. Jeśli byłoby wiadomo dlaczego jej emocje ją tu zabrały, ludzie mieliby rozwiązanie na trudy egzystencji. Bo piękno tego tak świętego daru spoczywa w jego niewiadomej, w tym czego nie wiemy i wiedzieć nigdy

nie będziemy. Jednakże piękno sytuacji kobiety o szarawych włosach siedzącej na skale jest mroczne i przerażające, bo dotyczy tak tajemniczego zakątka naszej duszy. Wpatrując się w bezkres ciemnego morza, spogląda ona w głębię wody, tonąc we własnym przekonaniu o bezsilności istoty ludzkiej. I miota nią niepokój, który uderza niczym fala w kuter rybacki podczas sztormu. I upada na czarną opokę, potwierdzając swoje mroczne myśli. Nie zaczyna się sztorm. Nie grają smutnego marsza pożegnalnego. Nie zrywa się wiatr. Jest cicho. I tylko cisza obejmuje jej wątłe ciało.

**Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 8**  
**Szkoła Podstawowa nr 2**  
**z Oddziałami Dwujęzycznymi w Jaśle**

## **Malachit**

Pamiętam doskonale, jak pisałam listy pożegnalne do moich najbliższych. Jak wyszłam z nimi z domu wieczorem, wkładając tylko ciężkie buty. Jak poszłam na most w towarzystwie chłodnego wiosennego wiatru. Jak stałam poza barierką, wpatrzona w odbicie sierpa księżyca na tafli spokojnej wody. Jak pocałowałam listy i zostawiwszy je na suchym lądzie, zrobiłam wielki krok naprzód. Tego, co działo się dalej już nie mogę sobie przypomnieć, ale wiem, że spędziłam pod wodą szmat czasu, a za chwilę już siedziałam na brzegu, skulona i wpatrzona w dal na most, gdzie błyskały światła karetek i przeszukiwane było dno rzeki.

Nie wiedziałam, dlaczego jeszcze nie ukoił mnie wieczny sen, ale potencjalna odpowiedź na moje pytanie stała tuż przede mną. Zwrócona tyłem do mnie, ubrana w długi, kruczoczarny płaszcz z kapturem, przewiązany szarym pasem. Nosiła na plecach dużą, naostrzoną kosę w kolorze węgla kamiennego, wysadzaną wypolerowanymi zielono-morskimi kamieniami, lśniącymi w blasku księżyca.

– Hej, napisałem do mojego szefa i powiedział, że jesteś na jego liście ludzi z dzisiejszą datą śmierci, ale jak widać, nie mogłem cię przeprowadzić, bo tak jakby jeszcze nie umarłaś! – Śmierć obrócił się przodem do mnie.

Wyglądał na wysokiego piętnastolatka. Jego ciemnoszara cera pokryta była licznymi, acz mało widocznymi piegami. Popatrzył na mnie swoimi dużymi, soczyście zielonymi oczami. Spod jego kaptura wystawały niesforne pukle krótkich, czarnych loków. Trzymał w ręku czarny, skórzany notes i długopis. Wyglądał na zdezorientowanego – tak jak i ja.

– Jesteś moim pierwszym takim przypadkiem. Nigdy mnie nie uczyli, co robić w takiej sytuacji! – zawołał, załamując ręce.

– Czyli... umarłam czy nie? – zapytałam z przejęciem.

– Byłaś pod wodą przez dość długi czas. Przyszedłem tu po ciebie, ale nie wytwarzałaś wokół siebie takiej aury jak inni zmarli, dlatego wyciągnąłem cię na brzeg. Nie mogę, pierwszy miesiąc pracy jako kosiarz i już taki incydent! – Złapał się za głowę, zakrywając oczy. – Ach, skoro pytasz... Nie wiem, naprawdę. Jesteś pewnie gdzieś pomiędzy.

Przerzuciłam szybko na niego wzrok. Wszystkie moje mięśnie się napięły, jak cięciwa łuku gotowa do wystrzelenia strzały. Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam. Patrzyłam bez mrugania na Śmierć swoimi piwnymi oczami, oczekując więcej odpowiedzi i wyjaśnień. Miałam coraz więcej pytań, ale wszystkie sprowadzały się do jednego: jak? Nie potrafiłam jednak nic powiedzieć.

Śmierć otworzył swój notes i zaczął coś pisać, zerkając na mnie co chwilę wzrokiem pełnym niepokoju. Trwaliśmy tak, nic nie mówiąc. Na moście nadal migały czerwono-niebieskie światła, widziałam z tej odległości zebrany tłum gapiów. Zastanawiałam się, czy widzą moje ciało? Czy teraz jestem... duchem? Czy inni ludzie mogą mnie teraz zobaczyć, jak siedzę na brzegu?

– Słuchaj, mam jeszcze innych klientów. Nie mam pojęcia, co z tobą zrobić, więc może zaprowadzę cię do mnie? Jeżeli oczywiście nie masz nic przeciwko, a nie chciałbym cię gubić na świecie.

– Chyba nie mam wyboru. Prowadź. – Wstałam z ziemi.

Śmierć schował notes do wewnętrznej kieszeni płaszcza i podszedł do mnie. Delikatnie chwycił mnie za ramiona i wszystko wokół mnie zaczęło wirować. Most, rzeka i światła samochodów zlały się w jedną plamę, dźwięki stały się przytłumione. Czułam, jak grunt usuwa mi się spod stóp, zatkałam uszy i zamknęłam oczy. Od razu cały mój ostatni posiłek powędrował do góry, ale udało mi się go powstrzymać przed opuszczeniem mnie w ostatniej chwili. Zaszumiało i zakręciło mi się w głowie, więc kucnęłam, czekając tylko na koniec podróży.

Po chwili niewyraźnie usłyszałam głos Śmierci:

– Dobrze, możesz się rozgościć, tylko nie wiesz za bardzo. Wróć niedługo, jak skończy się moja zmiana. – Otoczył mnie dźwięk przesypywanego piasku, a następnie nastała cisza.

Odważyłam się otworzyć oczy. Śmierci nie było już przy mnie. Powoli wstałam i rozejrzałam się po otoczeniu. Znajdowałam się w średniej wielkości przestronnym pokoju. Na ciemnobłękitnych ścianach widniały ramki z różnymi zdjęciami w bladych barwach. Przy ścianie naprzeciw nich stała zwykła szafa i kilka półek na książki, uginających się pod ich ciężarem. Przed sobą widziałam pościelone łóżko a obok niego zasłonięte drewnianą żaluzją okno. Lampa na suficie była jedynym źródłem światła. W pokoju stał także komfortowo wyglądający fotel, krótkie biurko oraz mięciutki, puchaty dywan.

Drzwi za mną zostały zamknięte. Jeszcze roztrzęsiona po ostatnich wydarzeniach usiadłam na fotelu. Czułam niewyobrażalne zimno, nie wiedziałam, czy to z emocji, czy z wyziębienia spowodowanego długim pobytem pod wodą. A moje ubrania nawet nie były mokre. Odetchnęłam głęboko, starając się nie myśleć o drżących kończynach. I w tej chwili do głowy przyszła mi pewna myśl. Powoli i ostrożnie dotknęłam ręką swojej szyi. Nie wyczułam pulsu.

– Jakim cudem jeszcze nie umarłam?!

Ostatnie wydarzenia przeżyłam tak szybko. Byłam gotowa na opuszczenie tego świata każdym skrawkiem mego ciała i duszy, a teraz zostałam zmuszona do chodzenia po nim jeszcze dłużej!

Nawet nie wiem, gdzie teraz jestem, w jakim miejscu na Ziemi. A może nie na Ziemi... Moje nogi odmawiały podejsścia do okna i wyjrzenia przez żaluzję na okryte tajemnicą zewnątrz. Nie miałam odwagi, by zobaczyć co jest poza szybą – mogło znajdować się tam dosłownie wszystko: od widoku alpejskich gór do scenerii rodem z piekieł.

Jednak, kiedy spadałam, kiedy czułam, jak moje ciało uderza o taflę wody z nieprzyjemnym, ciężkim pluskiem, pewna część mnie chciała jak najszybciej zawrócić. Cofnąć czas, abym powędrowała z powrotem na most. Tylko dlaczego moja podświadomość pragnęła wrócić do tego samego życia, od którego właśnie wtedy próbowałam się uwolnić?

Patrzyłam prosto przed siebie oczami bez łez. Nie mogłam zapłakać. Nawet nie chciałam. Czułam tylko pustkę. Myślałam, że przesiedzę ten czas, dopóki Śmierć nie wróci, ale przeniosłam wzrok na zdjęcia na ścianie, które zaciekały mnie tak, że aż musiałam je obejrzeć z bliska. Podeszłam do jednej z fotografii i przyjrzałam się jej dokładnie. Dopiero teraz zauważyłam, że to nie zdjęcie, a wycinek z gazety. Przeczytałam jego treść:

„Piątego grudnia bieżącego roku miał miejsce tragiczny wypadek. Piętnastoletni chłopiec wpadł pod koła rozpędzonego pociągu w pobliżu miejscowej stacji kolejowej, chcąc uratować psa w tarapatkach. Nastolatek zginął na miejscu, jego ciało zostało odnalezione przez przechodzącego obok mężczyznę, który wezwał odpowiednie służby...”

Spuściłam wzrok i wzięłam krótki oddech. Jak wyglądałby artykuł o mnie? Czy znaleźli moje ciało? Czy zauważyli moje listy? Rozmyślają już o pogrzebie? Wszystkie możliwe pytania zalały mnie w tym samym momencie.

Spojrzałam na sam dół artykułu. Pod zdjęciem torów ktoś napisał czerwonym długopisem „pierwszy sukces! :D” i narysował kilka gwiazdek. Gdyby nie to, że znajdowałam się w pokoju samej Śmierci, uznałabym, że to dopisek początkującego płatnego zabójcy.

Usłyszałam cichy szum, jakby łopot skrzydeł, i dźwięk przesypywanego piasku. Ach, o wilku mowa...

Odwrociłam się i zobaczyłam Śmierć wychodzącego z chmury szarej mgły. Wyglądał na bardziej pogodnego niż podczas naszego pierwszego spotkania. Miałam nadzieję, że przyniósł jakieś dobre wieści.

– Przepraszam, że tyle to zajęło – oznajmił, ściągając kaptur z głowy. – To był dość pracowity dzień, ale teraz mój kuzyn będzie harować.

– Kuzyn? – zdziwiłam się. Może uda mi się porozmawiać na inny temat niż mój niecodzienny wypadek.

– Tak, każde uosobienie śmierci jest ze mną spokrewnione w mniejszym czy większym stopniu i każde zajmuje się określonymi ludźmi. Ja, na przykład, ów mój kuzyn i jeszcze tam inni, jesteście od agnostyków. Inni są od chrześcijan, ateistów, buddystów i tak dalej, nawet zwierząt. Niektórych znam lepiej, niektórych gorzej. To zależy od tego, jak często ich spotykam.

– Hmm... ciekawe. Zawsze inaczej to sobie wyobrażałam.

– Ha, wszyscy inaczej to sobie wyobrażają – zaśmiał się. – Dobrze, ale do sedna, w międzyczasie wstałam szybko do gabinetu szefa i dopytałam się trochę o twój przypadek i już wiem, co robić. Jesteś gotowa na kilka pytań?

Na słowa „już wiem” ścisnęło mi serce. Jest jakaś szansa na wydostanie się z tego piekła! Wytrzeszczyłam oczy i przytaknęłam szybko, nie mogąc się doczekać.

– Dobrze – kontynuował – czy zostawiłaś może jakiś przedmiot na moście albo w domu, z którym jesteś jakoś emocjonalnie związana? Książka jakaś, telefon, zdjęcie, biżuteria, cokolwiek.

– Ja... tak, miałam ze sobą moją starą bransoletkę, którą dostałam od babci dawno temu, ale włożyłam ją do jednego z listów. To jedyna rzecz, która mi przychodzi do głowy, ale nie czułam do niej jakiegось sentymentu ani nic innego.

– I właśnie o to chodzi. – Pstryknął palcami. – Nie byłaś z nią dostatecznie związana i nie nosiłaś jej, kiedy skoczyłaś. Każdy człowiek ma coś, tak zwany Artefakt, z czym jest związana jego dusza.

Jeżeli nie trzyma go przy sobie lub nie pamięta o nim w chwili śmierci, jest szansa, że może mieć trudności z przejściem na drugą stronę. Ty odrzuciłaś wszystkie uczucia i emocje w chwili skoku, więc twoja dusza nie zaznała spokoju i ciągnie dalej do tej bransoletki. Dlatego nie mogłem cię przenieść od razu.

– Można coś z tym zrobić? – przerwałam mu.

– Już mówię. Musimy wrócić na Ziemię i odnaleźć twoją bransoletkę, a potem przejść z powrotem na most. Tam będę mógł cofnąć czas, za pozwoleniem szefa, i będziesz mieć kolejną szansę na opuszczenie tego świata. Jasne?

– Tak, chyba tak.

– Ha, i pomyśleć, że nauczyłem się tego wszystkiego przed chwilą! Mój szef jest dość mądry, jak na małą kulkę pierza.

– Kulkę? Pierza?

– Chodź, nie mamy czasu do stracenia! – Złapał mnie za nadgarstek i wyprowadził z pokoju.

Wyszliśmy na jasny, wąski korytarz o kremowych ścianach. Minęliśmy szybkim krokiem wiele ciemnobrązowych drzwi z wysokimi numerami, wiele razy skręcaliśmy na rozdrożach, przechodziliśmy przez jeszcze więcej drzwi. Kiedy myślałam, że się zgubiliśmy, natrafiliśmy na srebrną windę. Śmierć wcisnął guzik i po chwili się otworzyła. Weszliśmy do środka, jednak nie byliśmy tam sami. W windzie stała kobieta. Wysoka, młoda, o białej jak papier skórze, ubrana w czarną, długą suknię na ramiączkach, sięgającą ziemi. Jej długie, lekko pofalowane, kruczoczarne włosy sięgały pasa. Na powiekach widniały grube, czarne kreski, w tym samym kolorze pomalowała usta. Tęczówki nie różniły się kolorem od reszty oka, które było nienaturalnie białe. Jednak najbardziej moją uwagę przykuły złożone, smukłe skrzydła, które sięgały jej od czubka głowy do stóp i nie różniły się wiele od barwy jej ubioru.

– Cześć – rzucił szybko na powitanie Śmierć i nacisnął guzik w windzie.

– Widzę, że kolejny przypadek z Artefaktem, tak? – powiedziała z uśmiechem, zerkając na mnie kątem oka. Speszył mnie jej wzrok i jej obecność, nie mogłam wykrztusić żadnego słowa.



– Tak, zdziwiłem się, że w ogóle mnie o tym nie uczyli na szkoleniu. Musiałem się dowiadywać o tym od szefa osobiście i nie wyglądał z tego powodu na bardzo zadowolonego.

– Ach, niepotrzebnie go denerwowałeś – zaśmiała się. – Trzeba było iść od razu do Tanatosa po radę, on uwielbia tłumaczyć poprawne postępowanie młodszym. A ty, Panno Schrödinger – zwróciła się do mnie – rozchmurz się trochę! Dostałaś od losu drugą szansę! Możesz wrócić na Ziemię i zacząć ponownie swoje życie od innego punktu. Widziałam wiele zagubionych i wiesz, że prawie każdy zostawał tam trochę dłużej. Oczywiście, nie wiem, co wcześniej przeżyłaś, ale nikt nie zasługuje na śmierć w tak młodym wieku. Może pomogę ci tym moim gadaniem, może jeszcze bardziej namieszam, lecz wiesz, że powinnaś dobrze przemyśleć tę sprawę.

Winda się zatrzymała. Kobieta wyszła, machając do Śmierci. Albo do mnie? Nie zwróciłam dokładnie uwagi. Po chwili także i my opuściliśmy windę w dobrze znanym mi miejscu – centrum handlowym pełnym ludzi.

– To był Anioł Śmierci, jakbyś chciała wiedzieć. Lubi młodych ludzi. – Śmierć rozejrzała się po otoczeniu. – Dobrze, teraz ty prowadzisz. Nie przejmuj się innymi, nie zobaczą cię.

Wolałam nie pytać, jakim cudem się tu znaleźliśmy. Ruszyłam bez słowa przed siebie. Pewnym krokiem przeprowadziłam nas przez tłumy prosto do wyjścia. Od razu przywitały mnie ciepłe promienie słońca. Skierowałam się do pobliskiego parku i przeszłam skrótem po trawie, by nie marnować czasu. Minęłam plac zabaw, pomnik burmistrza, ruchliwą ulicę i znalazłam się na swoim osiedlu. Weszłam do swojego bloku, jednak nie zatrzymałam się przed drzwiami mojego mieszkania. Wiedziałam, do którego listu włożyłam bransoletkę, a jego adresat nie był z mojej rodziny. Przeszłam kolejne piętra w górę i zatrzymałam się przed domem Marysi.

– Mam tylko nadzieję, że dostarczyli jej moje listy. – Otworzyłam drzwi.

– Ja zaczekam tutaj – oznajmił Śmierć. – Moja dłuższa obecność w takim małym pomieszczeniu mogłaby wzbudzić u niej niewyobrażalny i nieuzasadniony niepokój. Nie pytaj o to.

Weszłam do mieszkania. Nigdy wcześniej w nim nie byłam, dlatego przejrzałam dokładnie wszystkie pokoje w poszukiwaniu znajomej. Po krótkiej chwili znalazłam ją w kuchni i jak przeczuwałam, trzymała w ręku mój list. Marysia nosiła biały szlafrok, na który spływały średniej długości blond włosy. Jej brązowe oczy bez przerwy śledziły litery na kartce, jednak nie płakała. Zakrywała tylko usta wolną ręką, nie dowierzając temu, co napisałam. W sumie to nawet nie pamiętam, co jej chciałam przekazać, ale nie miałam odwagi podejść i przeczytać treści listu.

Marysia, moja koleżanka z ławki. Dlaczego do niej napisałam? Nawet nie znałyśmy się tak dobrze. Po prostu siedziałyśmy razem. Nie wiem, co mnie wtedy tchnęło, że napisałam do niej list. Może musiałam coś jej wyznać, podziękować, przeprosić, czy coś. To już nieistotne.

Rozejrzałam się po pokoju. Zauważyłam na blacie stołu swoją bransoletkę. Zabrałam ją Marysi sprzed nosa, mimo tego nie zwróciła na nią uwagi. Zerknęłam ostatni raz na koleżankę i już miałam wychodzić, gdy w przejściu stanął jej ojciec.

– Jak tam się czujesz, skarbie? – zaczął niepewnie. Atmosfera momentalnie zgęstniała.

Marysia oderwała wzrok od kartki.

– Już nie będę mieć żadnej okazji – przyznała cicho.

Zamknęłam oczy. Zaciśnęłam zęby i przemknęłam szybko obok mężczyzny, próbując wymazać te kilka słów z pamięci. Wyszłam szybko z mieszkania Marysi i wróciłam do czekającego na klatce schodowej Śmierci. Zobaczyłam, że nie tylko on tam stoi – przybłąkał się do niego jakiś bezdomny szylkretowy kot.

– Jest taki cudowny – powiedział, gdy mnie zobaczył. Głaskał go po głowie i oboje wyglądali na równie zadowolonych.

– On cię widzi? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Koty widzą różne rzeczy. Nawet te, o których istnieniu ludzie nie mają pojęcia. – Uśmiechnął się i wziął głęboki wdech. – Dobrze, powinniśmy ruszać dalej. – Wstał z kucek i ruszył w dół schodów. Po opuszczeniu budynku ruszyliśmy na most. Wyciągnęłam z kieszeni mój Artefakt i przyjrzałam się mu. Bransoletka składała się z brązowych rzemyków i dwóch rodzajów kamieni szlachetnych: białych opali i jakichś zielonych... ach, już zapomniałam ich nazwy. Przeniosłam wzrok na kosę Śmierci – była wysadzana dokładnie takimi samymi klejnotami, więc musiał coś o nich wiedzieć.

– Wiesz co to za kamienie? Te zielone. – Pokazałam mu mój Artefakt.

– To malachity. Jedne z moich ulubionych. – Zerknął na bransoletkę i westchnął z zachwytem.

– Ach, malachity! Jak mogłam zapomnieć... Moja babcia je uwielbiała. Aż dziwne, że nie zabrała tej bransoletki z sobą do grobu. Miała kilka takich pojedynczych egzemplarzy na kominku i nie pozwalała nikomu ich dotykać. Wycierała je z kurzu kilka razy dziennie, dbała o nie bardziej niż o własne dzieci.

Śmierć parsknął śmiechem, lecz szybko spoważniał. Zakrył szybko swoje usta ręką i momentalnie przybrał mniej ekspresyjny wyraz twarzy.

– Skoro tak o nie dbała to musiała mieć ważny powód, aby przekazać je tobie, a nie komuś innemu.

Włożyłam swoją bransoletkę na nadgarstek. Wyglądała dość elegancko. Dlaczego jej wcześniej nie nosiłam? Moja babcia chyba by tego chciała, skoro mi ją dała. Może uznałam, że wcale nie jest mi potrzebna? Nie mogę sobie przypomnieć.

Dotarliśmy na most. Za dnia wyglądał dużo przyjemniej – zielone drzewa okalały go z obu stron, tworząc szeleszczący dach. Pod nami szemrała spokojnie rzeka, płynąca bez ustanku w dal. Zatrzymałam się w tym samym miejscu, co kilka godzin temu i spojrzałam na horyzont. Wyglądał niezwykle malowniczo: kolorowe domy, rozległe pola zbóż, leniwie sunące pojazdy. Mogłabym stać tak przez wiele czasu razem z lekkim, ciepłym wiatrem, wiejącym w moje plecy.

– To na pewno tutaj, tak? – zapytał Śmierć.

– Tak, jestem pewna – odparłam.

– To zobaczymy się później.

– Kiedy?

Śmierć uśmiechnął się.

– Dzisiaj wieczorem, jutro, za pięćdziesiąt lat... Kto wie?

Sięgnął po swoją kosę i stuknął jej końcem o ziemię. Zniknął w szarej mgle i nastąpiła noc. Na niebie pojawił się sierpowaty księżyc. Okolica zszarzała, wiatr przybrał na sile i zrobiło się chłodniej. Spojrzałam w dół, prosto na wstęgę płynącej rzeki. Moje listy leżały tak, jak je zostawiłam tamtym razem. Śmierć cofnął czas.

Stałam na moście poza barierką, mocno się jej trzymając. Serce biło mi jak oszalałe. I co teraz? Wróciłam do punktu wyjścia, stałam przed rozdrożem – mogę skoczyć lub wrócić.

„...będziesz mieć kolejną szansę na opuszczenie tego świata”.

„...nikt nie zasługuje na śmierć w tak młodym wieku”.

„Już nie będę mieć żadnej okazji”.

Ach, musieli się tak dużo odzywać?! Wszystkie ich słowa krążyły w moim umyśle, nie mogłam ich opanować. Każdy głos szeptał do mnie z innej strony, ale w tym samym czasie, wszystkie nakładały się na siebie, namawiały mnie do skorzystania z ich rad. Nie wytrzymałam i krzyknęłam. Kopnęłam listy do wody. Widziałam, jak spadają, a rzeczna toń je porywa. Głosy ucichły, jakby zaskoczone wybuchem mojej złości. Popatrzyłam na swój Artefakt. W ciemnościach malachity zdawały się lśnić, odbijając światło księżyca prosto na moją twarz, tak jak kamienie w kosie Śmierci, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy. Łzy zebrały się w moich oczach. Nie mogłam dalej ustać, musiałam skończyć już tę całą przygodę. Odetchnęłam głęboko i rozluźniłam uchwyt dłoni.

**Dagmara Adamczyk (Mała), kl. 8**  
**Publiczna Szkoła Podstawowa nr 9**  
**w Stalowej Woli**

## **Moc łzy**

Praca inspirowana książką pt. „Dom nie z tej ziemi” Małgorzaty Strękowskiej-Zaremby

\*\*\*

Złe moce zostały pokonane. Siniaki większe od słonia, guzy wielkie jak strusie jaja, oraz zadrapania powoli znikwały. Serce już nie łomotało, biło spokojnie – rytmicznie. Zło zostało odcięte od korzeni, które karmiły dom jadem nienawiści.

– Czy teraz będę szczęśliwa? – zastanawiała się Krysia, przeczesując palcami swoje kręcone włosy. Jak to jest żyć bez strachu? – nie wiem, nigdy dotychczas tego nie doświadczyłam. Odkąd pamiętam, dom zawsze złościł się na mnie. Jego chłód przenikał mnie na wylot, a cisza w nim broniła się przed słowami.

Mijał czas. Rany wyryte w umyśle i w sercu, zbliżniały się. Strach powoli opuszczał domowników. Przez okna nieśmiało zaglądały promienie słońca. Pancernik strachu, który więził serce Krysi pękł. Dziewczynka zaczynała czuć się bezpiecznie w domu, który dotąd budził w niej grozę. Już dawno nie spadała, ani z deskorolki, ani z krzesła, ani nawet z huśtawki. Nie przewracała się na rowery i nie ćwiczyła już wspinaczki. W upalne dni nie ubierała golfu z długimi rękawami, ani długich spodni. Jej ciało uwolniło się od szpetnych siniaków.

– Mamusiu! Mamusiu! – spójrz, na nasz dom spadają krople deszczu – wołała z radości, biegnąc do ogrodu. Rozkoszowała się każdą z nich. Jej kręcone włosy wyprostowały się, a oczy tryskały szczęściem, widząc dom skąpany w deszczu. Po jej policzkach spływały krople, które mieszały się ze łzami. Jestem szczęśliwa! – chmury nie boją się już zbierać nad moim domem.

W pogodne dni zaś rozkoszowała się cieniem, który rozwijał się w ogrodzie jak perski dywan. Wówczas wydawało jej się, że jest to najdłuższy i najwspanialszy cień na ulicy Szczęśliwej.

Każdy nowy dzień oddalał strach i bolesną przeszłość. Pozwalał czuć dziewczynce spokój i bezpieczeństwo.

\*\*\*

Krysię poznałam niedługo po tym, jak wprowadziłam się z rodzicami do nowego domu na ulicy Szczęśliwej.

– Cześć! Jestem Dagmara – zagadnęłam.

– Witaj, a ja Krysia – nieśmiało odpowiedziała.

– Miło mi cię poznać. Mieszkam tutaj – wskazałam ręką na swój nowy dom. Niedawno przeprowadziłam się z bloku na Poziomkowej. A ty, to chyba mieszkasz w tym pięknym, żółtym domu?

– Tak. A skąd wiesz?

– Widziałam cię kilka razy jak bawiłaś się w ogrodzie, chyba z młodszym rodzeństwem. Wiesz Krysiu, będę chodziła do tej samej szkoły co ty, może nawet do tej samej klasy.

– To super – będę miała przynajmniej jedną koleżankę z ulicy Szczęśliwej. Poznam cię z moim najlepszym przyjacielem Danielem. Resztę klasy też na pewno niebawem będziesz miała okazję poznać.

Następnego dnia już w towarzystwie nowej koleżanki przemierzałam drogę do szkoły. Bardzo ją polubiłam. Miła, uśmiechnięta, ale jednocześnie tajemnicza i skryta. Czułam się dobrze w jej towarzystwie. Miałyśmy mnóstwo wspólnych tematów do rozmów. Jak się wkrótce okazało, zainteresowania też miałyśmy podobne. Gdy rozmawiałyśmy, momentami odnosiłam dziwne wrażenie, że nie jest to moja rówieśniczka, lecz dorosła osoba z bagażem ciężkich doświadczeń.

\*\*\*

- Drr, drr! Dzwonek przerwał ciszę lekcyjną.
- To jest właśnie Daniel, o którym ci wspominałam – wskazała na chłopaka z bujną czupryną.
- Cześć, jestem Dagmara. Krysia sporo mi o tobie opowiadała. Jestem nowa w tej szkole, a tak w ogóle to niedawno przeprowadziłam się z rodziną do nowego domu na ulicy Szczęśliwej i teraz z Krysią jesteśmy sąsiadkami.
- Miło mi cię poznać Daga. Mów na mnie Pająk – uśmiechnął się podając mi rękę.
- Widzisz Krysiu, wreszcie doczekałaś się sąsiadów – zaśmiał się i przyjacielsko poklepał ją po ramieniu.
- Dziewczyzny?! – mam świetny pomysł. Może umówimy się jutro po szkole na rowery? Zapoznamy cię Dagmara z naszą okolicą. Skoro jesteś tu nowa, musisz poznać nasze osiedle. Możemy pojechać też na lody, do tej nowo otwartej lodziarni.
- Myślę, że to super pomysł – odezwała się Krysia. A ty, co na to Daga?
- Byłoby fantastycznie. Już nie mogę się doczekać.
- To do jutra dziewczyny. Jesteśmy umówieni.
- Nazajutrz po lekcjach spotkaliśmy się w umówionym miejscu.
- Poczekajcie, muszę jeszcze coś sprawdzić – oznajmiła Krysia. Zaraz wracam. Zobaczę tylko, czy przed moim domem nie zapomniał rozłożyć się cień. I zniknęła za zakrętem jak błyskawica.
- Ej, o co jej chodzi z tym cieniem? – zapytałam zaskoczona. Przecież to normalne, że gdy świeci słońce, wszystkie przedmioty rzucają swoje cienie na ziemię.
- Nie wszystkie, uwierz mi, nie wszystkie – tajemniczo odparł Daniel – jakby coś przede mną ukrywał. Zanim zdążyłam czegokolwiek się od niego dowiedzieć, z powrotem zjawiła się Krysia. Była szczęśliwa.
- Wszystko w porządku – oświadczyła nieco zadyszana. Z jej oczu biła radość, jakby zobaczyła jakiś cud.

Przecież to tylko zwykły cień, czym tu się zachwycać? Nic w tym nadzwyczajnego. Po dłuższej chwili przyszła mi do głowy myśl, że może jednak to jest jakiś niezwykły cień.

Zauważyłam, że Krysia cieszy się z każdej, nawet najbardziej bląhej rzeczy. Widzi i czuje znacznie więcej niż inne dzieci – nawet ja.

Tego dnia zwiedziliśmy chyba całą okolicę i wszystkie jej zakamarki. Było tak cudownie, że nie zorientowaliśmy się, jak słońce chyli się ku zachodowi. Byłam przeszczęśliwa. Między naszą trójką zrodziła się wielka przyjaźń. Od tej pory codziennie spotykaliśmy się po szkole. Jednak nie dawała mi spokoju myśl – dlaczego Krysia tak bardzo cieszy się z cienia, który rzuca jej dom? Zresztą ona cieszyła się ze wszystkiego; to z tego, że nad jej podwórkiem zbierają się ciemne chmury i pada z nich deszcz, to z tego, że krasnale ogrodowe są miłe, że słońce wpuszcza promienie do jej domu. Podejrzywałam, że razem z Danielem, skrywają jakąś tajemnicę. Tylko jaką? – nie dawało mi to spokoju.

Pewnego upalnego dnia, gdy jeździliśmy na rolkach, dopadło nas zmęczenie. Postanowiliśmy więc odpocząć w cieniu. Tak się złożyło, że najbliższe drzewo rośnie w pobliskich zaroślach. Dostaliśmy się tam ścieżką, wydeptaną przez osiedlowe dzieci.

– Ufff... nareszcie cień – odetchnęłam z ulgą. Wygląda na to, że to czyjaś kryjówka – zagadnęłam do pozostałej dwójki. Spójrzcie, jaki wspaniały widok na naszą ulicę!

Daniel z Krysią wymienili między sobą tajemnicze spojrzenia.

– O co wam chodzi? Coś nie tak? – zapytałam nieco zmieszana.

– Dagmara, skoro już tu jesteś, to chcemy ci o czymś powiedzieć. Przrzeknij tylko, że nikomu nie zdradzisz tego, co teraz usłyszysz.

– Daję słowo! Miałam jednak dziwne wrażenie, że ma to związek z Krysią, cieniem i padającym deszczem nad jej domem.

Tutaj właśnie, w tych zaroślach jest nasza kryjówka – zaczął Daniel. Kiedyś z Krysią spędziliśmy w tym miejscu prawie cały nasz wolny czas. Obserwowaliśmy ten piękny dom z żółtymi ścianami,



brązowym dachem i dwoma brązowymi kominami – wskazał na dom Krysi.

– Ale po co to robiliście, przecież w tym domu nie ma nic nadzwyczajnego? Dom jak każdy inny, no może trochę ładniejszy od pozostałych – wzruszyłam ramionami – nic specjalnego.

– Nie, on nie jest jak każdy inny – rzekła Krysia łamiącym się głosem. Ten dom był kiedyś zły. Bałam się go, bo ciągle się na mnie złościł. Schował wszystek cień w swoim wnętrzu. Chmury były się nad nim gromadzić, panowała tam wieczna zima, a krasnale ogrodowe były złymi karłami, które broniły wejścia do niego. Panowała tam najcichsza z cisz. Gdy dom się złościł, zamieniał mojego tatę w wściekłego lwa, a mamę w „żywy” kamień. Braciszek i siostrzyczka drżeli ze strachu.

Widziałam, jak wspomnienia rozdrapują w Krysi niedawno zabliźnione rany. Była bardzo smutna.

– Jak to możliwe – zapytałam zdumiona – nikt tego nie zauważył? Przecież na ulicy Szczęśliwej mieszka tylu ludzi? Codziennie mijają twój dom, jadąc do pracy, spacerując, biegając. Dziwne, że nikt nic nie zauważył? Nikt nie zorientował się, że brakuje przed nim cienia, że wszędzie pada deszcz, tylko na twoim podwórku jest zawsze sucho?

– Wiesz, ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Czasami najbardziej banalne rzeczy trudno dostrzec – odparła smutno Krysia.

– Ja też z początku nic dziwnego nie dostrzegałam w tym domu – wtrącił Daniel. Dopiero ona – wskazała na Krysię – nauczyła mnie patrzeć i słuchać uważniej niż wszyscy. To nic trudnego, trzeba tylko chcieć zobaczyć to, co na pozór jest niewidoczne dla oczu i niesłyszalne dla uszu.

– Ale twój dom ma już przecież cień, no i pada na niego deszczówka – sama przecież mówiłaś.

– Tak, teraz jest normalnie – odparła – już się go nie boję. Razem z Danielem pokonaliśmy złe moce, które nim zawładnęły. Pokonaliśmy najciemniejszą z ciemności i odcięliśmy korzenie, które karmiły go złem i nienawiścią. Wyrwałam mu tajemnicę, którą tak pilnie strzegł. Za to zemścił się na nas i zamienił mojego tatę

w groźnego lwa, który skrzywdził mnie i moją mamusię. Po tym wydarzeniu obie leżałyśmy długo w szpitalu. Jednak to nie siniaki, zadrapania, ani nawet guzy bolały mnie najbardziej, lecz to, że mój tata jest taki zły i że tak często nas bije i krzyczy, gdy coś nam się nie uda. Wpada w szał, gdy braciszek zapomni posprzątać klocki z pomarańczowego dywanu, a siostrzyczka nie schowa wiaderka i łopatkę do piaskownicy. Ale już po wszystkim. Dom jest odczarowany, już się go nie boję. Czuję spokój. Jednak ciągle uczę się jeszcze, jak żyć bez strachu. Wbrew pozorom nie jest to takie łatwe przestać się oglądać za siebie.

Historia Krysi wywołała we mnie dreszcze. W przypływie emocji nie mogłam wydusić z siebie słowa. Już wiedziałam, co oznacza brak cienia przed jej domem. Tak mi przykro – rzekłam i przytuliłam ją najmocniej jak potrafiłam.

\*\*\*

Mijały miesiące, nasza przyjaźń kwitła. Teraz uczyłam się patrzeć i słuchać uważniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Wiesz Daga – zagadnęła Krysia – niedługo wróci mój tata. Jak myślisz, czy lekarze uzdrowią jego chore serce i myśli? Jest tam już tak długo i napisał nawet list, że bardzo nas kocha i tęskni za nami.

– Myślę, że wszystko będzie dobrze – odpowiedziałam. Przecież w szpitalu mają różne lekarstwa, na różne choroby. Na pewno mają też takie, które pomoże twojemu tacie i już nie będzie zamieniał się w złego lwa.

– O niczym innym nie marzę – rzekła cichutko Krysia.

– Głowa do góry wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, zawsze możesz na mnie liczyć.

\*\*\*

Dziewczyny – zagadnął na przerwie Daniel – w środę Zygzak gra mecz. Mam trzy bilety.

– Super! Chętnie zobaczymy, jak twój brat radzi sobie na boisku.

– To do środy – jesteście umówieni.

Mecz był interesujący. Gdy Krysia wróciła, było już późno. Przekroczywszy próg domu poczuła dziwnie znajomy chłód w przedpokoju. Serce jej na moment zamarło. Wszystkie wspomnienia z przeszłości jak bumerang, w jednej chwili powróciły. Tata powrócił, ale on już nie jest przecież złym lwem, lekarze wyleczyli go – tłumaczyła sobie. To niemożliwe – powtarzała w myślach – nic mi nie grozi. Dom nie ma już złych mocy. Wiem, że trochę się spóźniłam, ale wejdę na górę cichutko, jak powietrze i nikt mnie nie zauważy. Nie zdążyła nawet zrobić kroku, gdy rażąca jasność żarówki rozdarła spokojny mrok. Cisza jeszcze przez chwilę próbowała się bronić, ale nie miała najmniejszych szans w starciu z potwornym rykiem lwa.

Chcę się rozplątać, chcę być powietrzem – błagała w myślach. Zrozumiała, że zło powróciło. Stała nieruchomo jak posąg – jej serce z przerażenia krzyczało – Krysiu boję się! Krysiu boję się! Kran w zlewie zamienił się w węża i syczał z radości, gdy wszystko w pobliżu nasiąkało złem. Rozwścieczony lew wbił pazury w niewinny zeszyt z ortografii, który dziewczynka zapomniała schować do plecaka. Teraz jego setki drobnych części spadało z sufitu jak białe płatki śniegu. Zanim dziewczynka wydobyła z siebie głos, jej ciało przeszył piorunujący ból i nastąpiła najcichsza z cisz.

\*\*\*

Mijały dni, a Krysia coraz częściej opuszczała szkołę. Z jej twarzy znikł uśmiech, a dziecięcą radość stłumił strach i smutek. Już nie spotykała się, ani ze mną, ani z Danielem. Coraz częściej ubierała się w golf z długimi rękawami. Częściej też przewracała się na rowerze, spadała z huśtawki, z krzesła i hulajnogi. Zaczęła od nowa ćwiczyć wspinaczkę na wysokie drzewa.

Daniel wiedział doskonale, że złe moce powróciły. Ja również uważałam, że cień przed domem sąsiadki z dnia na dzień stawał się coraz krótszy, aż pewnego dnia cały schował się w jego wnętrzu. Chmury też nie miały odwagi, aby skropić dom deszczówką. Krasnale na powrót zmieniły się w przeraźliwe skrzaty. Trzeba od nowa odczarować dom i uwolnić go od złych mocy – pomyślała Krysia. Doskonale wiedziała, z jakim złem musi się zmierzyć. Dobrze też wiedziała, że tym razem Daniel nie będzie mógł jej pomóc. Dom już go poznał i nie pozwoli mu wejść kolejny raz do jego wnętrza. Tylko przyjaciel może ci pomóc – przypomniały się Krysi prorocze słowa jej babci.

Cała nadzieja w tobie Dagmara – zagadnęła smutnie. Ja umiem się ukryć przed jego złością, ale moja mamusia, braciszek i siostrzyczka nie potrafią.

– Proszę cię, pomóż mi odczarować dom. Nie chcę się go bać – prosiła ze łzami w oczach. Zwyciężone zło powróciło i zabrało mi poczucie bezpieczeństwa. Boję się! Tak bardzo się boję!

– Ale jak to możliwe – zapytałam – przecież z Danielem pokonaliście złe moce. Odciąłście korzenie, które karmiły dom złem. Coś poszło nie tak? Coś przeoczyliście? – tysiące pytań cisnęło mi się na język. Nagle olśniło mnie. Skoro ten dom żyje, to jak każdy żywy organizm musi myśleć i czuć. Musi więc posiadać rozum i serce. To ono jest zatrute. To w nim uwięzione są złe moce, które nim władają. Korzenie, które zostały odcięte uschły, ale przedtem zdążyły zatruć serce i uwolnić w nim złe moce. Jest ono chronione twardym pancerzem. Musimy się tam właśnie dostać i uwolnić je od nienawiści.

\*\*\*

Nazajutrz rodzice wyjechali do cioci i mieli wrócić dopiero wieczorem. Pospiesznie więc spakowałam plecak, a gdy auto zniknęło za zakrętem, pobiegłam ile sił w nogach do naszej kryjówki. Tam czekała już na mnie Krysia. Była nieswoja, jakby mocno przestraszona. Doskonale wiedziała co nas czeka.

– Gotowa? – zapytałam.

– Tak. Musimy dostać się tam, na balkon – wskazała ręką – ale tak, aby dom nas nie zauważył. Pobieżyliśmy, Krysia pierwsza, a ja za nią. Zaczęłyśmy się wspinać po drzewie.

– Dokąd mamy się udać? Gdzie dom skrywa swoje serce? – myśli bombardowały mi głowę. Już miałyśmy wskakiwać na balkon, gdy dom ożył. Widziałam, jak w jego ścianach pulsuje krew. Drzewa też poczuły jego gniew. Zaczęły uginać się do samej ziemi, jakby chciały go przeprosić. Patrzyłam, jak Krysia walczy o to, aby dostać się na balkon. Krzyczała do mnie, ale nic nie słyszałam, bo świst wiatru kradł jej słowa. Ledwo trzymałam się konaru, który usilnie starał się mnie zrzucić na ziemię. Straciłam koleżankę z oczu. Czułam jak spadam. Z hukiem uderzyłam o coś twardego, na pewno nie był to balkon. Próbowалам się podnieść, ale ból, który przeszywał mi głowę nie pozwalał na to. Ciemność wdzierała się wszędzie.

– Krysiu! – zawołałam.

– Tutaj jestem – odpowiedziała prawie szeptem.

– Nic ci nie jest?

– Wszystko dobrze. Dagmara, musimy iść.

– Ale dokąd? Ja nic nie widzę! Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– To jest wnętrze mojego domu – rzekła Krysia, a my musimy dostać się tam – wskazała ręką na ogromną górę.

Szłyśmy powoli, jedna za drugą. Ciemność pochowała wszystkie obrazy tego miejsca. Zimno wdzierało się do naszych wnętrz. Wyjęłam z plecaka latarkę i nieśmiało ją włączyłam. W tym samym momencie jasność przegoniła ciemność.

– Krysiu, ty krwawisz! – zawołałam przerażona. Co to za okropne miejsce! Strach ścisnął mi serce, tak mocno, aż na moment zabrakło mi tchu. Czułam ogromne przerażenie, gdy ujrzałam pod nogami bezdenną przepaść.

Kroczyłyśmy obolałe po wąskiej, kamienistej ścieżce. Z jednej strony ograniczała nas otchłań, a z drugiej ostre skały, które boleśnie raniły nasze dłonie.

– Ci... Ci... Słyszysz, Dagmara... Słuchaj uważnie, te skały nie są martwe, one żyją – i przyłożyła do nich ucho. Rzeczywiście sły-

chać było jakby pulsowała w nich żywa krew. Nie był to rytmiczny szum, momentami nasilał się, innym razem był ledwo słyszalny. To ona rozprawdza złe moce po całym domu, a ich źródłem jest zatrute serce, które jest przyczyną wszelkiego zła i lęku, jakie nęka ją mnie i moją rodzinę. Musimy do niego dotrzeć i odczarować je.

Robiło się coraz zimniej, szron zszywał nam powieki. Do naszych umysłów wdzierał się chaos. Serce łomotało mi, tak głośno, że echo odbijało jego głos od skał.

– Daga, te skały złoszczą się na nas. One bronią tajemnicy tego domu. W tej samej chwili, jakby słyszały słowa Krysi, zaczęły ciskać w nas głazami. Rozgniewane przesunęły się w naszym kierunku, próbując zepchnąć nas w otchłani. Przeraził mnie mroźny wiatr cofał nas. Wdzierał się do naszych płuc i nie pozwalał nam się komunikować. Szłyśmy resztkami sił. Widziałam w Krysi ogromną wolę uwolnienia domu od złych czarów. Wiedziała, że nic ją nie powstrzyma. Zebrałam więc w sobie siły i kroczyłam za nią. Wiatr się wzmacniał, a zimno przeszywało nas do szpiku kości. W jednej chwili ze skał zaczęły wyrastać ciernie, które boleśnie nas raniły. Myśli zagłuszał nam huk wiatru, który ryczał jak wściekły lew.

– Krysiu, zawracajmy, to ponad nasze siły! – wołałam, ale ona nic nie słyszała. Szła powoli, drżąc z zimna i wyczerpania. Szum krwi w skałach stawał się coraz głośniejszy. To był znak, że zbliżyliśmy się do celu.

– Już niedaleko. Dalej pójde już sama – oznajmiła. Dziękuję ci, za wspieranie mnie w tej wędrówce. Jeśli chcesz, możesz tutaj na mnie poczekać.

– Nigdzie się bez ciebie nie ruszam. Wrócimy razem całe i zdrowe. Usiadłam na śniegu i patrzyłam, jak znika mi z pola widzenia. Obolała, kierowała się w stronę olbrzymiej góry.

Wspinała się powoli jak ślimak. Ciernie raniły jej delikatne ciało. Teraz już wyraźnie słyszała, jak bije serce domu. Było ono uwięzione w twardej skorupie skały, gdzie królowały złe moce.

– Jak mam ci przywrócić wolność i spokój? – rozmyślała – jak mam cię uratować?

Nagle po jej policzku wolno spłynęła gorąca łza. Miała ona tak ogromną moc miłości, że rozkruszyła na miliony części pancerz, który więził serce. Złe moce zostały pokonane. Już nie miały swego źródła i nie zatrwały domu.

Rankiem Krysia obudziła się w swoim pokoju, trzymając w ręku laurkę w kształcie serca z napisem „Kocham Cię Tato”, a obok leżała czerwona róża bez kolców. Jej ciało nie było poranione, nie miała żadnych siniaków, ani guzów. Dom już nie złościł się i nie krzywdził domowników. Miłość zatriumfowała na zawsze. Cieszę się, że brałam w tym udział – ja Dagmara.

**Julia Osińska (Osa), kl. 7  
Zespół Szkolno-Przedszkolny  
w Dębnicy Kaszubskiej**

## **Pamiętnik choinki**

### **1**

Piątek 20.12.2019 r. Drogi pamiętniku. Stoję sobie w lesie wśród swoich koleżanek i kolegów. Jestem pięknie oprószona płatkami śniegu. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy dzisiaj zostanę ścięta i pojadę na targowisko. Zrobiło się już szaro. Super! Zostałam w swoim ukochanym lesie.

21 grudnia 2019 r. Dzień jak co dzień. Znów zadreślałam się pytaniem, czy zostanę ścięta, a może wykopią mnie z korzeniami i po świętach dostanę drugie życie. Do świąt pozostało 3 dni. Pewnie to już ostatnia noc w lesie.

22.12.2019 r. Niedziela była bardzo piękna. Temperatura minusowa, nieustannie padał śnieg. Słyszę, że coś przyjechało, zobaczyłam wysiadających z auta leśników. Pomyślałam sobie, że za parę minut będę już ścięta i pojadę nie wiadomo gdzie. Tym razem mi się upiekło. Ale czemu? Jestem za brzydka, za niska, aby stanąć w czymś domu?

Poniedziałek 23.12.2019 r. Ten dzień zapamiętam do końca swojego życia, ponieważ nigdy nie czułam się taka samotna i opuszczona. Zapadła noc, zrobiło się bardzo ciemno. Bałam się. Nagle usłyszałam kroki, zobaczyłam zbliżającą się czarną postać z siekierą. Podeszła do mnie, zrobiła duży zamach i mnie uderzyła.

Tak kilka razy uderzała, aż mnie ścięła. Złapała mnie za nogę i ciągnęła przez leśną drogę. Po kilkunastu minutach ujrzałam światło. Miałam nadzieję, że to już koniec mojej katorgi, ale niestety nie. Wlokła mnie jeszcze spory kawałek, aż doszliśmy do jej chałupy, która była bardzo brzydka i mała. Zostawiła mnie pod drzwiami na wycieraczce. Sama do siebie powiedziała, że weźmie to choińczysko jutro do domu, bo dziś musi się napić.

Wigilia 24.12.2019 r. Wczesnie rano usłyszałam otwierające się drzwi. Wyszedł mężczyzna, który okazał się tą postacią, która mnie wczoraj tak okropnie potraktowała. Był jakiś dziwny, chwiał się na nogach i brzydko pachniał. Pomyślałam sobie, gdzie ja trafiłam, ale będę mieć święta. Chwycił mnie i zaciągnął do chałupy. W drzwiach poczułam zapach stęchlizny. Postawił mnie w pokoju i krzyknął do żony: – Macie tę swoją choinkę. Wtedy do pokoju wpadły cztery smutne twarzyczki, 3 dziewczynki i chłopiec.

## 2

Pomyślałam sobie, że może nie będzie tak źle. W domu są dzieci, więc będzie wesoło. Kobieta i dzieci postanowili mnie udekorować. Zastanawiałam się, jak będę wyglądać. Zobaczyłam duży zakurzony karton, a w nim kilka starych bombek. Najpierw założyli mi lampki, niestety nie wszystkie się paliły. Potem te brzydkie bombki. Najładniejszy był łańcuch, taki kolorowy. Zrobiony przez dzieci po kryjomu, kiedy ojciec spał, albo nie było go w domu. Jemu przeszkadzało wszystko. Dla niego święta to stracony czas. Nie myślałam, że na świecie są tacy bezduszni ludzie. Kobieta jeszcze położyła na gałązkach watę, chyba żebym nie była taka goła. Mężczyznę nie interesowało ubieranie mnie, wypił kilka butelek piwa i się położył. Chrapał tak głośno, że nie było słyhać własnych myśli. Wielkimi krokami zbliżał się wieczór. Zaczęto przy-



gotowywać kolację wigilijną. A ja zastanawiałam się, dlaczego nie ma jeszcze pode mną żadnych prezentów. W pewnym momencie kobieta podłożyła 4 małe paczuszki. Pomyślałam sobie, że to nie będą wymarzone prezenty dzieci. Kolacja wigilijna była bardzo skromna. Po kolacji cichutko pośpiewali kolędy, aby tylko nie obudzić śpiącego ojca. Późnym wieczorem starsze dzieci wymknęły się na pasterkę. Wróciły bardzo zmarznięte, ale szczęśliwe. Ojciec nadal spał i dobrze, pewnie nie byłby zadowolony, że dzieci wyszły z domu wieczorem. Smutno mi było patrzeć na tę rodzinę.

25.12.2019 r. Pierwszy dzień świąt. Na dworze duży mróz. A ja stoję w kacie, ojciec nawet nie pozwolił zapalić świecetek, bo szkoda prądu. Było mi bardzo smutno, a jednocześnie żał tej rodziny, że mają takie święta. Mężczyzna krzyknął na dzieci, żeby wstały z łóżek, bo on jest głodny. A śniadania nie ma! Wściekł się, trzasnął drzwiami i wyszedł. A może dobrze. Chociaż zjedzą śniadanie w spokoju.

Patrzyłam na te małe twarzyczki i zastanawiałam się, jak ich życie wyglądałoby bez ojca. Łza kręciła mi się w oku.

26.12.2019 r. Kolejny dzień w tym domu. Chociaż dzisiaj mnie podlali. A po południu zapalili świecetka, bo ojca nie było w domu. Jak wyszedł wczoraj, tak do tej pory nie wrócił. Byłam ciekawa, gdzie on jest? Matka powiedziała do dzieci, że pewnie pije u kolegi. Dobrze, że go nie było, dzieci biegały po domu głośno, śpiewały, nawet mama się uśmiechała. To był najfajniejszy dzień.

Piątek 27 grudnia 2019 r. W domu cisza. Zastanawiam się, jak minie mi ten dzień. Cisza nie trwała długo. Wrócił do domu śmierdzący, brudny i od progu zaczął krzyczeć na wszystkich. Podśledzałam dzieci, jak rozmawiały między sobą, że ich życie wyglądałoby lepiej, gdyby nie ich ojciec alkoholik, dla którego najważniejsze jest napić się. Zrobiło mi się smutno.

### 3

28.12.2019 r. Ledwie się skończyły święta, a on każe mnie już wyrzucić. Zaczął krzyczeć, że stoi ten chojok i miejsce zajmuje

w domu. Wyrzucić na śmietnik, albo spalić! Najmłodsza córka rozpłakała się i ubłagała ojca, abym została do Nowego Roku.

Niedziela 29 grudnia 2019 r. Stoję smutna. Myślałam, że będę w tej rodzinie aż do święta Trzech Króli. Cóż, tak bywa. Najmłodsza córka, kiedy nie było ojca w domu, podchodziła do mnie i przyglądała mi się. Szeptala, że ma marzenie, aby następne święta były spokojniejsze.

30.12.2019 r. Dzień przed sylwestrem. Za oknem słyszeć petardy, trochę weselej mi się zrobiło. Ojciec krzyczy, że boli go głowa, a oni hałasują. Przecież to nie wina dzieci, że ludzie strzelają fajerwerkami. Co za człowiek!

Ostatni dzień roku, a mój przedostatni. Postanowiłam się nie smucić. Ta rodzina ma gorzej niż ja. Nawet nie zapomnieli o mnie. Posprząтали igiełki, które zgubiłam. Gdyby mnie częściej podlewali, to bym ich nie gubiła.

01.01.2020 r. Nowy Rok. Wiedziałam, że to mój koniec. Zastanawiałam się, czy skończę na śmietniku czy w piecu. Wolałabym w piecu, trochę ciepła bym dała, bo za oknem mróz.

**Gabriela Roszczyk (Aver), kl. 8**  
**Szkoła Podstawowa w Mrokowie**

## **Skąpany w ogniu**

Przechadzam się po korytarzach Palatynu, przesuwając ręką po gładkich ścianach. Księżyc wdziera się pomiędzy kolumny i pozostawia długie cienie, kładące się na podłodze i suficie. Gwiazdy migoczą z całą swoją mocą. Panuje idealna nocna aura, którą czuję bardzo wyraźnie, szczególnie kiedy przemykam pomiędzy księżycowym światłem, a delikatnym cieniem kolumn. Mocno granatowe niebo wydaje się tak spokojne, jakby biegła po nim Diana wraz z leśnymi stworzeniami równie łagodnymi, jak ona sama. Oczami wyobraźni widzę, jak napina swój łuk i posyła złote strzały w przestrzeń. Od tego pięknego nieba odrywa mnie nagły ruch.

Ktoś przebiegł tuż przy łuku, będącym jednocześnie wejściem do części sypialnych, po czym zniknął. Obracam się i nikogo nie widzę. Niespodziewany szept przebiega jak echo: „Chodź do mnie, tu jestem...”.

– Kto to powiedział? – robię szybki obrót, lecz to znów tylko złudzenie.

Czuję ciepłą rękę na ramieniu:

– Och, mój kochany Neronie! Znowu masz mary nocne, może nie wychodź nocą, będziesz spokojniejszy... – odzywa się kojący głos mojej Poppei.

– Tym razem, to było naprawdę, słyszałem szepty... – tkwię ciągle odwrócony do niej tyłem.

– Popatrz na mnie... Nie możesz wciąż unikać mego wzroku... – ściszyła głos.

Z westchnieniem obracam głowę i zamiast uśmiechu na mojej twarzy maluje się przerażenie, aż w końcu wydobywam z siebie tylko krzyk. To wcale nie Poppea tylko Iustitia. Oczy zasłonięte ma białą chustą, w jednej dłoni trzyma wagę, za to z drugiej wystaje miecz.

– Przyszła po mnie! Przyszła! Przepraszam matko! Nie chciałem, tak bardzo, nie chciałem – kulę się na marmurowej posadzce i czekam na wyrok śmierci, już dawno powinien nadejść.

Chwytają mnie jakieś aksamitne ramiona, po czym utulają. Odzywa się Poppea:

– Spokojnie, spokojnie... Kochanie, nie jesteś niczemu winien... Nic się nie stanie... Jestem przy tobie...

Po policzkach spływają mi strumienie łez. Nie jestem w stanie powiedzieć ani słowa, oprócz cichego, znikomego:

– Była tu...

\*\*\*

Wielu przysłało do mnie lekarzy, wielu próbowało mnie uleczyć. Każdy mówił tylko, że to koniec, nie można nic zrobić. Czasami przez ich usta przechodziły nawet słowa: „Ciężka, nieuleczalna choroba”. Tylko, na co mi się to zda? Ludzie dookoła – moi dwo-

rzanie, moja rodzina, czy też poddani mogą jedynie współczuć, a mnie pozostaje się mierzyć z nocnymi koszmarami, porannymi strachami i sennymi marami. A one wracają, doprowadzając mnie do utraty zmysłów. Każdego kolejnego dnia jest coraz gorzej. Czy morderstwo wymaga aż tak wysokiej kary?

– Noc już minęła, jest dzień, widzisz słońce? – moja narzeczona gładzi mnie po skroni, a ja leżę w wielkim, miękkim łóżku. Ostatnie jej słowa bardziej mnie denerwują, niż uspokajają. Może mam poważną chorobę, lecz nie jestem głupcem.

Za odpowiedź musi jej wystarczyć tylko lekkie, powolne skinienie głową. Opadam na poduszkę i daję się ukołysać jej słowom.

– Neronie, dziś wieczorem odbywa się uczta. Może trzeba ją odwołać? Być może nocna pora ci nie sprzyja...

– Nawet ty Poppeo! – zrywam się z łóżka, aż mi się kręci w głowie.

– Nikt mi już nie wierzy!

I po cóż ja się znów unoszę gniewem? Będę tylko bardziej niespokojny. Wyczerpany i zrezygnowany ułożyłem się na łożu, a sen zmorzył mnie szybciej niż myślałem.

\*\*\*

Znów powoli zapada noc, jednak tym razem otaczają mnie moi patrycjusze, więc czuję się swobodnie. Uczta niedługo dobiegnie końca i będę miał okazję zaprezentować swoją nową pieśń, którą napisałem po zobaczeniu Aurory w świetle migoczącego poranka. W końcu nastała chwila, gdy mogę wyjść do moich gości i uraczyć ich swoim talentem. Struny liry są dziś w świetnym stanie, toteż palce ślizgają się po niej wręcz z przyjemnością. Odgłos mojego śpiewu rozlega się w jadalni i rozchodzi po sali. Nie jest zbyt donośny, lecz słuchacze bez problemu zrozumieją słowa pieśni. Właśnie dochodzę do najbardziej lubianych słów, gdy znów coś widzę. Niewyraźny obraz, gdzieś na schodach koło kolumnady. Kim jest ta postać? Czy widzę ją tylko ja? Mrużę oczy, przyglądam się badawczo, lecz nadal nie jestem w stanie określić, kto to. Ale zaraz... Gdzieś zza kolumny dostrzegam kolejną postać, bardzo podobną do tej na schodach. Zaraz przy wejściu do jadalni ukazuje

się trzecia, ostatnia zjawia i patrzy wyraźnie na mnie znużonym, lecz jednocześnie czujnym wzrokiem. Nie przerywam pieśni. Dalej z mojego gardła wydobywa się głos, jednak z każdą chwilą coraz bardziej cichnie, aż zamiera w punkcie na ostatnim wersie piosenki. Mój wzrok wlepiony jest w przestrzeń przede mną, więc towarzysze także obracają głowy w tę stronę. Wydaje mi się, że ich nie widzą, ale ja tak. Ogarnia mnie przerażenie, powróciły. Podłe Furie są jednym z najgorszych koszmarów, jakie tylko mogę sobie wyobrazić. Po okropnej nocy pełnej lęku, spotyka mnie jeszcze to. Wszystko tkwi w ciszy. Jedna z postaci niespodziewanie stawia krok i zaczyna wspinać się po schodach. Odziana w czerwoną suknię kobieta pożera mnie wzrokiem, a jej szata lekko faluje na niewielkim wietrze, mimo że jest dość ciepły wieczór, a na drzewach nie powiewa ani jeden liść. Teraz już trzy Furie stoją przy łuku. Dostrzegam każdy najmniejszy szczegół, mimo że jestem krótkowidzem. Na usta ciśnię mi się pytanie: „Skąd się tu wzięłyście?”, ale nie zadaję go. Przede mną jest teraz wiele twarzy. Większość z nich należy do biesiadników, tych nie dostrzegam. W moim polu widzenia skupiły się tylko te trzy konkretne. Wydają mi się martwe i kamienne. Czuję, jak uginają się pode mną kolana. Znoszę jednak ich wzrok. To pewnego rodzaju wewnętrzna walka – niema. Bez słowa i bez ruchu. Nagle wokół Furii wytwarza się czar na poświęciata, a one rzucają się na mnie, niemal dosięgając, lecz znikają z piskiem tuż przed moją twarzą. Wracam do normalnego świata, zlany potem i cały czerwony ze stresu. Znów zło było tak blisko...

\*\*\*

W ostatnim czasie nawiedzają mnie częściej niż poprzednio. Te zjawy bogów stają się coraz wyraźniejsze, a ich obraz zostaje mi na coraz to dłużej w pamięci. Nie mogę o nich zapomnieć, nawet teraz podczas zażywania relaksującej kąpeli. Niewolnicy już szykują dla mnie szaty. Zaraz po tym wychodzę z wody, a służba zarzuca mi na ramiona czysty, w miarę uroczysty strój. Przechodząc przez atrium z niewielką fontanną, myślę o tych wszystkich nadzwyczaj-

czajnych zdarzeniach i dostrzegam coś, czego wcześniej nie uważałem. Z każdym spotkaniem jestem coraz mniej wylęknięty i pewniejszy. Podczas wczorajszej uczty, gdy ukazały mi się Furie, zdołałem zachować resztki spokoju. Jednak najbardziej zaskakującą rzeczą jest sam cykl pojawiania się zjaw. Nocą przychodzą do mnie te potężniejsze i bardziej przerażające stwory, za dnia widuję za to pokojowo nastawione bóstwa. Czasem nawet miło jest zobaczyć piękną Wenus tańczącą w ogrodach, czy też Minervę, która daje mi natchnienie i pobudza mą miłość do sztuki. Zdecydowałem – tej nocy wyjdę na łono zieloności mych trawników i odważnie stawię czoła wszelkim, nawet najgroźniejszym bogom.

\*\*\*

Poppei obiecałem, że noc przebiegnie bez problemu, niestety ona mi nie uwierzyła i musiałem wyjść niepostrzeżony. Udało mi się to, kiedy księżyc pokazał na niebie północ. O tej porze najlepiej się myśli, to czas twórczy, gdy do głowy spływają znakomite pomysły, a wenę można czerpać garściami. Przechadzam się, a widok zieloności koi moje oczy. Nic się nie dzieje, żadne bóstwo nie chce dziś wyjść mi naprzeciw. Czy to źle? A może choć tej jednej nocy zaznam spokoju? Przy alejach porozstawiane są płonące żywym ogniem pochodnie, rozpalone przez niewolników późnym wieczorem. Aż by się chciało grać na lirze i tańczyć wokół płomieni. Wtem po skórze przebiega mi delikatny podmuch ciepłego wiatru, po czym widzę iskry, sypiące się z ognia na jednej z pochodni. Inne płomienie buchają mocniej ogniem, a ja nadal nie widząc nikogo zachowuję opanowanie. Tej nocy nikt, ani nic mnie nie złamie. Nawet jeśli miałbym zmierzyć się z samym Jowiszem oko w oko. Jednak na krótką chwilę tracę dech, gdy spostrzegam wysoką umięśnioną postać w złoto-srebrnej zbroi, z krwisto ogniastą peleryną i hełmem z pierzem na głowie. W oczach jego płonie gniew, niepohamowany i nieustający, a wręcz zdający się z chwili na chwilę wzrastać. Lustruje mnie. Podchodzi coraz bliżej, aż widzę ogniki biegające w jego oczach. Przerażające, a zarazem na-

pawające niemałym zachwytem, na pewno uchwycę ten moment w mej kolejnej pieśni.

– Witaj Neronie! – odzywa się potężny, męski głos i rozbrzmiewa chyba na całym Palatynie.

Patrzę mu prosto w twarz i ze stoickim spokojem odpowiadam:

– Bądź pozdrowiony Marsie! – całkiem, jakby powiedział w tej sytuacji Petroniusz.

Pierwszy raz odkąd widuję nocą zjawy, któraś z nich odezwała się do mnie, toteż gdy minęło zdziwienie, poczułem jakby ucisk w gardle. Szybko minął. Idąc za radami wypowiedzianą się Petroniusza, postanowiłem być pewny siebie i odważny.

– Skąd przybywasz i w jakim celu? – spytałem.

Zamiast udzielić mi odpowiedzi jakiej oczekiwałem, odpowiedział mi pytaniem:

– Dlaczego się mnie nie lękasz? Jestem przecież bogiem wojny.

– Nie wszyscy bogowie są tacy, jakimi malują ich ludzie. A w tej chwili czuję o wiele większy szacunek do twojej osoby niż strach... Na jego twarz wpłynął szyderczy uśmiech. Kiedy to zrobił, kąciki jego oczu powędrowały do góry nadając mu całkiem inne oblicze. O wiele bardziej pewne i godne boga wojny.

– Czuję w tobie boską krew Neronie, gdybyś tylko zechciał dorównaćbyś nawet Jowiszowi, a Neptun mógłby zaniemówić, gdyby zobaczył twą prawdziwą twarz.

– Wydają ci się nienaturalny?

– Nie, lecz wiem, że coś ukrywasz. Kiedy jesteś na polu walki odczuwasz wszystko – zaczął mnie okręzać, a mój wzrok wędrował za nim. – Każde najmniejsze zawahanie, każdy ruch, a przede wszystkim strach. Tego ostatniego jesteś pozbawiony, tak jak na boga przystało – tu zrobił pauzę – ...lecz nim nie jesteś.

W tej chwili zauważyłem, że na niebie nie migocze ani jedna gwiazda. Zgasły.

– Jestem pewien, że znasz odpowiedź na niezwykle nurtujące mnie pytanie... – Dlaczego od śmierci mojej matki widuję zjawy? Przestał robić koła i stanął znów oko w oko ze mną.

– Zabiłeś ją.

Była to krótka odpowiedź, mimo to tak prawdziwa i smutna, że ugodziła mnie w samo serce.

– Tak – odparłem równie krótko.

– Nie masz już czystej krwi, została skażona winą. Niezmywalną i okrutną. A nie ma przecież winy bez kary... Jednak ty swoją przekułeś na atut.

– Nie rozumiem twych słów.

– Kiedy miotają tobą skrajne uczucia widzisz stwory groźniejsze, kiedy budzi się w tobie artystyczna dusza spotykasz uosobienia sztuki, kiedy myślisz o śmierci, objawiają ci się Furie – demony świata podziemnego. Zdajesz sobie sprawę jaką masz moc? Dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego tu jesteś? Panujesz jako wielki cesarz, lecz w świecie ludzkim należy Ci się o wiele więcej...

– Chcesz okrzyknąć mnie bogiem?

– Ty już nim jesteś, musisz go w sobie tylko obudzić... Dobrej strony życia boskiego reprezentować nie będziesz, ręce twe krwią skażone, jednak majestatyczność i nieograniczona władza stoją otworem.

– Marsie, proponujesz mi zło?

– Kto powiedział, że podli bogowie nie mogą oddawać się sztuce. Czuję, że oczy mi się aż świecą. Panować nad ludźmi, to cudowne uczucie, a jak to jest władać niebiosami?

– Neronie, nie wiem czy jesteś gotów. Daj mi dowód. Spal swoją potęgę – Rzym...

\*\*\*

Wydałem rozkaz. Chciałem zrobić to z zaskoczenia. Poślałem na miasto moich służących, jeszcze tej samej nocy, zanim zaczęło świtać. Kilka grup udało się w różne części Rzymu. Już w końcu miało się zacząć. Pora podpalania miała przypaść o brzasku. Tak naprawdę, to cudownie będzie zobaczyć płonące miasto. Na pewno dodam to do mego wiersza o Marsie, będzie idealnie pasować. Odczytam go potem wszystkim na moim dworze – myślę, że docenią to arcydzieło. Po tym pożarze, być może nazwą to miasto moim imieniem, a ja będę je obserwował z góry i strzegł. Już czas! Kolor



nieba powoli zaczął zmieniać barwę z ciemnogramatowego na odcienie żółci. Wtedy zauważyłem pierwszy sygnał – pierwszą małą, niemrawą iskierkę, która tańczyła mi przed oczami i przeradzała się w coraz większy i większy płomyk, aż ogniem został objęty cały jeden budynek. Stoję przy balustradzie otaczającej balkon na Pałacyńcu. Wzrasta we mnie inspiracja, kiedy rozbłyskają kolejne ulice. Ze wzgórza widok jest wręcz przecudowny i zamierzam napawać się nim tak długo, jak tylko mogę. Ogień! Gorąco płynie falami, uderzając nawet mnie. Nie widzę każdego szczegółu, lecz nietrudno jest spostrzec, że wszystko już stoi w płomieniach. Niebo także przybrało kolor odpowiedni do sytuacji. Pożar wybuchł idealnie w czasie wschodu słońca. Moje oblicze było skąpane w blasku ognia. Tak zapamięta mnie Rzym! Jako tego, co oddał wszystko za życie wieczne i szczęśliwe.

**Pola Pastwa (Cow Hater), kl. 7**  
**Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie**

## **Gwiazdy**

Kiedy wreszcie nadeszła noc, a księżyc wypełził na niebo, pobiegłam na strych. Wspięłam się na drabinę i złapałam się ramy okna w suficie. Podciągnęłam się i wdrapałam się na dach. Usłyszałam, jak za mną z głośnym hukiem zwała się drabina. Przymknęłam okno i podłożyłam patyk, aby móc później wejść z powrotem do mieszkania. Kiedy wstałam i przeszłam na drugą stronę, gdzie miałam dobry widok na niebo, wreszcie poczułam się wolna. Wyjęłam z komina stary koc i poduszkę, które wcześniej tam zataaszczyłam i położyłam się na dachu, patrząc na gwiazdy. Szczęśliwie byłam na wsi, więc światła domów nie były jasne, wręcz przeciwnie, jedynym domostwem w pobliżu było to, na którego dachu właśnie siedziałam. Ale w tym domu także nie świeciły się światła. Niebo o północy nie miało ani jednej chmurki, więc warunki były wprost idealne do obserwacji gwiazd.

Spojrzałam w niebo. Setki małych punkcików zdawały się wirować. Każda gwiazda mknęła w innym kierunku. Wyobraziłam sobie, że gwiazdy to nie wielkie kule ognia, tylko istoty, które świecą w czerni kosmosu, oświetlając sobie drogę. Oczami wyobraźni widziałam harmonogramy zajęć widniejące na ramieniu każdego z nich. Wyobrażałam sobie, że to byli wojownicy biegający w korytarzach czasu i szukający miejsc, do których mieli akurat dotrzeć. Nagle zobaczyłam głowę dziecka ułożoną z gwiazd. Łącząc kolejne białe punkty, dostrzegłam jego tułów i butelkę, którą trzymało w ręce. Wodząc bacznie wzrokiem po niebie, zobaczyłam matkę pochylającą się nad niemowlęciem. Miała oczy pełne miłości i uśmiechała się, gilgocząc dziecko palcem po brzuchu.

Łączenie w wyobraźni kolejnych punktów przerwała spadająca gwiazda, która przeszła niebo. Zamknęłam oczy i szybko wypowiedziałam w myślach życzenie. Wtedy do głowy przyszła mi niepokojąca myśl. Wyobraziłam sobie otaczające mnie łąki, zabudowane jasnymi fabrykami i blokami. Wyobraziłam sobie rosnący niedaleko las – ścięty. Wyobraziłam sobie gwiazdy znikające pod oparami smogu. Myśli wreszcie uporządkowały mi się w głowie. A co, jeśli kiedyś gwiazd nie będzie widać? Co, jeśli dzikie miejsca całkowicie znikną pod naporem przeludnienia? Otworzyłam szeroko oczy, a wtedy załśniły w nich gwiazdy. Widziałam w nich nadzieję, a była ona niewyobrażalnie silna. Powtarzałam sobie w myślach, że robię to, co mogę. Wiedziałam, że katastrofa niszcząca świat nadchodzi. Widziałam to ostrzeżenie wypisane między gwiazdami. Niosło ono za sobą smutek, ale także nadzieję. Chciałam, żeby inni też mogli je zobaczyć. Z zamyślenia wyrwał mnie przenikający chłód. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale trzęsłam się z zimna. Podniosłam się i chwiejnym krokiem podeszłam do okienka w dachu. Wyjęłam patyk i zeskoczyłam do środka. Cicho zamknęłam drzwi na strych i pobiegłam do mojego pokoju, ale nadzieja i chęć działania nadal we mnie kiełkowały.

Od tamtej pory gwiazdy są dla mnie znakiem nadziei, która pcha mnie do działania na rzecz natury. Z dnia na dzień staram się osiągać choćby minimalne sukcesy. Walczę o to, aby nie wyrzucać

niezjedzonych obiadów w szkolnej stołówce, aby wrzucać papiery do kosza na papier i aby nie kupować takiej monstrualnej ilości ubrań, jakie dzisiaj kupujemy. Jednak nic nie jest w stanie zgasić mojego dziecięcego poczucia humoru. Cieszę się naprawdę małymi i nietypowymi rzeczami. W głębi duszy czuję, że radość z tego, że udało się doskoczyć do tabliczki stojącej na podwórku, wytrzymać bez mrugnięcia przez czterdzieści sekund i przeczytać kolejną książkę, jest naprawdę ważna. Jestem także (niestety) pewna, że kiełkuje we mnie katastrofizm. Coraz częściej zwracam uwagę na urywki rozmów. Słyszę o dryfujących wyspach śmieci i globalnym ociepleniu. To jest właśnie powód, dla którego o tym piszę. Chcę przekazać innym to, co widzę na niebie. W głębi duszy czuję, że póki gwiazdy widać, to jest jeszcze nadzieja, że unikniemy zbliżającej się katastrofy. Niepokoi mnie tylko fakt, że coraz rzadziej widzę gwiazdy.

## Kategoria III

### szkoły ponadpodstawowe

#### Wiersze

##### Miejsce 1

**101** Natalia Roguz: *Zegar*

##### Miejsce 2

**101** Julia Opiłowska: *Kobieta z kory*

##### Miejsce 3

**102** Zuzanna Banach-Dziura: *Erotyk*

#### Wyróżnienia

**102** Anna Prus: *Mały chłopiec*

**103** Alicja Wojnarowska: *Portret*

**104** Maria Musiał: *Przypowieść*

#### Opowiadania

##### Miejsce 1

**105** Magdalena Moś: *Przyjacielska partyjka*

##### Miejsce 2

**112** Natalia Hetman: *Karmin*

##### Miejsce 3

**120** Jan Skoumal: *Paruzja*

#### Wyróżnienia

**126** Justyna Homa: *Jakieś psie to życie*

**134** Amelia Chwist: *Lecą bociany*

**140** Alicja Wojnarowska: *Eden*

**143** Zuzanna Banach-Dziura: *Skrzypek z dachu*

**Natalia Roguz (Safo), kl. 1**  
**Publiczne Liceum Ogólnokształcące**  
**Politechniki Łódzkiej**

## **Zegar**

Idealnie okrągły  
nie potrafię ustalić gdzie początek  
i koniec  
wskazówki niczym drogowskazy  
tańczą zawsze do rytmu tik tak tik tak  
mijają się bez słowa

okrutnie porządny punktualny do granic przyzwoitości  
nie rozumiem że czasem chcę  
by stanął w miejscu  
nie zawaha się ani sekundy czy wybić godzinę  
może czyjaś ostatnią

**Julia Opiłowska (Saficzna. patetyczna), kl. 2**  
**Klub Literacki „Pegazik”**  
**Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile**

## **Kobieta z kory**

mam zdrewniałe ręce i oczy zaćmione  
bezpowrotnie – mam szlaki wędrowne  
skrwawione wojnami i łzami stu matek –  
pod lewym okiem mam sińce nieswoje  
dymy wiosek płonących

mam szale żałobne i szaty wyprane  
radosne ongiś – dziś już nie-niedzielne  
mam tory żelazne na dłoniach i drzeworyty  
mam pod sercem niespłodzone  
mam i różaniec z wisielczego drzewa  
z Chrystusem z kości głodowej

**Zuzanna Banach-Dziura (Banachówna), kl. 1**  
**I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle**

## **Erotyk**

daj mi miłość bezdenną jak piekło  
i czynem onieśmiel niebios  
kochaj mnie całą bo drzę i nie śpię  
gdy braknie mi ciebie we włosach  
spijaj jak rosę zbieraj mnie z warg  
gdy będę ci dawać wytchnienie  
kochaj mnie całą aż braknie ci nazw  
i zdławisz je moim imieniem

**Anna Prus (Kot), kl. 2**  
**V Liceum Ogólnokształcące w Warszawie**

## **Mały chłopiec**

zawsze najbardziej lubiłem być sam  
czułem że tylko ja siebie rozumiem  
byłem wtedy mądrzejszy od tych  
wszystkich psychologów  
nikt mnie nie może zrozumieć  
bo ludzie sami siebie nie rozumieją  
mam to szczęście że rozumiem się doskonale  
nie muszę udawać kogoś innego  
ani nawet tego rozważać  
siedziałem w fotelu  
zakładałem nogi na stół  
nuciłem Beatlesów  
i nie chciałem dorastać

**Alicja Wojnarowska (Kunegunda), kl. 1**  
**Liceum Ogólnokształcące nr 1 we Wrocławiu**

## **Portret**

Jeszcze wczoraj widziałam:  
Mam kilka lat i dwa zęby stałe  
Paznokcie poobgryzane do nagości  
Bledziutka dusza prześwituje przez uśmiech

Dzisiaj już co innego  
Rozsypałam się na małe kawałeczki  
Na podłodze leżą  
Gdzieniegdzie  
Poplątane rzęsy i włosy  
Usta sklezione na amen  
Niezdolne do mówienia

Szukam siebie w lustrze  
Jeszcze wczoraj  
Miałam kilka lat i dwa zęby stałe

Szukam śladów  
Rozdrapuję paznokciem szybę  
Gdzie ona jest  
Ja?

**Maria Musiał (Aria), kl. 2**  
**Klub Literacki „Pegazik”**  
**Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile**

## **Przypowieść**

Pochłaniam kolejne wyrazy, które wypowiadasz  
Spoglądam w górę, gdzie słońce objawi się  
Zza ciężkich chmur  
Oświeci nasze głowy  
I nasze umysły

Piasek mieni się w świetle latarni  
Wezmę garstkę w dłonie  
Wezmę i rozsypię  
Może go dostrzeżesz  
W nocy pochmurnej

Pochłonięci śpiewem syren  
Płyniemy przed siebie  
Usta twoje spierzchnięte  
Od słów niewypowiedzianych  
Będziemy tak płynąć  
Będziemy tak marzyć  
Uciekać od ostrego powietrza



**Magdalena Moś (M&M), kl. 3**  
**Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 2**  
**w Nowym Targu**

## **Przyjacielska partyjka**

Znów stoję przed drzwiami, a moje zimno powoli topnieje. Dobra, wręcz obezwładniająca mnie energia wypływa ze szpary nad progiem oraz przez dziurkę od klucza i mknie w moją stronę, jakby na dzień dobry chciała oddać mi to, co najlepsze. Wzdycham ciężko i sięgam do lekko zdezelowanej klamki. Już mam ją nacisnąć, gdy w ostatniej chwili decyduję się na niezbyt mocne uderzenie białym jak papier knykiem o dębową płytę. Wiem, że powtarzano mi już tysiące razy bym nie pukała, ale... cóż... Dobre maniery znów biorą górę.

– Proszę! – słyszę lekko zachrypnięty i jednocześnie ujmująco jedwabny głos, który natychmiast wywołuje uśmiech na mojej zmarnowanej twarzy. Dopiero wtedy naciskam klamkę i bezszeltnie wślizguję się do środka. Hortensja jak zwykle siedzi na swoim ukochanym bujanym fotelu z kotem na kolanach i książką w rękach. Gdy przekręca głowę, by spojrzeć w moim kierunku, okulary zsuwają jej się na czubek nosa.

– Dzień dobry – witam się, uprzejmie chyląc czoło.

– Witaj! – odpowiada natychmiast z promienistym uśmiechem, który za swoim blaskiem ukrywa wszystkie zmarszczki na jej twarzy. Odkąd pamiętam podziwiam ten stan ducha. Że też człowiek w tak podeszłym wieku potrafi trzymać w sobie małe dziecko i emanować jego energią na lewo i prawo.

– Gotowa? – pytam, poprawiając rękaw swojej przytłaczająco ciężkiej szaty. Gdy Hortensja kiwa głową, zapraszam ją gestem ręki do małego stoliczka, ukrytego po drugiej stronie pokoju. Nie mija sekunda, a słyszę trzeszczące przy co drugim kroku lewe kolano i szuranie papuci, które dostała w zeszłe Święta Bożego Narodzenia. Jak zwykle oferuję swoje ramię, a Hortensja obowiązkowo

prycha z udawanym oburzeniem i zaczyna mruczeć pod nosem na temat braku wiary w emerytów.

– Jesteś jak moja Basia! – słyszę. – „Mamo, zrobić ci herbatę?”, „Mamo pomóc ci z praniem?”... Radziłam sobie przez przeszło siedemdziesiąt lat, więc jeden, czy dwa dni mnie nie zbawią.

Przytakuję dla świętego spokoju, a ona układa się na dużym, już nieraz łatanym, czerwonym fotelu, który w mojej opinii z godziny na godzinę pachnie coraz intensywniej kotem i lawendowym środkiem zwalczającym mole. Najchętniej otworzyłabym okno, ale wiem, że przeciągi wywołują u Hortensji nieprzyjemny kaszel, a co to za przyjemność charczeć i chrząkać podczas rozgrywki?

– Białe czy czarne? – pytam, zajmując miejsce naprzeciwko czerwonego fotela. Może i moje siedzisko nie jest tak wyszukane, gdyż to jedynie krzesło z miękką poduszką w kwiatowy wzór, ale przynajmniej zapach lawendy z tej odległości staje się trochę mniej wyczuwalny.

– Białe ostatnio przyniosły mi pecha, jak dobrze pamiętam... – odzywa się Hortensja, poprawiając okulary. – Więc może dzisiaj wezmę czarne, jeśli pozwolisz.

Pozwalam. Ujmuje więc w skostniałe i naznaczone wiekiem palce jeden z pionków, po czym kładzie go na zajmującej stolik szachownicy. Wiem, że rozpoczęcie gry nie nastąpi szybko, ale nie chcę jej popędzać – drżące dłonie mają prawo przeciągać każdą czynność w nieskończoność. Mnie i tak się nie spieszy, a dla Hortensji to zawsze kilka minut więcej.

– Moja droga, widziałaś może ile jabłek wydała tej jesieni moja kochana jabłoń? – pyta, zaciskając palce na Królowej. – Dzieciaki zbierają je i zbierają, a nowe pojawiają się, jakby znikąd! Czary, moja droga. Czary! – Kładzie pionek obok postawionego już Króla i zerka na mnie, wyczekując reakcji. – A jakie pyszne...! Nie za słodkie, nie za kwaśne... Idealne, moja droga.

– Poproś Basię, może upiecze z nich szarlotkę – proponuję, ściskając w dłoni Skoczka. Jego koński łebek jest lekko wyszczerbiony w jednym miejscu, co dodaje mu swego rodzaju uroku.

– Ona wiecznie nie ma czasu na takie rzeczy... – Hortensja macha lekceważąco ręką i wzdycha tak ciężko, że aż czuję w sobie jej żal. – Wbiega, bombarduje mnie tysiącem pytań i wybiega. Najchętniej to sama zajęłabym się ciastem, ale... – przerywa, wiedząc, że nie musi kończyć. – Co zrobisz, moja droga? No nic nie zrobisz... Kiwam głową i pozwalam jej rozpocząć rozgrywkę.

\*\*\*

Zerkam na otwartą w notatniku stronę i zdecydowanym ruchem odhaczam jedną z pozycji. Na nieszczęście moje Wieczne Pióro nie chce współpracować i muszę ponowić czynność, co wywołuje u mnie lekką irytację. Zamykam zeszyt, przytrzymując w środku złośliwy przyrząd do pisania i wsuwam go za pazuchę. Nim podchodzę do drzwi, zostawiam swój zawodowy sprzęt przed progiem, oparty o ścianę, by nie zawadzał w malutkim pokoju Hortensji. Jeszcze zahaczyłabym którymś końcem o jeden z kwiatków i narobiła szkód, a te nie są aktualnie mile widziane.

– To ty, moja droga? – słyszę dobiegający zza drzwi, zachrypnięty głos. Czyżby Hortensja usłyszała, jak wciągam z irytacją powietrze? Co, jak co, ale słuchu to niejeden osobnik z młodszej generacji może jej pozazdrościć.

– Przyszedłam się zrewanżować – informuję, otwierając drzwi. Zawiasy skrzypią, a ja przekraczam próg. Hortensja stoi przy oknie, oparta o ścianę, na ramionach ma pozaciągany zapewne przez kota, purpurowy sweter, którego zapach dociera do mnie nawet z takiej odległości. Pachnie herbatą, nową książką i odrobinę lawendą. Zupełnie jak Hortensja.

– Widziałas się z panem Stasiakiem spod czwórki? – pyta mnie, nie odwracając twarzy od szyby. Nie widzę, gdzie skierowała swoje błękitne, tłące się żarem oczy, ale nie muszę się długo nad tym zastanawiać.

– Tak – odpowiadam i kieruję się w stronę stolika z szachami, a karetka odjeżdża w ciszy spod bloku, wiedząc, że nie ma powodu, by się spieszyć. – Białe czy czarne?

\*\*\*

Hortensja ujmuje w dwa palce wystającą z opakowania chusteczkę i wyjmuje ją tak delikatnie, jakby się bała, że przez przypadek ją potarga. W ciszy obserwuję, jak przykładą ją do zaczerwienionych, pokrytych plamkami policzków i wyciera ciekące po starej skórze łzy.

– Że też musiało trafić akurat na moją kochaną jabłonkę... – chlipie, a jej głos balansuje między tonami. – Tyle jabłek... Tyle wspomnień...

Gdy głośno sięka nos, ja podchodzę do okna i zaglądam za białe jak śnieg zasłony w głąb ogrodu. Owoce wieloletniej pracy Hortensji zawsze wprawiają mnie w zachwyt, ale dziś niczego takiego nie czuję. Żadnej radości, żadnego ciepła, czy piękna, które wywołuje uśmiech nawet u mnie. Nic – tylko smutek i złość – jakby powalone drzewo zagłuszało wszystkie pozytywne odczucia, które ofiarowuje skąpany w kolorowych kwiatkach i soczystej zieleni ogród.

– Przekłeta burza... – mruczy pod nosem Hortensja. – Żeby tak moją kochaną jabłonkę...

– Trzeba będzie zasadzić nową – mówię i wracam do stolika, obserwując zmagania mojej towarzyszk z chusteczkami. Ból po stracie źródła wspomnień sprawia, że jej dłonie trzęsą się gorzej niż zwykle, więc bez zastanowienia odbieram jej już prawie opróżnione opakowanie i wyciągam jedną z chusteczek, by nie musiała się denerwować.

\*\*\*

Para z zaparzonej przez Basię herbaty unosi się nad kubkiem, a wykonywany przez nią taniec bez przerwy przyciąga moje oczy, co utrudnia mi grę. Widząc to Hortensja śmieje się i mówi:

– Coś dzisiaj kiepsko z koncentracją, moja droga.

Tak, ma rację, ale nie powiem jej dlaczego. Wolę cieszyć się partijką, w końcu po coś tu przyszłam. Unoszę więc swoją lodowatą dłoń i z drobnym, wręcz ledwo widocznym uśmiechem chwytam za pionek. Chyba mamy już po grze...

- Szach-mat – mówię z zadowoleniem, a Hortensja wzdycha, lekko podłamana przegraną.
- Jeszcze raz...? – pyta z nadzieją, która tylko powiększa mój uśmiech.
- Wybacz... – wstaję, a na moje miejsce natychmiast wskakuje kot, sugerując mi, że czas dobiegł końca. – Obowiązki wzywają.

\*\*\*

Drzwi są otwarte na oścież, a w progu stoi Basia z tacą, na której dostrzegam talerz pełen zupy i pusty kubek po herbacie. Nie wiem, czy to przez światło z korytarza, ale cienie na jej twarzy sprawiają, że wygląda na zmęczoną. Podkrążone oczy, brak makiażu i wzbogacona kolekcja zmarszczek na czole... W jaki sposób człowiek potrafi się tak drastycznie zmienić w ciągu kilku tygodni...? Naprawdę nie potrafię tego zrozumieć.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować – odzywa się Basia, zaglądając w głąb pokoju – zawołaj.

Nim zamyka za sobą drzwi, prześlizguję się między nią a framugą. Wiem, że będzie to trochę niegrzeczne, ale... nie chcę zmuszać Hortensji do podnoszenia głosu.

– Dzień dobry – witam się, próbując nie zostać zagłuszona przez zgrzyt zawiasów.

– Dzień dobry, moja droga. Dzień dobry! – słyszę natychmiast słaby, lecz ciągle pogodny głos. Hortensja leży na łóżku, owinięta szczelnie w gruby, wełniany koc i otoczona ze wszystkich stron przez, przyniesione zapewne przez Basię poduchy.

– Widzę, że z dzisiejszej partyjki nici – stwierdzam, opierając dłonie na biodrach.

– Słucham? – prychna Hortensja, unosząc wąskie, szare brwi. – Dobrze sobie! Przynieś tu szachownicę, moja droga i gramy!

Nie mogę zrobić nic innego, jak tylko się uśmiechnąć i posłusznie spełnić jej rozkaz. W końcu to ona jest tu gospodarzem, a ja tylko gościem, który musi się dostosować do praw panujących w tym domu.

– Basia wzięła sobie wolne? – pytam, kładąc szachownicę na łóżku, tuż obok nóg Hortensji.

– Tak – odpowiada, obserwując jak układam pionki. Dzisiaj nie wyrывa się, by mi pomóc, tylko cierpliwie czeka aż wszystkim się zajmę. – Postanowiła przeprowadzić się tu na kilka dni. Oczywiście całe zamieszanie jest niepotrzebne, ale zabrała ze sobą moje kochane wnuki, więc... – śmieje się, a jej śmiech po chwili zamienia się w kaszel. – Sama rozumiesz...

Rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem.

\*\*\*

Mam wrażenie, że całkowicie przesiąknęłam zapachem lawendy, a zajmuję ten przeklęty fotel zaledwie parę minut. Marszczę czoło i posyłam gniewne spojrzenie ku wylegającemu się na krzesle wąsatemu przyjacielowi Hortensji. Staremu sierściuchowi przydałoby się nieco uprzejmości względem gości...

– Sam obierałam jabłka! – dobiega mnie przepełniony dumą głos Antka. – Mama dała mi obieraczkę i nawet nie pilnowała, wiesz babciu?

– A ja podawałam mu te największe i najładniejsze! – wcina się natychmiast Emilka. Nawet nie patrząc w tamtym kierunku, wiem, że brat wierci w niej dziurę lodowatym spojrzeniem.

– Chyba przeszkadzałaś – syczy chłopiec, wyraźnie oburzony zabranieniem przez siostrę głosu.

– No, no, no... – Hortensja śmieje się, walcząc z chcącym zawładnąć nią kaszlem. – Nie wiedziałam, że z was takie pracusie!

– Jak ciasto się upiecze – wyrывa się znów Antek, a ja wsuwam się głębiej w fotel, próbując zapomnieć o znienawidzonym zapachu – to przyniosę ci ogromny kawałek!

– Ja też! – krzyczy Emilka, nie chcąc być gorsza od brata.

Mimo, że Hortensja jest gdzieś za moimi plecami, doskonale czuję siłę płynącą z jej uśmiechu. Wiem, że jest szczęśliwa i bardzo mnie to cieszy. Niech czerpie z tej chwili tyle radości, ile może. Ja poczekam. Szachy nigdzie nie uciekną.

\*\*\*

Zaciskam usta w wąską kreskę i przyglądam się uważnie szachownicy. Czym by tu poruszyć...? Gońcem? Nie... Odkryję Króla. A może Wieżę? Stracę Skoczka, ale przynajmniej zakończę ten nieznosny szturm na mojej połowie planszy.

– Aj!... – syczy Hortensja, obserwując mój ruch. Nie mija minuta, a wyciąga rękę, wyraźnie zdecydowana w kwestii dalszej rozgrywki. Gdy jej palce zaciskają się na Królowej i unoszą ją w powietrze, wiem już, co się stanie. Pionek spada i zderza się z szachownicą, przewracając kilka żołnierzy z białej i czarnej armii.

– Spokojnie – mówię, widząc smutek w oczach Hortensji. Jest mi jej tak ogromnie żal...

– Wiesz, co? – odzywa się po chwili, kiedy układam pionki na odpowiednich miejscach. – Jak tak z tobą gram, czuję się jak bohater „Siódmej pieczęci”.

Uśmiecham się, ale nic nie mówię. Nie wiem dlaczego Hortensja odwołała się do tego tytułu. Przecież Antonius Block poprzez grę w szachy walczył o swoje życie, a ona... robi to wszystko, by powoli się ze mną oswoić.

\*\*\*

Zaciskam dłoń na kosie w żelaznym uścisku i z ogromnym ciężarem na sercu pukam trzy razy do drzwi. Tym razem nie mam zamiaru czekać na zaproszenie – wchodzę powolnym krokiem, jakbym chciała odwlec to, co i tak nieuniknione.

Robię to już tyle lat... Powinna się przyzwyczaić.

Basia klęczy przy łóżku, trzymając Hortensję za rękę. Nie widzę jej twarzy i nie chcę jej zobaczyć – po co utrudniać sobie pracę?

– Dzień dobry, moja droga...

Hortensja przekręca wtopioną w poduszkę głowę, a jej błękitne oczy kierują się ku mnie, ciągle pełne radości i ciepła. Pragnę w nie patrzeć tyle, ile mogę. Nie da się tak po prostu pożegnać z ich żarem, który stapia nawet mój chłód.

– Dzisiaj wybieram białe – oznajmia Hortensja, a ja biorę głęboki wdech.

– Nie przyszłam na szachy – mówię z żalem, który nie powinien mieć miejsca. Przecież to takie nieprofesjonalne.

Uśmiech znika z ust Hortensji, a w jej oczach gaśnie blask, który pokochałam.

– Rozumiem... – szepcze i zaciska palce na dłoni Basi. Później wstaje, całuje ją w czoło i podchodzi do mnie, opatulając się swoim zaciągniętym, purpurowym swetrem.

– Gotowa? – pytam, oferując jej swoje ramię.

– Gotowa.

**Natalia Hetman (Rudzik), kl. 2  
I Liceum Ogólnokształcące Dwujęzyczne  
w Gliwicach**

## **Karmin**

Tabliczkę z napisem krzyczącym czerwoną czcionką „ZAMKNIĘTE” zawiesiła na ogromnych, dwuskrzydłowych drzwiach już pół godziny temu, ale światło dalej biło z wnętrza sklepu, rzucając delikatną, złotawą poświatę na wystawę. Stała przy okrągłym podwyższeniu pośrodku rozproszonego po całym pomieszczeniu roju pięknych sylwetek, odzianych w piękne kreacje, uszyte z pięknych materiałów. Te, znajdujące się naprzeciw jej oczu były jeszcze piękniejsze. Najpiękniejsze. Kochała i zarazem nienawidziła przyglądać się im. Robiła to często. Ktoś kiedyś powiedział, że jej miasto przypomina Amsterdam, ale Carmen była innego zdania. W odróżnieniu od rzeczonej metropolii, w nocy te okolice były zaskakująco martwe. Czuła się źle wychodząc po zmroku sama w labirynt brukowanych uliczek, choć za każdym razem rugała się za to w myślach, powtarzając: Głupia jesteś. Te wszystkie okropieństwa nie przydarzają się dziewczynom takim jak ty. Przeciwięstwa się przyciągają. Tej nocy było dokładnie tak, jak każdej innej. Cicho i ciemno jak w grobie. Wiedziała, że pora już iść do domu, ale w nieczynnym sklepie czuła się bezpiecznie. Może nawet wo-



lałaby zostać tam zamknięta. Puste, nieskazitelne twarze manekinów, które czasem lubiła, a czasem nie, zawsze były obojętne. Nie rzucały ukradkowych spojrzeń, udając, że wcale nie patrzą. Jawnie także się nie przyglądały. One nie oceniały, bo to je się oceniano. Nigdy odwrotnie. A może były po prostu zbyt zapatrzone we własne, ozdobione makijażem z farby oblicza, by dojrzeć pokrakę stojącą tuż obok.

Cierpiała na przerost połowiczny, który przejawiał się tym, iż prawa połowa ciała Carmen, wyjątkowo niesforna, nie chciała słuchać się jej reszty, usilnie kuląc się w sobie i zapadając. Prawa stopa była o dwa rozmiary mniejsza, prawa noga krzywa jak u starej kobiety, prawe biodro zwisało nieco poniżej lewego, prawe ramię stanowiło ostro obniżony łuk, prawy nadgarstek nie istniał, a palców u prawej dłoni miała tylko cztery, przy czym odgadnięcie który jest który, było praktycznie niemożliwe. Natomiast prawa połowa jej twarzy była, co zaskakujące, zwyczajna i nawet jeśli coś w niej było nie tak, Carmen nie potrafiła zidentyfikować co.

Jej oczy prześlizgiwały się po plastikowych ciałach, gdy siedziała zamknięta w ogromnym sklepie odzieżowym jak w małej, oszklonej latarence pływającej po czarnej, miejskiej toni i nie chciała dopływać do brzegu. Zbyt wiele niezadanych pytań, zbyt wiele nieudzielonych odpowiedzi czekało na nią w domu, do którego tak jej było nieśpieszno. Nie cierpiała tego. Być niespełna umysłu, a być traktowanym jak osoba niespełna umysłu to dwie zupełnie różne rzeczy. Rodzice nigdy nie widzieli w niej równej sobie istoty, choć bardzo się starali. Ona nie potrafiła tego ignorować, choć starała się równie mocno. Starła się też nie miotać się, usiłując pokazać im, iż jest nie tylko człowiekiem rozumnym, ale i młodą kobietą. Według nich nie było innego rozwiązania dla problemu, oprócz przeprowadzenia Carmen przez dziesiątki różnych operacji plastycznych, a sama Carmen w tej kwestii pozostawała rozdarta. Zawsze rozdarta. Z jednej strony kusiła ją ta próżna ingerencja, a była do niej regularnie namawiana, z drugiej zaś coś podpowiadało jej, że to nie to. Że za każdym razem, gdy spojrzy potem w lustro będzie widziała tylko dziesiątki dowodów tego, że ciała,

którym została cudownie obdarowana przez los zupełnie nikt nie potrafił pokochać.

Bądź co bądź, do domu trzeba było jednak wrócić.

Kiedy Carmen w końcu zgasiła światła, latarenka zgasła. Właśnie miała zamknąć drzwi, gdy niespodziewanie jakiś upiorny zgrzyt sprawił, że podskoczyła przestraszona, wypuszczając klucz z ręki. Metal brzęknął o posadzkę. Niezbyt zgrabnie, aczkolwiek natychmiast podniosła go z ziemi i obejrzała się powoli przez ramię, mając szczerą nadzieję, że się przesłyszała. Odgłos dobiegł z zaplecza i sugerował, iż masywny zawias tylnej kotary potrzebował zdrapania z siebie rdzy. Nie poruszyła się. Cokolwiek to było, też się nie poruszyło. Oddech. Wdech i wydech raz po raz. Energiczne bicie serca. W popłochu.

Nic.

Wyszła. Ona wyszła, a to Coś tam zostało.

\*\*\*

Manekiny nie zaczęły znikać od razu. Najpierw tylko części. Palce, dłonie, kończyny, głowy; co wieczór w magazynie pojawiały się coraz to większe ubytki. Właścicielowi sklepu zazwyczaj to umykało, ale Carmen, tak bardzo do nich przywiązana, czuła się trochę jakby ktoś odbierał jej własne ciało, kawałek po kawałku. Po jakimś czasie nie udawało się jej już ignorować sytuacji na tyle, by móc wieczorami oddychać spokojnie. Wiedziała kiedy dokładnie tajemniczy ktoś wchodzi i kiedy wychodzi, jednak nie robiła z tym kompletnie nic. Mijały dni. Bała się. Ubywało jej.

Był jednak taki wieczór, gdy czara się przelała i wskazówki zegara przesuwające się okrężnie po tarczy stały się igłami, przeszywającymi na odległość wszystkie słabe punkty dziewczyny, a wszystko to podczas ostatnich dziesięciu minut jakie zostały intruzowi na szabrowanie w magazynie. To śmieszne, myślała odliczając pozostałe sekundy, znać dokładnie grafik włamywacza i kulić się w kącie, by mu nie przeszkadzać. Tik, tak, tik, tak... Próbowwała skoncentrować się na głuchych uderzeniach swojego serca, ale po jakichś piętnastu sekundach rytm jej uciekł, a oczy bezwied-

nie powędrowały w kierunku drzwi na zaplecze. Równie dobrze mógłby się za nimi kryć rozszałały rój szarańczy, Kuba Rozpruwacz, Bazyliszek czy inne stworzenie rodem z koszmaru. Tik, tak, tik... Jedna z wyimaginowanych igieł przebiła się przez skórę i zaczęła wiercić się gdzieś pomiędzy jej żebrami. Tik, tak... Kolejna wbiła się korkociągiem w jelita. Tik... Dość. Wystarczy. Wstała. Dolna partia jej ciała wlokła się do przodu mozolnie, jakby brodziła w betonie. Z każdym krokiem ciche odgłosy dobiegające zza drzwi; różne stuki i zgrzyty stawały się coraz bardziej wyraźne. Dookoła było ciemno, ponieważ dzisiaj wyjątkowo zgasiła światła i zaciągnęła kotary sklepowej wystawy wcześniej niż powinna. We własnej podświadomości sama skazała się wtedy na czekające ją spotkanie. Zbliżała się jak kłusownik do uwięzionej we wnykach bestii, aż jej drżące palce zacisnęły się na klamce. Ręce miała zimne i mokre od potu. Przez chwilę cały świat skurczył się do tej właśnie dłoni i klamki, nie czuła niczego innego. Tylko skóra i metal. Pociągnęła klamkę w dół, zamek przeskoczył i wszystko ucichło. Carmen wstrzymała oddech, jej wnętrzności skręcały się jak węże. Czy jestem odważna? - przemknęło jej przez myśl. Nie czuła palców kiedy pchnęła drzwi do przodu, a one ustąpiły z żałosnym zgrzytem. Kilkanaście sylwetek ustawionych w rządk. Alabastrowo gładka skóra, idealnie proporcjonalne, smukłe kształty. Wszystkie nieżywe. Jedna osłonięta czernią. Jedna ręka trzymająca latarkę, druga zastygnięta na ramieniu jednego z manekinów, obie w czerwonych rękawiczkach.

Bestia została przyłapana, przyobleczona w skórę mężczyzny. Nie nosił nawet kominiarki. Zszokowana mogła przyjrzeć się dokładnie tafli lodu, skuwającej niepokojąco odstające od reszty twarzy tęczęwki. Nie wyglądał jak spłoszony szabrownik ani nie począł przystawiać jej lufy do czoła, jak postąpiłby każdy rasowy zbir, o nie. Wyglądał jak rzemieślnik w trakcie pracy, a to wrażenie było tak silne, że nagle to Carmen poczuła się jak intruz. Mężczyzna patrzył na nią, nie, nie na nią, w nią. W jej oczy, nigdzie indziej. Jego spojrzenie nie zadawało przy tym bezgłośnych pytań, nie

poddawało jej odruchowej ocenie. Odwzajemniła to spojrzenie w milczącym osłupieniu.

– Za pięć minut mnie tu nie będzie – przemówiła Bestia, a Carmen nawet nie zauważyła, że jego usta się poruszają. – I jeśli tego zażądasz, zniknę. Nie wrócę. Nie dowierzała własnym zmysłom. Jak osiąść taką moc, by kilkoma prostymi słowami wyprowadzić człowieka przy zdrowych zmysłach na manowce?

– A... – zaczęła, jednak musiała najpierw solidnie przełknąć, żeby pozbyć się suchości z gardła – ...co jeśli tego nie zażądam?

– Wtedy będę kontynuował swoją pracę, tak jak robiłem to przez kilka ubiegłych tygodni – odpowiedział, przykładając miarkę krawiecką do polerowanego ramienia i tym samym uwalniając Carmen z lodowego uścisku.

– A co... tak właściwie robisz? To pytanie powinna zadać jako pierwsze, odpowiedź jednak nie pokrywała się ani trochę z jej przypuszczeniami.

– Naprawiam.

– Ja-jak to, ty...? Nie potrafiła złożyć prostego zdania. Patrzyła jak sprawnie miarka wije się w jego rękach. – To dość samolubne, nie uważasz?

Nie patrzył w jej stronę.

– Stworzone, by obrazować ideał. Nieskazitelne. Wieczne. Czerwień jego rękawiczek na chwilę przestała się ruszać i spoczęła poniżej plastikowej szyi. – Ale nawet one nie są perfekcyjne. Postukał knykiami w twardą klatkę piersiową. – Są martwe. Nie czerpią żadnego pożytku ze swojego piękna. Każde stworzenie traci je, gdy umiera. Po co obdarzać pustą skorupę wdziękiem, kiedy wokół tyle życia, które bardziej na nie zasługuje, zgodzisz się ze mną?

Kiedy mówił, jakiś mroźny, osobliwy dreszcz owinał się wokół jej krzywego kręgosłupa. Czy zgadzała się z nim? Ta Bestia wydawała się nierealna, jak dżin ofiarujący trzy życzenia tylko po to, by następnie rozpuścić się w powietrzu i zostawić swego pana z gorzkim posmakiem w ustach i wstrętem w sercu do siebie samego. A jednak był tam, w ciemności – człowiek z krwi i kości.

– Gdzie je zabierasz? Po co ci one? – wypaliła, dając choć minimalny upust kłębiącym się w głowie pytaniom rozdzierającym jej czaszkę. On dalej na nią nie patrzył. Wyjawszy niezbyt dużych rozmiarów ręczną piłę z czarnej torby leżącej obok, przystąpił do odcinania nieszczęsnego ramienia.

– Masz rację, to trochę prowizoryczne wyjście z sytuacji z mojej strony. Widzisz, myślałem o protezach, ale nieporównywalnie trudniej je zdobyć, a metal i śrubki nie są tak plastyczne jak plastik, niestety.

– Ty nie naprawiasz, ty je niszczysz. Gniew zaczął wzbierać w myślach znieruchomiałej Carmen. – Niszczysz coś, co jest częścią mnie! Wynoś się! – chciała wykrzyczeć mu prosto w tę beczelną, spowitą cieniem twarz.

– Nie ma naprawy bez zniszczenia.

Nie mogła się nie zgodzić. Uśmiechnął się smutno pod nosem. Była to pierwsza widoczna ekspresja, jaką dostrzegła na jego twarzy. Potem stało się coś, czego Carmen nie udało się w pełni pojąć zanim jej świadomość odpłynęła w niebyt. Nieznajomy wyjął z kieszeni płaszcza kartkę zgiętą na cztery części i podał jej, dodając:

– Sprawdź, czy się zgadza.

Cofnęła się, gdy wyciągnął do niej rękę, ale ostatecznie przemo-gła się, bo nadal na nią nie patrzył. Rozłożyła papier niepewnie, a to, co na nim zobaczyła, sprawiło, że całe powietrze uciekło z jej płuc. To był bilans lekarski sprzed trzech lat. Jej własny. Imię i nazwisko, a pod spodem wielka tabelka z wiekiem, wagą, wzrostem i wszystkimi możliwymi pomiarami, jakie mogą zostać wykonane na ludzkim ciele. Rubryki dzieliły się na stronę prawą i lewą, dokumentując szczegółowo wszystkie dysproporcje. To, że jedna ręka była dłuższa od drugiej dokładnie o sześć centymetrów, kąt, pod którym zapadało się ramię i cała reszta, na którą Carmen nie miała ochoty patrzeć.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego? Jak... Otoczenie zaczęło powoli rozmazywać się przed oczami dziewczyny. Łzy miały popłynąć lada chwila, lecz zanim to nastąpiło, jej oczy zatrzymały się na

torbie, do której Bestia zapakowała swoją zdobycz. Prawa stopa, prawa łydka, prawa dłoń. Ramię trzymał już w czerwonych dłoniach. Nagle zrozumiała, choć istotnie przywidło to na jej usta gorzkawy posmak.

– Ty... naprawisz... mnie? Przeniosła wzrok na mężczyznę i tym razem jej spojrzenie zostało odwzajemnione.

– Jeśli tego chcesz. I nie będę maskował tego, co innym wydaje się brzydkie. – Ja cię stworzę na nowo. Jeśli tego zażądasz. Świat wokół drgał.

– Nie. To się nie dzieje naprawdę. Jak to możliwe? Czy to możliwe?

– zakołysała się na nogach, ale ustała. On czekał.

Tyle lat ze sobą walczyła. Tyle razy musiała sobie przypominać, co jest dobre, a co złe, skamląc przy tym o wsparcie... Ale przecież te części już od dawna należały do niej. Była nimi, a one były nią, zgodzisz się ze mną? Potrzeba było tylko pośrednika. To nie mogło być złe.

– Napraw mnie – zażądała.

I naprawił ją.

Kiedy wchodzili do ogromnego, walącego się budynku, jakim były ruiny miejskiego teatru Carmen czuła się nieco otępiała, okropnie niestała w środku, jakby wszystkie jej wnętrzności stopiły się w płynną masę. Gdyby ktoś w tym momencie kazał jej przełknąć własny język, najprawdopodobniej zrobiłaby to. Z trudem przychodziło jej skupienie się na czymkolwiek oprócz własnych myśli, które wysyłane w eter powracały z czterokrotną siłą, objijając się echem o czaszkę. – Carmen, co ty w ogóle wyprawiasz?! Wyprawiasz?! Awiasz?! Awiasz?! Asz?! To niebezpieczne! Eczne! Jak możesz – Eczne! Ne! – mu ufać? Całe Mufać? życie się Ufać? Ufać? od tego To się bardzo Ać! wzbraniałaś. Ałaś. Bardzo Aś! źle skończy! Ończy! To się! Jak mo – Carmen! – żyjesz? Możesz? Awiasz?! Ać! Nie obchodzi Całe życie! mnie to. Eczne? E? Słyszysz? Ysz? Nie obchodzi! Odzi! I! Nie obchodzi Nie obchodzi Eto! Mnie to! Nie!

– Napraw mnie!

Pamiętała dziwny, łagodny ból. Pamiętała stół operacyjny, który wcale nie był stołem operacyjnym i bezgraniczne zaufanie do ope-

rującego. Pamiętała też, że w pewnym momencie zostało jej tylko pół, a potem ta połowa stała się całkowicie pusta. Jak kości ptaka. Ściągną naciągnęły się jak struny na trzeszczących zębatkach kości i stopniowo Carmen zespajała się za pomocą wprowadzonych rąk niedoszonego chirurga. Wszystko działało się na odwrót. Czuła się jak wąż, który zamiast porzucić starą skórę wciskał się w nową, gładką i połyskującą. Kiedy ta świadoma część jej umysłu podpowiadała, że operacja dobiega końca, Carmen poczuła ostre ukłucie na obu nadgarstkach, a potem w kostkach. Kroplówka? Nie. Nie, ale to również miało utrzymać ją przy życiu, a w szczególności jej nową połowę.

Kiedy się obudziła, wpatrywało się w nią kilkanaście rzędów pustych siedzeń. Postrzępione i wybrakowane, przypominały kolejne warstwy zębisk paszczy Bestii, w której się aktualnie znajdowała. Choć leżała na twardym, drewnianym parkiecie, czuła się zaskakująco lekka i ...obca. Podniosła się pomału, a jej ręce zastukały przy tym o podłogę, jak porcelana. Chwył miała pewny, już nie koślawy. Nagle przed dziewczyną zamajaczyła czerwona ręka ofiarująca pomoc. Przyjęła ją. Wstała z gracją zawodowej tancerki i precyzją nakręconej maszynki. Jej głowa niczym wypchana wata. Patrzyła pod nogi, obserwując własny cień; idealnie symetryczny. Jego widok tak ją pochłonął, że nie przejęła się wcale złocistymi sznurkami, wychodzącymi spod jej skóry tuż przy kostkach.

– Witaj – usłyszała głęboki ton właściciela czerwonej ręki. Znała go. Ufała mu. Była mu wdzięczna. Naprawił ją.

– Od dzisiaj będziesz nosić imię Karmin.

## **Paruzja**

– Panie Kamiński, tu jest uczelnia, a nie cholerna rzeźnia!

Student podskoczył. Skalpel wysunął mu się z dłoni i zniknął w czeluściach ciała.

– Nie pomyliliście aby studiów z praktykami w ubojni? – kontynuował profesor, zataczając kolejny krąg wokół egzaminowanego. – Takimi ruchami skóruje się bydło, a nie otwiera żołądek! Lekarza ma cechować delikatność, panie Kamiński. Delikatność w obchodzeniu się z pacjentem! Teraz proszę dokończyć, tak jak należy.

– Ale... – wyduł z siebie student. – Ale skalpel mi wpadł...

– Co takiego?

Egzaminator spojrzał na czerwieniącego się studenta i na wyrwę w ciele trupa. Zamrugał, zdjął okulary i schował twarz w dłoniach.

– Precz mi z oczu – powiedział po chwili. – Jutro egzamin poprawkowy, radzę się przygotować. Tylko apokalipsa pana przed tym uratuje. Do widzenia...

Po sali poniósł się cichy chlupot. Ignacy znów podskoczył i momentalnie zbladł. Rzucił przerażonym spojrzeniem na najbliższą wannę z formaliną, w której moczyły się dwa ciała – jedno z nich przesunęło się ponad drugie i stuknęło nogami o krawędź wanny.

– Grawitacja – rzekł ze stoickim spokojem profesor – i za małe wanny. Ciała przesuwają się milimetr po milimetrze, aż któreś przeważy i wsunie się pod drugie. A co się człowiek naje strachu, to jego. Żegnam.

Ignacy mruknął coś w odpowiedzi i ruszył do wyjścia. Zmusił się, żeby nie biec przez pełną wanien i stołów, oświetloną szarym światłem salę. Gdy dotarł do przedsionka padł na ławkę pod ścianą. Odczekał, aż uspokoi się jego oddech, po czym wyszorował ręce w jednym ze zlewów i przeplukał wodą twarz. Pchnął drzwi i wyszedł z prosektorium.



Na schodach prawie zderzył się ze stojącym za rogiem człowiekiem. Ten bez słowa chwycił go pod ramię i poprowadził korytarzem. Wyszli na dziedziniec uniwersytetu i skierowali się w kierunku akademika.

– Ciebie też oblał?

– Ta – burknął Ignacy. – Nawet nie dał drugiego skalpela...

– Pieprzone nerwy, nijak nie idzie się ich dopatrzyć – powiedział Kordian. – Na tych planszach wszystko wygląda tak ładnie, kolorowo, z opisami. A potem dają ci trupa i weź się w tych flakach rozeznaj. Mam powtarzać jutro.

– Ja też. Ta medycyna to chyba nie dla mnie...

– A, głupio gadasz. Musimy po prostu poćwiczyć. I właśnie z tym do ciebie przychodzę.

Usiedli na ławce pod akademikiem.

– Poćwiczymy na sobie nawzajem? – powiedział Ignacy i puścił oczko do kolegi. – Czy mam ci pomóc w morderstwie? Taki świeży trup będzie się trochę różnić od tych mumii w formalinie, ale fakt, może nam to pomóc. Masz już kogoś na oku? Znam jedną starą lichwiarę, skołuj siekierę to pójdziemy do niej z wizytą...

– Wstrzymaj wodze, Raskolnikow – odparł Kordian. – Nikogo nie zabijamy, przynajmniej na razie. Słuchaj, gadałem z cieciem, mógłby otworzyć nam prosektorium dziś wieczorem. Poćwiczymy na jakimś otwartym, ty sobie jednego rozetniesz i zmyjemy się przed świtem.

– Ty wiesz, że jak nas złapią, to wylatujemy na zbity pysk?

– Nie złapią, przekupimy starucha. Zamknie za nami drzwi, otworzy jak zapukamy i nikt się nie zorientuje. Słuchaj, bez tego nie mamy szans zdać jutro. Nie wiem jak ty, ale ja chcę zostać tym lekarzem. To jak?

Ignacy zamyślił się. Obaj skinęli głową przechodzącemu przez dziedziniec profesorowi.

– A żeby cię, tyfusie – mruknął Ignacy. Przeniósł wzrok z profesora na oczekującego kolegę. – Co mi tam, niech będzie. Na tę łapówkę to się złożymy, tak? Ile?

– Pół litra.

\* \* \* \* \*

Cieć, pobrzękując kluczami, otworzył drzwi do prosektorium. Gdy je zatrzasknął, obu studentów otoczyła gęsta, nieprzejrzysta ciemność.

– *Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...*

– Zamknij się – mruknął Ignacy, wodząc dłonią po ścianie – i znajdź włącznik światła.

– Strach obleciał? – zaśmiał się Kordian.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę przypadkiem wpaść do wanny... Szare światło wypełniło przedsionek. Starszy ze studentów wparował do sali. Ignacy stanął w przejściu i rozejrzał się. Trup z egzaminu nadal leżał na stole, a dwa ciała, które niemal przyprawiły studenta o zawal serca, zostały z powrotem ułożone jedno obok drugiego.

– Profesor kazał ciociowi wynieść go do spalenia – rzekł Kordian wskazując na trupa, gdy kolega do niego dołączył. – Możemy naciąć i oglądać do woli, potem i tak ślad nie zostanie.

Otworzył torbę. Wręczył Ignacemu skalpel i rozłożył na stole obok planszę ze szczegółowo opisanym rysunkiem ludzkiego ciała. A dokładniej jego wnętrzości.

– Poćwicz rozcinanie – powiedział. Spojrzał na zmaltretowany przez kolegę brzuch denata. – Tylko spróbuj mniej agresywnie... Ignacy zabrał się do roboty. Powoli, nacięcie za nacięciem, doprowadził trupa do wyglądu przywodzącego na myśl ofiarę nożownika. Po godzinie, gdy skończyło się miejsce na brzuchu i klatce piersiowej, otworzył go do końca.

– *Et tu, Brute, contra me?* – powiedział Kordian, palcami poruszając wargą denata.

– Jesteś obrzydliwy.

Przysunęli sobie krzesła i pochylili się nad wnętrzościami. Ignacy wyciągnął wbity w otrzewną skalpel i odłożył go na bok. Wyjęli z kieszeni fartuchów notatniki.

Cichy chlupot sprawił, że Kordian podskoczył na krześle, omal z niego nie spadając. Powierzchnia wanny po drugiej stronie sali

zafalowała, usłyszeli odgłos stóp uderzających o brzeg. Ignacy wybuchł śmiechem, widząc minę przyjaciela – śmiał się, dopóki twarz Kordiana nie nabrała z powrotem rumieńców i nie pojawił się na niej obrażony grymas.

– Mogłem zawału dostać – zachnął się student. – Miałbyś mnie na sumieniu.

Wrócili do analizowania wnętrza trupa. Gdzieś na zewnątrz, ponad miastem, rozległ się przeciągły, donośny dźwięk, brzmiący jak trąba. Studenci popatrzyli po sobie zaskoczeni.

– Alarm przeciwlotniczy? – zasugerował Ignacy.

– A gdzie, alarm brzmi inaczej. Pewnie jakiś głupi żart.

Po pewnym czasie dźwięk podobny do trąby rozbrzmiał ponownie.

– Cholera – powiedział Ignacy. – Chodźmy stąd. Może coś się dzieje? Może wojna wybuchła?

– Mówię ci przecież – odparł Kordian, nie odrywając się od badania trzustki – że tak nie brzmi żaden sygnał, ani wojskowy, ani cywilny. Milicja zaraz zajmie się tymi żartownisiami.

Rozbrzmiała następna trąba. I kolejna. Do północy Ignacy naliczył siedem przeciągłych sygnałów. Potem dziwne dźwięki umilkły.

– I po kłopotcie – rzekł Kordian, gdy od ostatniej trąby minęły dwie godziny. – Milicja dokonała pacyfikacji kontrrewolucyjnego elementu.

Usłyszeli kolejny chłupot formaliny. Nie podnieśli nawet wzroku.

– Em... przepraszam panów...

Kordian osłupiał. Ignacy zastygł z uniesioną do połowy głową i ze spojrzeniem wbitym w najbliższą wannę, z której spoglądała na studentów para błękitnych oczu. Żywych, błękitnych oczu.

– Widzę, że panów niepokoję, ale przysięgam, iż jestem nie mniej skonsternowany tą sytuacją...

– Jezus Maria – wyszeptał blady jak papier Ignacy. – Trzepnij mnie, bo chyba mam zwidy...

Kordian nie odpowiedział, zbladł tylko jeszcze bardziej. Cała pewność siebie momentalnie go opuściła. Trup, wbrew wszelkim zachowaniom typowym dla trupa, wstał i otarł twarz z formaliny.

Włosy na głowach obu studentów zjeżyły się, gdy pomógł swojemu towarzyszowi z wanny podnieść się do pozycji stojącej.

– Apeluję o zachowanie spokoju i rozwagę – powiedział były denat, unosząc dłonie w geście pojednania. – Myślę, że naszą sytuację da się na spokojnie...

Pierwszy ocknął się Ignacy. Poderwał się z krzesła, złapał półprzytomnego Kordiana pod ramię i pociągnął go przez salę, wyciągając uzbrojoną w skalpel dłoń w kierunku niespodziewanych gości. Zobaczył, jak z innych wanien podnoszą się ociekające formaliną sylwetki. Niektóre rozmawiały ze sobą, spoglądając po sali i za wycofującymi się studentami.

Dotarli do przedsionka. Ignacy począł walić w drzwi i krzyczeć. Głos uwiązł mu w gardle i wydał z siebie tylko cichy skrzek. Huknął jeszcze kilka razy w drzwi, po czym odwrócił się twarzą do sali.

W kącie pomieszczenia powoli zbierała się grupka około dwudziestu rozmawiających szeptem osobników. Denat, którego studenci otworzyli, jakimś cudem złożył się do kupy i dołączył do towarzyszy.

Student odciągnął zwiotczalego kolegę na ławkę i rozejrzał się po przedsionku. Przeszukał stojącą w kącie szafkę i nie znalazłszy nic ciekawego, zastawił nią wejście na salę. Podparta ławką stanowiła solidną barykadę. Pochylił się nad drżącym kolegą.

– Kordian, przyjacielu – potrząsnął nim delikatnie, dostrzegłszy mglistość jego spojrzenia. – Ocknij się. Jestem tutaj. Damy sobie radę, słyszysz mnie? *Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć!*

– Ignac... – wyszeptał oszołomiony student. Nie odrywał przesklonych oczu od przejścia na salę. – To są trupy... One...

– Nic nam nie robią, rozumiesz? Jesteśmy bezpieczni. Niech ktoś otworzy te pieprzone drzwi!

Stalowe wrota milczały.

– Przepraszam...

W przejściu na salę, w wąskiej szparze między framugą a szafką pojawiła się znajoma twarz o błękitnych oczach.

– Idź precz, zmoro nieczysta! – krzyknął Ignacy, sam zaskoczony tym co robi. – Wszystkie dobre duchy Pana Boga chwał!

Święty Michale Archaniele, wspomagaj nas w walce, a przeciw niegodziwości...

– Wypraszam sobie – przerwał mu urażonym tonem były denat.

– Ja, proszę pana, jestem księdzem i nie będzie mnie pan tu egzorcyzmować! Razem z moimi towarzyszami żądam wypuszczenia nas, gdyż najwyraźniej jesteście umówieni.

– My też bardzo byśmy chcieli stąd wyjść! – odparł Ignacy. Kopnął w drzwi. – Otwieraj! Ty dziadzie zachlany, otwórz te drzwi!

– Wątpię, by był tam ktokolwiek – powiedział niebieskooki. – Wręcz jestem tego pewien.

Ignacy oparł się plecami o drzwi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał, mierząc skalpelem w rozmówcę. Drżał na całym ciele. – Skąd możesz to wiedzieć? I dlaczego nie jesteście... dlaczego żyjecie?

– „Skąd ksiądz może to wiedzieć” – poprawił studenta denat. – Bądź co bądź, pamiętajmy o nomenklaturze. Odpowiem pytaniem – słyszeli panowie może trąby?

– Co to ma do rzeczy?

– Było ich siedem?

– Skąd wie... skąd ksiądz wie? – rzekł Ignacy, nie wierząc, że nazywał tak nagiego, rozmawiającego z nim trupa.

– *I ujrzałem siedmiu aniołów, którzy stoją przed Bogiem, a dano im siedem trąb* – wyrecytował ksiądz. – Objawienie Jana, zwane też Apokalipsą. Zmarli wstali z grobów, bo oto nastąpił koniec czasów i Chrystus po raz drugi przyszedł na świat, by dokonać nad nami sądu... Ignacy osunął się na ziemię i ukrył twarz w dłoniach.

– Jesteśmy tu uwięzieni – powiedział po dłuższej chwili. – Ciebie zamknął nas, nastukał się jak szpadel i poszedł na Sąd Ostateczny. Co my teraz zrobimy?

W prosektorium zapadła cisza. Pozostali zmarli zbliżyli się do zastawionego szafką przejścia i stanęli kilka kroków za księdzem. Popatrzyli po sobie wystraszonymi spojrzeniami, niektórzy chwycili się za dłonie. Kordian, wlepiając w księdza spojrzenie przesklonych oczu, rzekł:

– Poczekamy, aż przyjdzie Chrystus...

**Justyna Homa (Homcia), kl. 1**  
**I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu**

## **Jakieś psie to życie**

Lato zawsze było piękne. Ciepłe promienie słońca ogrzewające łapki, delikatny w swoich podmuchach wiatr, rozwiewający sierść. Sady pachnące opadniętymi jabłkami czy gruszkami. Plusk wody w jeziorze, szeleszczące szuwary. Zielona trawa łaskocząca w wetknięty w nią nos, słodka woń kwiatów na łąkach. A przynajmniej tak mówią starsze cioteczki z boksów obok, kiedy nie przekrzykują się, widząc jakichś ludzi z drugiej strony krtek; jeszcze nigdy nie widziałam lata. Teraz była zima. Mocny, mroźny wiatr zaciął płatkami śniegu, kierując je prosto w oczy, nawet, jeśli chowałam się pod daszkiem. Policzki i nosy czerwone od chłodu zaglądają do naszych domków. Ludzie za każdym razem, pokazując się nam, pocierają przemarznięte, zgrabiałe dłonie, narzekając na śliskie chodniki. Wielkie, białe zaspy śnieżne, ze śladami butów zostawionymi przez dzieci, zawałają się pod moim ciężarem, gdy któryś z wolontariuszy zabiera nas na spacer. Zima też jest piękna, na swój sposób. Sople lodu zwisają z drzew i krzewów, odbijając delikatne słoneczne światło, robiąc się na kształt pryzmatu. Nie mają jednak kompletnie żadnego smaku, ale zabawnie się je liże, gorzej, gdy niechcący się do nich przykleja. Mojej mamusi nie ma już kolejny dzień. Nie wiem który, ale Lulu mówi, że minęło już dużo czasu. Ten Pan, co codziennie sypie mi i mojemu rodzeństwu troszkę karmy, uśmiecha się zawsze, kiedy pytam, co stało się z mamusią i tylko klepie nas po główkach. To jedyny ciepły gest, jaki dostajemy mieszkając w tych śmiesznych domkach, ale to wciąż nie jest odpowiedź na moje pytanie. Zanim zjawili się duzi panowie i wzięli nas do ciepłego, ruszającego się pudełka, mieszkaliśmy obok takiej rzeczki. W tamtym domku było znacznie zimniej, nikt nas nigdy nie głaskał, a jedzenia nie było prawie wcale. Gdy w pobliżu nie ma żadnego człowieka wszystkie domki milkną. Żadna z cioteczek nie krzyczy, plotkują tylko pomiędzy

sobą szeptem. Dziadzio, najstarszy z psów, mieszkający w domku naprzeciwko nas, zasnął zaraz po obiedzie i leży tak już kilka godzin, kompletnie się nie ruszając. Nie budzi go krzyk Łazika, który jest zdecydowanie najgłośniejszy z nas. Jest mi troszkę smutno, bo minęła pora na bajkę. Zawsze opowiadał nam historie o ciepłym domku z ludźmi, a teraz spał i pewnie ani myślał, żeby wstawać. Czasem, kładąc się wieczorem spać, marzyłam, jakby to było mieszkać z ludźmi, mieć ciepłutkie łóżeczko i miskę pełną karmy, którą nie musiałabym się dzielić z wiecznie głodnym Odkurzaczem. Kiedy na końcu alejki otwiera się bramka, wszystkie cioteczki zaczynają krzyczeć i jazgotać, a Dziadzio nadal śpi. Przed naszymi kratkami staje Śliczna Pani. Kuca, na swoich czerwonych obcasach i mówi coś do nas, bardzo przesłodzonym głosem. Wołałam radośnie, mając nadzieję, że znów ktoś poklepie mnie po łebku. Kręcę się w kółeczko i stoję na tylnych łapkach, żeby pokazać, jak wiele umiem, że zasługuję na ciepłą dłoń na swojej sierści. Pan od Karmy otwiera metalowe drzwiczki i podnosi Gwiazdkę. Śliczna Pani bierze ją w ręce i palcem gładzi ciemne futerko wokół oka mojej siostrzyczki. Drzwiczki zostają zamknięte, Pan od Karmy i Śliczna Pani odchodzą. A Dziadzio wciąż śpi. Kiedy w bramce na końcu alejki Pan od Karmy mija się z Panią od Spacerów, nikt już nie szczeka. Pani od Spacerów wchodzi do domku Dziadzia i bierze go w dłonie, po czym znika za ścianą domku, przez co nie mogę nic więcej zobaczyć. Nie słyszę jednak, żeby Dziadzio szczekał, a on nigdy nie pozwalał dotknąć się nikomu poza Panią od Zastrzyków. Co dopiero wziąć na ręce i po prostu gdzieś sobie pójść. Wołałam za nim aż do zmierzchu, przez co rozboleło mnie gardło. Ta noc była naprawdę zimna i smutna. Gwiazdka zawsze spała obok mnie, ogrzewając z jednej strony, ale odkąd poszła ze Śliczną Panią i Panem od Karmy, wciąż nie wracała. Wiatr ruszał moją sierść i nawet szary kocyk, pod którym spróbowałam się schować, nic nie dawał. Dziadzio też nie wrócił na noc do swojego domku. Ani jego, ani Gwiazdki już nigdy nie zobaczyłam. Jednego dnia spadło tak dużo, dużo śniegu. W domku zostałam już tylko z Odkurzaczem, pozostałą dwójkę mojego rodzeństwa

wzięto dokładnie tak samo, jak Gwiazdkę. Do domku Dziadzia wprowadził się Rex. Powiedział nam, że mieszkał ze Straszą Panią, ale pewnego wieczoru ona zasnęła i już się nie obudziła, a potem zabrali ją jacyś ludzie. Gdy powiedziałam mu, że tak samo stało się z Dziadziem i zapytałam, jak można tak długo spać, nie odpowiedział nic. Rex nie był taki rozmowny, ale chyba go polubiłam. Powiedział, że jest terierem i miał swoje miejsce na dużym, ludzkim łóżku. Mówił, że lato jest najwspanialszą porą roku, bo można zjadać maliny z krzaków w ogródku córki jego Pani. Odkurzacz chętnie zjadłby nawet te krzaki, ale nie powiedziałam tego na głos. Pan od Karmy przychodził codziennie, nawet, jeśli na zewnątrz robiło się coraz chłodniej. W końcu, gdy bawiłam się w łapanego ze swoim ogonem, przyszedł z Wysokim Panem i razem zabrali Odkurzacza, zostawiając mnie samą w naszym domku. Płakałam, prosząc, żeby i mnie wzięli, ale żaden z nich się nie odwrócił, jedynie Odki próbował wyrwać się. Mówił, że jak tylko mu się uda, to otworzy te duże drzwiczki i pójdziemy razem. Ale zniknął w dużym, białym budynku. I już nigdy po mnie nie wrócił. Płakałam za nim całą noc, wtulając się w szary koczek. Rex odwrócił się tyłem do mojej kratki i nie odzywał się, ignorując moje żalosne zawrodożenia za bratem.

Kiedy na dworze zrobiło się naprawdę bardzo zimno, dostałam drugi, troszkę grubszy koczek. Miałam go dosłownie jedną noc, bo następnego dnia przyszła Mała Dziewczynka i Brodaty Pan, przyprowadzeni przez Pana od Karmy. Mała Dziewczynka wzięła mnie na ręce i uśmiechała się tak ładnie. Ucieszyłam się bardzo, polizalam ją nawet po twarzy, a Brodaty Pan śmiał się, że zaraz odlece jak helikopter, bo tak mocno merdam ogonkiem. Zanieśli mnie do dużego, białego budynku. W środku było naprawdę ciepłutko. Ludzie ciągle o czymś rozmawiali, ale Mała Dziewczynka wciąż się ze mną bawiła i muszę przyznać, że podobało mi się to. Zapakowali mnie do dziwnego, ruszającego się pudełka, ale było w nim ciepło, więc nie narzekałam. Wzięli mnie do dużego, ładnego budynku, w którym było jeszcze przyjemniej. Dostałam tam miskę pełną pysznej karmy. Dużo się bawiłam z Małą Dziewczynką. Do-



łączyła do nas nawet Pani z Bajki. Uśmiechała się jeszcze pięknie od Dziewczynki, a jej głos był tak cudowny, jak mamusi, gdy jeszcze nad rzeczką śpiewała nam do snu. Wieczorem, gdy chciało mi się spać, dostałam znacznie cieplejszy kocyk od tego w domku z kratki. Zanim udało mi się zasnąć, troszkę płakałam, tęskniąc za moim rodzeństwem, ale Mała siedziała ze mną do momentu, aż sama usnęła, trzymając głowę na moim kocyku.

Trochę czasu zajęło mi przyzwyczajenie się do życia w Dużym Domku. Parę razy nakrzyczano na mnie, ale nie gniewałam się długo, Brodaty Pan też. Czasem tęskniłam za moim rodzeństwem, ale starałam się już nie płakać. Mała Dziewczynka bardzo mnie kochała, ja ją zresztą też. Chodziłyśmy na długie spacery, ale nie było mi wcale zimno. Był taki jeden dzień, kiedy obudziłyśmy się rano i przy naszych łóżeczkach leżały pakunki. Dziewczynka pisała ze szczęścia, a ja podskakiwałam, próbując złapać frędzelki z jej spodenek. Pani z Bajki usiadła obok mojego łóżeczka i zawołała mnie swym ślicznym głosem, po czym założyła mi przez głowę dziwne coś. Biegałam w kółko po pokoju, chcąc to stracić. Po chwili jednak zrobiło mi się tak ciepłutko, że mogłabym w tym czymś zostać znacznie dłużej, niż Pani z Bajki mi pozwoliła. Od tego dnia, przed każdym spacerkiem, Dziewczynka zakładała mi to coś i mogłyśmy chodzić razem naprawdę długo. Podobało mi się takie życie, pełne miłości, ciepła i dobrego jedzonka.

Pani z Bajki, Brodaty Pan i Mała Dziewczynka często wstawali z samego rana, razem ze słońcem, a potem wychodzili i wracali bardzo późno. Zostawałam wtedy sama, trochę spałam, trochę jadłam, ale było mi strasznie smutno. Kochałam Duży Domek, ale bałam się, że to skończy się jak z moim rodzeństwem. Nie chciałam, żeby moja Rodzina nagle zniknęła, znowu. Zawsze, gdy zamykali za sobą drzwi, zaczynałam głośno płakać, ale nikt nie wracał. W takich chwilach tęskniłam za wszystkimi. Za Dziadziem, który nigdy się nie pożegnał; z początku byłam na niego bardzo obrażona, poszedł spać, a kiedy pojechał do nowego domku, nawet nie szczechnął. Tęskniłam za Gwiazdką, która jako pierwsza została zabrana z kraterki do ludzi. Za Lulu, która była z nas naj-

starszą i najmądrzejszą. Za Izim, nawet jeśli bał się wszystkiego i ciągle gryzł mój ogon, myśląc, że to jego. Za Łazikiem, bo kiedy go zabrakło, w domku było jakoś tak dziwnie cicho, nawet wtedy, gdy wszystkie cioteczki czekały. Nawet Odkurzacza mi brakowało, chociaż na początku byłam na niego zła, że nie dotrzymał obietnicy i zostawił mnie tam; czasem dostawałam tyle karmy, że nie dałam rady jej zjeść i wtedy przypominałam sobie brata, który pewnie jeszcze poprosiłby o dokładkę. Kochałam Małą Dziewczynkę, ale kiedy podgryzałam ją, żeby się pobawić, piszczła i odsuwała mnie na odległość ręki. Było mi smutno, gdy tak mnie odpychała i krzyczała coś. Mimo wszystko, żyło nam się razem bardzo dobrze.

Rosłam jak na drożdżach, cały czas miałam pełny brzuszek i było mi ciepłutko. Nigdy nie tęskniłam za naszymi krateczkami, bo tam nie było dużego łóżka Małej Dziewczynki, na które nauczyłam się wskakiwać. Dni mijały szybko, a ja wcale nie byłam taka duża, jak mamusia. Udało mi się zobaczyć i powąchać rozkwitające kwiatki - pachniały ślicznie, ale w smaku już wcale nie były takie niesamowite! Ganiałam za latającymi w powietrzu motylami, pływałam w jeziorach, daleko od Dużego Domku. Kiedyś ludzie zapakowali wszystko w małe, jeżdżące prostokąty i wsiedliśmy razem do jeżdżącego pudełka. Długo tam siedzieliśmy, strasznie mi się nudziło, ale parę razy Brodaty Pan zrobił coś, dzięki czemu mogłam próbować łapać dmuchające mi w twarz powietrze. Jadłam tam maliny z krzewów i jakieś jagody. Czasem udało mi się porwać mięsko z talerza Małej Dziewczynki, ale to tylko od święta. Później biegałam za opadającymi liśćmi, które wiatr przesuwiał po ulicach. Łapałam je w pysk, ale nie były takie smaczne, jak mogły się wydawać. Spędziłam parę lat w towarzystwie Małej Dziewczynki, która chyba już przestała być taka mała, a stała się Dużą Dziewczynką, Brodatego Pana, który w końcu ściął swoją brodę i Pani z Bajki, która nie zmieniła się chyba w ogóle. Aż w końcu znów spadł śnieg, który mroził moje łapki. Ludzie kolejny raz biegali, cieszyli się i byli jacyś tacy inni. Jednego dnia, kiedy biały puszek sypał jakoś tak mocniej, Brodaty Pan wziął mnie na spacer, bo

Duża Dziewczynka już od dawna tego nie robiła. Zresztą, i tak pojechała gdzieś z Panią z Bajki w jeżdżącym pudełku. Długo ich nie było, bo zdążyliśmy obejść naszą trasę dwa razy, pójść w całkiem inną stronę niż Duży Domek i przesiedzieć chwilę w parku, który Pan z Brodą i Mała Dziewczynka kochali. Kiedy wróciliśmy, miałam siłę tylko pójść spać, póki drzwi nie otworzyły się jeszcze raz i nie stanęła w nich Pani z Bajki i Duża Dziewczynka. Cieszyłam się bardzo, podskakiwałam merdając ogonkiem i szczekałam, śmiejąc się, że w końcu są. Duża Dziewczynka pogłaskała mnie po główce i poszła do naszego pokoju, który zamknęła, jeszcze zanim zdążyłam się wcisnąć w szparkę. Piszczalam, póki Pani z Bajki nie wzięła mnie na ręce. Usiadła na dużym łóżku, obok Pana z Brodą i zaczęła coś mówić, głosząc mnie po główce. Usadowiłam się wygodnie na jej kolanach i nasłuchiwałam, wiedząc, że coś było nie tak. Pani z Bajki zaczęła płakać. Wiedziałam o tym, bo na moje futerko zaczął padać deszczyk, a Duża Dziewczynka tłumaczyła mi kiedyś, że w domu nie pada. Poderwałam się, chcąc zlizać kropelki z policzków Pani z Bajki. Były słone i dobre, a Pani w końcu się uśmiechnęła.

Po tym wieczorze w naszym Dużym Domku nie było już jak dawniej. Duża Dziewczynka siedziała zamknięta w naszym pokoju, który już chyba przestał być nasz, bo moje małe łóżeczko wyjęto pod kaloryfer w korytarzu. Pani z Bajki dużo płakała, siedząc w kuchni i gotując obiady. Włączała wtedy bardzo głośno muzykę i myślała, że nikt jej nie słyszy. Pani z Bajki chyba zapomniała, że pieski mają lepszy słuch od ludzi. Pan z Brodą przesiadywał w swoim gabinecie, do którego raczej mnie nie wpuszczali. Raz tylko udało mi się przemknąć, kiedy wchodził i położyłam się pomiędzy jego nogami, chrapiąc cichutko. Nie przeszkadzało mu to chyba, bo nawet wziął mnie na kolana i mówił coś, głośkając, co jakiś czas ocierając oczy, z których też padał ten dziwny, słony deszczyk, który leciał, kiedy Pani z Bajki płakała. Nasz Duży Domek bardzo się zmienił, ale mnie brakowało mojej Małej Dziewczynki. Duża Dziewczynka, którą się stała, nie chciała się ze mną bawić. Nie zapraszała żadnych koleżanek, które drapały mnie za

uszkciem. Sama też mnie nie drapała, ani nawet nie chodziła na spacerki. Zastanawiałam się, dlaczego tak się stało. Może Duża Dziewczynka już mnie nie kochała? Trudno mi było to ocenić, ale miałam nadzieję, że tylko mi się wydawało.

Naprawdę długo było smutno w tym naszym Dużym Domku. Najgorzej zrobiło się, gdy Duża Dziewczynka zniknęła, jej pokój został otwarty i jakiś taki pusty. Pani z Bajki weszła tam tylko raz, zawodząc przy tym jak te wszystkie cioteczki, które w domkach z kraterzek słyszały jakiegoś człowieka. Pan z Brodą nawet nie dotknął drzwi. A ja spałam na łóżku Dużej Dziewczynki, wciąż na nią czekając. Za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi wejściowe, biegłam najszybciej, jak tylko potrafiłam z nadzieją, że to ona, że znów będę mogła się do niej przytulić, że poklepie mnie po głowce i pójdziemy na naprawdę długi spacer. Ona jednak nie wracała, a ja coraz bardziej wierzyłam w to, że zostawiła mnie tak, jak Dziadzio. Chciałam być na nią obrażona, ale nie umiałam. Razem z Panem z Brodą i Panią z Bajki zamieszkaliśmy w Małym Domku, a Duża Dziewczynka już nigdy do nas nie wróciła.

Żyliśmy sobie tak we trójkę. Kochałam moją rodzinę, ale i tak było mi jakoś smutno. Pani z Bajki często brała mnie na spacerki w miejsce, gdzie na zimnych, twardych i kamiennych łóżeczkach stały gorące, świecące lampki. Chciałam kiedyś taką polizać, bo wyglądały jak duże cukierki, które jadła Dziewczynka, gdy jeszcze była Mała. Poparzyłam się tylko w język i wcale mi to nie smakowało. Nie było to przyjemne miejsce. Większość ludzi, jakich tu spotykaliśmy, była strasznie smutna i dużo z nich płakało. Pani z Bajki też płakała, zwłaszcza, gdy zatrzymywała się przy jednym z zimnych łóżeczek. Nie potrafiłam tego zrozumieć, ale cierpliwie siedziałam przy niej tak długo, aż sama chciała wracać. Ja, mimo wszystko, wciąż szukałam Dużej Dziewczynki. Patrzyłam na każdego człowieka, którego mijaliśmy, czy to przypadkiem nie ona. Nigdy nie udało mi się jej odnaleźć.

Lata, wiosny, jesienie i zimy mijały, ja rosłam, a Pani z Bajki i Pan z Brodą jakby maleli. Z każdą kolejną zimą byli troszeczkę szczęśliwsi, ale nigdy nie widziałam ich tak uśmiechniętych jak wtedy,

gdy mieszkaliśmy w Dużym Domku całą czwórka. Była jedna taka zima, kiedy Pan z Brodą i Pani z Bajki zostawili mi w miseczce dużo pysznego jedzonka, pogasili światła i zamknęli dom, a ja zostałam sama. Czekałam, z myślą, że wrócą, żeby usiąść razem przy stole, na którym stałoby bardzo dużo pysznie pachnącego jedzonka, jak co roku, w każde święta. Bo ludzie tak nazywali wieczór, kiedy siadali do jedzonka i dużo śpiewali, rozmawiali albo płakali. Tej zimy jednak nic takiego nie miało miejsca. Położyłam się na mojej poduszce pod kaloryferem, który grzał na tyle mocno, że w końcu zrobiło mi się ciepło. Moje łapki nie wytrzymały już dłuższego spacerku, trudniej było skakać mi na łóżko czy kanapę; jakoś tak szybko się męczyłam. Pan z Brodą często sadzał mnie na sofie i głaskał, mówiąc, że jestem już Starą Krową. Mówił do Pani z Bajki, że dobrze, że trafiła im się Krówka, a nie Prosiaczek. Nie wiem, o co im chodziło, ale szybko zasypiałam, głaskana przez Pana z Brodą.

Czekałam w pustym, Ciepłym Domku bardzo długo, aż w końcu zmorzył mnie sen. Momentalnie przestało mi być zimno, a łapki nie bolały tak, jak zanim się położyłam. Leżąc tak usłyszałam znajomy głos i od razu się poderwałam. Byłam na polance, obok której było błyszczące jezioro. Stała tam Mała Dziewczynka, trzymając na smyczy Dziadzia. Podbiegłam do niej, szczekając najgłośniejszym, jaki tylko umiałam. Merdałam ogonkiem tak bardzo, że prawie zaczął mnie boleć. Mała Dziewczynka przytuliła mnie tak mocno, że prawie nie mogłam oddychać, ale to nie było ważne. Liczyło się tylko to, że w końcu wróciła moja Mała Dziewczynka. Że znów mogłam się z nią bawić i żadna z łapek kompletnie mnie nie bolała. Brakowało mi tylko Pani z Bajki i Pana z Brodą, ale ich obraz szybko wyparował z mojej pamięci. Widziałam też moją mamusię, która zjadała maliny z krzaków rosnących w ogródku obok. Ale to nie było aż takie ważne. Najważniejsze było to, że w końcu byłam z moją Małą Dziewczynką.

## **Lecą bociany**

„Przecież ja – aż w nieba łonie trwam,  
Gdy ono duszę mą porywa,  
Jak piramidę!  
Przecież i ja – ziemi tyle mam,  
Ile jej stopa ma pokrywa,  
Dopokąd idę!...”  
C. K. Norwid

Staruch lubił spać pod gołym niebem.

Już jako mały brzdąc wymykał się nocą z domu, wdrapywał na dach obory i zasypiał, słuchając polnych świerszczy i gapiąc się w gwiazdy. A gwiazdy znał wszystkie – ich imiona i konstelacje były jedyną rzeczą, jaką zapamiętał ze szkoły profesora Niezbudki.

Staruch – chłopiec w ogóle rzadko chodził do szkoły. Zimą nie sposób było tam dotrzeć przez śniegi zalegające na drogach, latem były wakacje, a jesienią musiał robić przetwory. Na naukę pozostawała tylko wiosna. Ale jak mały chłopiec pałający tak wielką miłością do przyrody, mógł usiedzieć spokojnie w szkole, kiedy za oknami wszystko rozkwitało, a cały świat budził się do życia?

Tak więc mały chłopiec dorastał, samotnie walęsając się to tu, to tam i powoli wyrabiał sobie opinię dziwaka i włóczęgi.

– Ma takie niebieskie oczy od tego ciągłego gapienia się w chmury – mówiono o nim pogardliwie.

Tak już jest, że ludzie niepospolici bywają nazywani dziwakami.

\* \* \* \* \*

– Wybacz, przyjacielu – powiedział Staruch sześćdziesiąt lat później do szamotającej się na wędce rybki. – Przykro mi, że zginiesz. Wprawdzie mógłbym cię wypuścić, ale co by ci z tego przyszło? Nie przetrwałabyś, bo ostatecznie i tak ktoś by cię zjadł... jakas

większa rybka albo mniej wrażliwy wędkarz. Ale koniec końców wolę, żebym to był ja – i mówiąc to, wrzucił rybę do wiaderka, w którym pływało już parę innych.

Staruch oskrobał je z piosenką na ustach i przypiekl na ognisku, a zdjął dopiero, kiedy były skwierczące i złociste – takie jak lubił. Ale niestety z degustacją musiał poczekać, bo oto zobaczył jakąś postać na drugim końcu polany.

Mimo podeszłego wieku Staruch oczy wciąż miał dobre i dostrzegł, że w jego stronę idzie młodzieniec – chuderlawy chłopak o sprężystym kroku i wesołym spojrzeniu.

– Ocho, jakiś Rusek – mruknął do siebie Staruch. Bo kiedy tyle czasu spędza się w samotności, nabywa się zwyczaju monologowania. – Pewnie chce zjeść moje ryby.

Staruch nie pomylił się. Młodzieniec uściśnął mu dłoń i zaczął szczebiotać po rosyjsku, że był głodny i już z daleka poczuł tę wspaniałą woń pieczonych ryb i czy może się przysiąc, ma ze sobą chleb i sól.

– Prosim, prosim! – zawołał Staruch głośno, lecz dość niechętnie. Nie był wprawdzie zgorzkniały, a i serce miał dobre. Nie przepadał jednak za towarzystwem.

– Psiakość! Lepiej, żeby ten młokos szybko zeżarł i się stąd wynosił... Żał mi go, ale chcę już spać – mruknął po polsku, pewien, że tamten go nie rozumie.

Tymczasem było inaczej. Młodzieniec z wrażenia upuścił swoją rybę.

– Ach! Czy mnie słuch nie myli, czy to ukochana mowa polska była? Czy żem sobie to wyobraził tylko? Ach, nie, nie zwariował żem jeszcze! Polaku! Bracie! – i z tymi słowami rzucił się na Starucha.

– Puszczaj! Puszczaj, filucie ty jeden!

Ale Filut ścisnął i całował go serdecznie.

– Ziomek mój! Na wygnaniu, w obcym kraju! Myślałem ja, że mowy ojczystej z innych ust już w życiu nie posłyszę. Przemów doń jeszcze raz, przyjacielu!

– Odczep się, ty szurnięty młokosie! – zawołał Staruch, uwalniając się wreszcie z jego objęć.

Filut westchnął z rozkoszą.

– Stary człowieku, prawdziwa słodycz z twoich ust pomarszczonych spływa. Wielkie szczęście, żeśmy wpadli na siebie! Dosyć już miałem tej samotnej tułaczki – we dwóch będzie nam rażniej! Czyś gotów jest do drogi? Możemy wyruszyć jutro skoro świt!

Staruch zamrugał. Nie rozumiał, o czym ten pokręcony młodzieniec mówił ani czego od niego chciał. Ale podróżować z nikim nie będzie, co to to nie!

– Jutro już mnie tutaj nie będzie – powiedział i zaczął zbierać z ziemi resztki swoich wspaniałych, złociutkich ryb. – Nigdy nie zostaję w jednym miejscu dłużej niż dwa dni. No, może raz tylko mi się zdarzyło. W Neapolu było tak pięknie...

– A co komu tam po Neapolu? – zachnął się Filut i złapał Starucha za ramiona. – My jak Polacy, to do Polski, bracie! Gaś ognisko, idziemy spać i wyruszamy skoro świt.

I mówiąc to, wyciągnął potargany koc z plecaka i ułożył się wygodnie na ziemi.

– Dobranoc, Staruchu! – mruknął i ufnie odwrócił się plecami do nieznanomego.

Staruch tymczasem pogrzyżył się w głębokiej zadumie.

– Cóż to za dziwaczny, młody człowiek. Czy nie powinienem go stąd wyrzucić? A może sam odejdę? Wygląda na to, że naprawdę zasnął... I gdzież to on chce mnie zabrać? Do Polski? Mnie tam od pół wieku nie było...

Koniec końców Staruch nie uciekł („Ten szaleniec gotów jeszcze ścigać mnie, gdyby się zbudził”). Położył się jak najdalej od niego i wkrótce sam zasnął, wpatrzony w jasną Lutnię świecącą tuż nad nimi.

Nazajutrz Staruch obudził się ze stanowczym postanowieniem, że nie weźmie ze sobą Filuta. Ostatnią rzeczą na jaką miał ochotę, to wałęsać się teraz z jakimś głupcem! I Staruch gotów był już obudzić i wypędzić przybłędę, kiedy nagle jego spojrzenie padło na bladą twarz Filuta, jego wątłe ręce i cienkie nóżki.



– Przecież toż to jeszcze dziecko – wymamrotał Staruch. – Takie to chorowite i słabe, że pewno umrze, jeśli mu nie pomogę. A ten jego zapał... Głupi jest, to prawda, ale może jednak go zabiorę..? Przecież tak czy siak idę na wschód, mogę odprowadzić go do granicy... Ale ani stopę dalej!

Bo Staruch w gruncie rzeczy miał dobre serce.

Tak więc, zanim jeszcze słońce wzeszło na niebo, Staruch i Filut najadłszy się uprzednio polnych jagód, ruszyli przed siebie – a przed sobą mieli cały tydzień drogi.

Staruch na początku męczył się straszliwie: przyzwyczajony był wędrować, słuchając śpiewu ptaków i szumu drzew. Tymczasem ten postrzelony Filut paplał na okrągło! To o swoim dzieciństwie na wsi, o malutkich siostrach i braciach, Laurze, w której był zakochany, a która tak podle nim wzgardziła...

Z czasem Starucha zaczęły zajmować opowieści Filuta, choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Ileż ten młodzieniec ze swoimi miłośkami i dążeniami dostarczał mu rozrywkę! A jaką miłą odmianą było wędrować lasami, polami i drogami z towarzyszem, do którego można było się odezwać! Toteż zanim Staruch zauważył, wciągnął się w rozmowę z Filutem.

– Ależ nie, Filucie, ja mam dom. Ale nie taki jak myślisz, to nie jest żadna chatka z wygodnym łóżkiem, meblami i piecem – powiedział Staruch pogardliwie i westchnął głęboko. – Mój dom jest o wiele wspanialszy, jest ruchomy, tak wysoki i szeroki jak ja sam. Dachem jest mi niebo, a ziemi mam tyle, ile pokrywa moja stopa.

– Jak to? – wydyszał Filut, bo właśnie wdrapywali się na wzgórze.

– A co z ojczyzną?

Staruch parsknął.

– Ojczyzna? Cały świat jest mą ojczyzną! – zatrzymał się i złapał Filuta za ramię. – Rozejrzyj się! Spójrz na te pagórki, na te pola i lasy... To wszystko to moja ojczyzna!

I zadowolony zaczął schodzić ze wzgórza.

– Co za bluźnierstwo – szepnął do siebie Filut. – Wszak jesteśmy w Rosji!

Dni mijały zadziwiająco spokojnie. Każdego dnia wstawali wraz ze słońcem, przechodzili paręnaście mil i rozbijali obozowisko. Łowili ryby, polowali, a Staruch dużo opowiadał Filutowi o swoich podróżach... chociaż jego i tak najbardziej ciekawiło dzieciństwo Starucha, które spędził w kraju, na podlaskiej wsi. Dopiero czwartego dnia miała miejsce tragedia.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wieczór był rosyjski i chłodny. Wędrowali wzdłuż rzeki.

– Cóż Staruch uczyni, gdy zajdziemy do Polski? – spytał Filut. – Ja zaraz się zaciągnę i będę walczył w powstaniu.

Nie mieliby z ciebie za dużo pożytku, pomyślał Staruch, patrząc na jego wątłą postać. Głośno zaś powiedział:

– Chyba już trochę dużo powstań było, nie? Zresztą coś tak bardzo was podnieca w tej całej wojaczce? To wszystko to bezsensowna przemoc... bohaterstwo na rozkaz w imię tej całej obmierzłej paplaniny, którą nazywacie patriotyzmem... ot co!

Niestety! Staruch zbyt długo przebywał w samotności, żeby wiedzieć, że nie powinien w ten sposób przemawiać do młodego chłopaka, który tak bardzo kochał i tęsknił do swojego zniewolonego narodu. Na twarz Filuta wstąpił rumieniec, a oczy rozgorzały dziwnym blaskiem.

– Obmierzła paplanina? – wykrzyknął, zatrzymując się raptownie. Cały drżał z oburzenia – Co ty tam wiesz, ty głupi starcze? Nie zostałeś wygnany z własnego domu, bo nawet go nie masz. Możesz sobie gadać te bzdety o niebie zamiast dachu, ale coś ci po niebie? Albo raczej coś niebu po tobie? Bo z kim masz niby o nie walczyć? Ja za to mam o co i żal mi cię serdecznie! Będę walczył i umrę jako bohater! Jestem odważny i zaraz ci to udowodnię – i rzucił na trawę swoją sakwę.

– NIE! – krzyknął Staruch.

Ale było już za późno. Filut wskoczył do rzeki.

Staruch przestraszył się nie na żarty, ale nurt na szczęście nie był zbyt prędkie. Za to woda w rzece była lodowata i Filut wygramolił się na brzeg cały drżący i przemoczony do suchej nitki.

– I c-co, Staruchu? Łyso ci teraz? – spytał, szczękając zębami.

Staruch bez słowa zabrał się do rozpalania ogniska. Słońce już prawie zaszło, a noc mogła być zimna.

– Głupi! - warczał do siebie. – Co też mi strzeliło do głowy, żeby brać tego matola ze sobą? Cud będzie, jeśli nie zaziębi się i nie umrze.

I rzeczywiście na drugi dzień Filut dostał silnego kataru i bólów głowy. Uparł się jednak, żeby iść dalej.

– Nie martw się, Staruszk, zaraz mi przejdzie... Do Polski jeszcze tylko dwa dni. Pewien jestem, że jak tylko zajdziemy, od razu wyzdrowieję!

Staruch poklepał go tylko po plecach, ale nic nie powiedział.

Dziwna relacja łączyła tych dwóch. Można by chyba nazwać ją przyjaźnią. Bo wbrew pozorom czas wcale nie jest aż tak ważnym czynnikiem, kiedy chodzi o tworzenie więzi. Dużo ważniejsze są wspomnienia. Czyli to, co razem przeżyliśmy. Bo przecież trudno, żeby Staruch i Filut nie stali się sobie bliscy, skoro codziennie jadali razem z jednej miski i zdobywali dla siebie pożywienie, wędrowali ze sobą ramię w ramię, razem przeżywali trudy i męki i spali pod gwiazdami.

Sam Staruch nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ten narwany młokos, jest mu drogi. Dopóki ten narwany młokos nie umarł.

To stało się, kiedy byli już tylko parę godzin drogi od Polski. Filuta zaczęła trawić tak silna gorączka, że ledwo był w stanie utrzymać się na nogach. Staruch chciał biec po pomoc, ale znajdowali się przy samej granicy i w pobliżu nie było żadnej wioski. Poza tym noc była tak straszna i czarna, że prawie nic nie było widać. Staruch nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przeżył równie okropną noc. Cały czas czuwał nad swoim biednym przyjacielem, modląc się i gładząc jego rozpalone czoło. Filut tylko majaczył. Dopiero o północy oprzytomniał.

– Staruchu, Staruchu... Jesteśmy?

Staruch, który drgnął na dźwięk tego głosu, nie miał serca skłamać.

– Tak... Tak, Filutku. Jesteśmy.

Na twarzy chorego pojawił się błogi uśmiech.

– O, Jezu! Nareszcie w domu.

I to były jego ostatnie słowa.

– Filutku? Filutku?

Staruch pochylił się i po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu gorzko zapłakał.

\* \* \* \* \*

Na niebo spływały chmury i zaczęły swoją zabawę. Goniły się wesoło po przestworzach, łączyły się ze sobą i znów rozłączały... To jedna nadymała się jak balon, to druga mglistym skrzydłem ją nakryła... To różowiły się na przemian, to znów siwiały. I tak nad Polską zaczęło świtać.

Tuż za polską granicą rozciągały się szerokie polany pełne maków i stokrotek i pachnących drzew sosnowych. Pod jedną z sosen można było dostrzec kopiącego w ziemi starego człowieka. Słońce już zaczęło wschodzić, kiedy wreszcie skończył swoją pracę i po długiej chwili milczenia zaczął rozglądać się wokoło.

A rozglądał się po rozległym horyzoncie, polach i lasach dokładnie takich samych, jak pamiętał. Uczuł nagle ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

– Tu! Tu pozostanę – wykrzyknął.

A nad jego głową długim szeregiem przeleciały bociany.

pisałam nocą w ogrodzie, czerwiec ,19

**Alicja Wojnarowska (Amaltea), kl. 1  
Liceum Ogólnokształcące nr 1 we Wrocławiu**

## **Eden**

Pod gwieździstym niebem ulicy Przyjaźni mama śniła o Edenie. Od rana do wieczora oglądała, grzejąc się w ciepłe telewizora, programy o budowaniu ogromnych domów z rozkwitającymi ogrodami. Sama czuła się nierozzerwalnie przywiązana do wielkomiejskiego bloku, do codzienności ścian, kuchenek i szaf. Tak jakby raz

już postawiony krok za drzwiami naszego mieszkania, na zawsze uniemożliwił jego ponowne opuszczenie.

Na przesyconej oddechami miasta osiedlowej ziemi mamusia pielęgnowała róże. Pielęgnowała je jak córeczki, które dopiero wkraczają w świat i poznają jego zasady. Codziennie przyglądała się ich pięknym, młodzieńczym główkom, rumianym od słońca i czuła się w głębi serca bardzo dumna. Dumna, że to właśnie jej dłonie wypielęgnowały tak piękne córeczki. Czuła tę boską moc sprawczą, umożliwiającą nadanie życia nieistniejącemu. Mówiła: „Ani się obejrzysz, a takie same różyczki będą rosły w naszym ogrodzie”. Obracałam się więc za siebie nie raz i nie dwa, a wizja ogrodu stawała się coraz odleglejsza i coraz bardziej odrealniona.

Mama podlewała róże, gdy deszcz omijał miejskie ulice. Skrupulatnie pozbawiała je nieprzyjemnego towarzystwa chwastów i szkodników - wszelkiej rasy i gatunku. Oglądała każdy listek z matczyną troskliwością. Czasami było mi wstyd tej matczynej miłości do róż – widziałam podejrzliwe spojrzenia przechodniów. Mama wówczas uspokajała mnie i mówiła: „Ani się obejrzysz, a takie same różyczki będą rosły w naszym ogrodzie”, choć sama nie wierzyła w swoje słowa.

Raz, w środku najzimniejszej grudniowej nocy zastałam mamę na dworze, całą zziębniętą, usilnie próbującą uratować swoje różyczki. Nie wiem już, czy widziała wtedy coś poza różyczkami, nie wiem czy w ogóle czuła zimno. Błagałam: „Mamusiu, wróć do domu. Nic już nie poradzisz. Zamarzniesz tutaj na bryłę lodu. Sama wiesz, że jesteś bezsilna. Kiedyś mamusiu kupię ci cały Eden. Ale teraz jest teraz, mamusiu. Pozostało nam czekać na kiedyś...”. Mamusia po raz pierwszy płakała na moich oczach.

Córeczki przeżyły. Powoli się rozwijały. Nieśmiało wyglądały zza listków, by z czasem stroić się w czerwone płatki i zielone łodygi sięgające nieba. Z nadejściem wiosny rozprostowywały się i podnosiły główki ku światłu, w zimie zaś chowały się w ciepłe własnych ciał. Żyły miarowym rytmem czterech pór roku. Sama lubiłam je podlewać i oglądać cały proces dojrzewania – od nastolatek

ze swymi humorkami i kaprysami do w pełni dojrzałych, rozkwitniętych dam.

Różyczki były jednak, mimo maminych starań, szaleńczo samotne. Były jedynymi różami na tak wielkim osiedlu. Nie miał ich kto podziwiać. Nie pasowały. Miały w sobie zbyt dużo życia i zbyt wiele kolorów. Dzieci odrywały im płatki i odliczały: „kocha, nie kocha, kocha...” (przy czym zawsze wypadało na „nie kocha”), a psy rozgrzebywały im ziemię w poszukiwaniu nieistniejących kości.

W pobliżu róż rosła jednie najeżona igiełkami sosna. Była starsza ode mnie i od mamy i widziała już niejedną historię zza okien. Szkoda jej było mamusi – tego piękna, za którym mamusia tak szaleńczo tęskniła. Tego wielkiego, uniwersalnego piękna. Ale nie mogła nic powiedzieć, więc w milczeniu wracała do obserwacji życia mieszkańców bloku.

Mamusia przyglądała się różom, płacząc od czasu do czasu. Sama nie wiem dlaczego. Wyobrażała sobie wtedy wielki dom, najlepiej we Włoszech lub Hiszpanii lub, z braku innych możliwości, na Florydzie. Marzyła o sięgających końca świata alejkach róż: białych, czerwonych, różowych. Właściwie, nie dostrzegała w wyobrażeniu nic poza różyczkami. Nie dostrzegała, że wszystkie pozostałe rośliny: jabłonie, słoneczniki o żyrafich szyjach, a nawet potężne śliwy, usychają. Nie widziała, że grusze mają zbyt ciężkie gałęzie od niezerwanych owoców, a begoniom opadły ostatnie płatki. Ciągle tylko te róże.

Mamusia jednak szybko wracała do rzeczywistości siódmego piętra wielkomiejskiego bloku i wtulona w szarą kanapę, uciekała w programy o budowaniu domów z ogrodami.

W poniedziałek rano córeczki umarły. Pan sąsiad z drugiego piętra niechcący zaparkował samochód w nieodpowiednim miejscu. Mamusi serce pękło.

## **Skrzypek z dachu**

Mając czterdzieści siedem lat, zdałem sobie sprawę, że mój umysł trawi choroba. Gubiłem się wśród labiryntu własnych myśli, powoli przekonując się, że każda z obranych uliczek jest zakończona ślepym zaułkiem. Zaczęło się od prostych rzeczy, takich jakie każdy może zapomnieć. Gdzie położyłem klucze, co jadłem wczoraj na śniadanie. Umykały mi czynności, które wykonywałem mechanicznie. Śmiałem się z tego, zwalając winę na wiek.

O moich kłopotach świadczyły znacznie późniejsze wydarzenia. Zdarzyło się, że zapomniałem własnego nazwiska. Nie pamiętałem hasła do konta bankowego, umykały mi oczywiste daty historyczne. Wtedy właśnie zdecydowałem się odwiedzić lekarza. Diagnoza brzmiała jak wyrok. Postępujący Alzheimer. Informując mnie o tym, młody doktor wydawał się być nieco zakłopotany. Nieudolnie starał się mnie pocieszać, gratulował wydania mojej najnowszej książki. Podziękowałem mu uprzejmie i zacząłem koncert zapewnień. Tak, oczywiście, mam bliskich, którzy się mną zajmą. Tak, poradzę sobie. Oczywiście, postaram się pamiętać o lekach.

Wszystko miało pójść gładko.

Problem w tym, że moja żona zmarła siedem lat temu, a córka wyjechała do USA, gdzie wyszła za mąż i miała stałą pracę. Zapomniałem.

Tego dnia niemal godzinę siedziałem z telefonem w ręku. Numer kierunkowy wskazywał Chicago. Kiedy zegar pokazał szesnastą byłem bliski płaczu. Zupełnie nie wiedziałem, co chciałem zrobić. Czułem się jak zagubiony pięciolatek. Choroba odbierała mi chęci do życia. Nigdy więcej nie napisałem nic dłuższego niż opowiadanie na kilkadziesiąt stron. Wszelkie bardziej rozbudowane pomysły umykały równie szybko, co przychodziły. Wstydziłem się z powodu własnej bezradności.

W tamtym czasie zacząłem dużo wyglądać przez okno. Mieszkalem w całkiem sporym i wygodnym mieszkaniu na czwartym piętrze, które deweloperzy uparli się nazywać apartamentem. Znajdował się w dość osobliwej okolicy. Piękny siedmiopiętrowy wieżowiec kontrastował z dużo biedniejszymi blokami mieszkalnymi. Codziennie po obiedzie siadałem na krześle przy oknie i wpatrywałem w zmieniające się niebo lub ludzi, którzy hardo przemierzali miejskie chodniki. W ten sposób stałem się świadkiem dość osobliwej scenki.

Moje okno znajdowało się bardzo blisko dachu osiedlowego bloku mieszkalnego. W tym miasteczku to się zdarzało. Było ono wyjątkowo przeludnione, co jednak nie przeszkadzało ambitnym architektom w tworzeniu kolejnych smukłych wieżowców dla korporacji, czy nieco bogatszych przeciętniaków. Podczas swojej piętnastoletniej przygody z tym uroczym mieszkankiem, nie raz przechodziło mi przez myśl, że kiedyś stanę na parapecie i skoczę z okna na sąsiadujący dach.

Tamtego dnia niewiele się działo. Ludzie byli zabiegani jak zwykle, a mnie zaczynało się nudzić. Wtedy właśnie na dachu stanął chłopak. Przestraszony, zasłoniłem okno firanką. Niepotrzebnie – nastolatek zupełnie mnie nie zauważał. Trzymał w ręku skrzypce, a gdyby w tym mieście wiał wiatr, na pewno zmierzwiłby mu blond czuprynę. Zaczął grać, a przez szybę dobywały się tylko przytłumione dźwięki. Zaciekawiony uchyliłem okno. Chłopaczyna nie wyglądał na więcej niż szesnaście lat, ale zdawało się jakby posiadał umiejętności i słuch najwybitniejszych wirtuozów. Siedziałem tak, oniemiały, oczarowany jego muzyką. W tamtym momencie moje życie było piękniejsze. Słuchając płaczliwego dźwięku skrzypiec i wpatrując się w płynne ruchy smyczka doznawałem osobliwego katharsis – każda ósemka i ćwierćnuta uwalniała mnie od bólu, od zmartwień i wstydu, do którego już zdążyłem przywyknąć.

Melodia skończyła się. Opanowałem nieodpartą chęć przykłaśnięcia i głośnych owacji. Nie chciałem się zdradzać, ani go spłoszyć. Chłopak uniósł głowę, opuścił smyczek i popadł w zamyślenie. By-



łem tak zaabsorbowany jego postacią, że nawet nie zauważyłem dziewczynki przyczajonej tuż przy drzwiczkach prowadzących na dach. Szacując wiek kobiet zawsze starałem się być ostrożny. Traktowałem je z wielką czcią, co zachęcało mnie do powściągliwości, zwłaszcza w głośnych stwierdzeniach. Przyjrzałem się drobnej niewieście. Była niższa od chłopca o pół głowy, włosy miała ładne i wyszczotkowane. Jasna sukienka pasowała do jej rumianych policzków. Wyglądała na zawstydzoną. Mimo to podeszła nieśmiało do skrzypka i spytała:

– Umiesz zagrać Sonatę Księżycową? Nie przedstawiłam się... mam na imię Marysia.

Chłopak spojrział na nią spod zmarszczonych brwi. Maria, a może Marysia, zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Zagrasz mi? – wymamrotała nieskładnie.

Ku mojemu zdziwieniu, młodzieniec uśmiechnął się. Ukłonił, usiadł i zaczął grać.

I znowu wszystko było prostsze i piękniejsze. Jaśniało.

Drugiego dnia chłopiec przyszedł w to samo miejsce. Miał na sobie białą, schludną koszulkę. Wchodził na dach przez kamienicę, tym samym wejściem co dziewczynka. Wiatr wciąż nie wiał, jakby zawstydzony muzyką młodego skrzypka.

Dziewczynka również postarała się bardziej. Obserwując jej wdzięczne ruchy, zgrane ze zwiewną sukienką, pięknie ułożone włosy i łagodny uśmiech, przeprosiłem ją w duchu. Absolutnie nie wyglądała już na dziewczynkę, która zabłądziła na dachu, szukając źródła muzyki. Była młodą kobietą, która wyszła na spotkanie swojemu amantowi.

Tego dnia usiedli bliżej siebie.

Marysia znowu poprosiła o Sonatę Księżycową. Chłopiec uśmiechnął się i znów zaczął grać. Ale tym razem wszystko brzmiało inaczej. Niezbyt znałem się na muzyce. Moje doświadczenia z nią były oparte głównie na słuchaniu. W tym wypadku, nawet niewprawne ucho wychwyciłoby tę drobną zmianę dźwięków, dzięki której utwór zyskał osobliwą barwę, sprawiał wrażenie „dopieszczonego”.

– Właściwie to jak masz na imię? - spytała Maria.

Chłopak zmieszał się. Wykonał kilka gestów dłonią. Dziewczyna spojrzała na niego bez zrozumienia. A on posmutniał i uciekł.

Trzeciego dnia atmosfera pomiędzy nastolatkami była bardzo ciężka. Skrzypek leniwie szarpał struny instrumentu, trzymając je jak miniaturową gitarę. Siedzieli tak niemal godzinę. Potem Marysia wstała, otrzepała spodenki i zostawiła go samego, trzaskając drzwiczkami.

Zaczął grać, a jego skrzypce brzmiały żałośnie.

Zadecydowałem, że tego dnia potowarzyszę mu w drodze powrotnej. Wziąłem portfel, zamknąłem drzwi na klucz i wyszedłem z domu.

Chłopak płatał się niespiesznie pomiędzy blokami. Szedł okrężną drogą, czasem ze złością kopnął leżący na chodniku kamień. Wydawał się być zamyślony. Młodzieniec przystanął na chwilę, spojrzał na zachodzące słońce, po czym przyspieszył kroku. Jeszcze zanim się ściemniło dotarł do tylnych drzwi miejscowego domu dziecka.

Poczułem jak ciężar nieba spada mi na plecy. Dla nich byłem tylko duchem. Obserwatorem. Wiedziałem, że nie ma dla mnie miejsca w tej historii.

Kolejne dni były dla nich trudne. Dziewczynka dużo mówiła o sobie, opowiadała o życiu, koleżankach i szkole, do której niedługo wróci. Chłopiec słuchał jej oczarowany. Patrzył na nią z miłością, a było to jedno z tych spojrzeń, o których marzy niejedna kobieta. Pomimo pełnej niezrozumienia atmosfery, zbliżyli się do siebie. Robili to niemal nieświadomie, siadając coraz bliżej, czy dotykając przypadkowo. Dziewczynka często kładła głowę na jego ramieniu. Aż w końcu nadszedł moment, w którym ich uroczą relację została wystawiona na próbę. Marysia przybiegła na dach ze łzami w oczach. Łamiącym się głosem wyjaśniła chłopcu, że jej rodzice zadecydowali o przeprowadzce do innego miasta.

– A ja cię kocham. Pomimo, że nawet nie wiem jak wymówić twoje imię.

Chłopak tulił ją mocno i głaskał po włosach. To był pierwszy raz, gdy zobaczyłem go bez skrzypiec w ręku.

– Ja... ja ciebie też – wychrypiał.

Jego głos brzmiał, jak gdyby dobył go pierwszy raz w życiu.

Odetchnąłem z ulgą i zamknąłem okno. Byłem stary, a mimo to nie rozumiałem wielu elementów tej historii. Czułem się jak głupiec, a w dodatku osoba, która straciła jedynych przyjaciół. Jedynych i niezwykle bogatych. W końcu było ich stać na szczerość.

